

Debra Lee Brown

Klucz do przyszłości

PROLOG

Góry Szkocji 1192

Dziewczynka schowała kucyka w lesie i na piechotę poszła do kryjówki. Poranna mgła zmieniła ten zakątek w ponure i zdradliwe miejsce, zupełnie niepodobne do tego, w którym spotykała się z Iainem w czasie pięknych słonecznych dni lata.

Starannie omijała leżące gałązki i zwiędłe liście. Szła bezszelestnie. Z duszą na ramieniu rozsunęła krzewy, zasłaniające jej widok na polanę.

Jezu, był tutaj! Bezpieczny!

Iain leżał rozciągnięty na ziemi, tuż nad wodą, nieruchomy jak kłoda, ledwo okryty derką. Ogarnięta strachem dziewczynka szybko do niego podbiegła. Klękła obok. Spał, a na jego brudną, pokrytą zakrzepłą krwią twarz, znaczyły dwa wątle ślady łez. Jeszcze na dobre nie wyschły.

Przypomniła sobie straszliwe wydarzenia ubiegłej nocy i serce znowu zamarło jej ze zgrozy. Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Spojrzała na srebrną broszę ze znakiem klanu, spinającą pled (pled (ang. plaid) - rodzaj wełnianego kraciastego płaszcza w kształcie prostokąta, noszonego przez Szkockich górali, Słownik języka polskiego, PWN, Warszawa, 1964r. (przyp. red.)) na ramieniu Iaina. Znak przedstawiał koca wspiętego na tylne łapy i grożącego niewidzialnym wrogom kłami i pazurami. Odważny aż do szaleństwa, zupełnie jak Iain, choć nie do końca. W odróżnieniu od kota, młodzieniec potrafił być czuły. Tym się wyróżniał spośród rówieśników. Dziewczynka odruchowo pogładziła śpiącego po włosach.

- Do broni! - Zerwał się natychmiast, niemal ją przewracając. Potoczył wkoło dzikim wzrokiem, zerknął na nią i nieco ochłonał.

- Jesteś ranny? - spytała. Dotknęła powalanego krwią pledu.

- Nie! - odsunął się od niej. - Po co tu przyszłaś? Zabolały ją te ostre słowa. Iain nie patrzył na nią. Niczym szmaciana lalka, bezwładnie osunął się na murawę. Nie wiedziała, jak go pocieszyć.

- Jak tylko się dowiedziałam...

Wbił wzrok w mgłę. Na jego ładnej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Ojciec nie żyje - rzekł. - Padł z ręki Grantów. Nie potrafiłem go ocalić. Chciałem, ale nie mogłem.

Łzy na nowo pociekły mu po policzkach. Tak mocno zaciskał pięści, aż pobielały mu kostki.

Dziewczynka, nie dbając o to, że znów na nią nakrzyczy, położyła wąską dłoń na jego dużej ręce. Nie zaprotestował. Uniósł głowę i po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy. Serce zatrzepotało jej radośnie. Gdybyż jeszcze nie ta udręka w jego oczach.

- Posłuchaj mnie - powiedziała cicho, starannie dobierając słowa.
- Twój ojciec zabił syna Grantów, Henry'ego. Są na to świadkowie.

- Nie! - Znów się zerwał i szarpnął ją ku sobie. - To kłamstwo! Podła zdrada! John Grant był przyjacielem taty! Nikt nie chciał krzywdy jego syna.

Tak mocno ścisnął ją za ramiona, że aż przygryzła wargi z bólu. Teraz jednak nie było czasu na kłótnie. Wstawał dzień... Wiedziała, że w obejściu wkrótce zauważą jej nieobecność. Zaczną jej szukać. Gdyby ktoś przypadkiem zobaczył ich razem...

Iain pogrzebał za pazuchą i wyjął jakiś przedmiot skrzący się zielonym blaskiem. Ciekawość przewyciężyła strach.

- Co to? - spytała.

Pokazał jej niewielki sztylet z rękojeścią wspaniale inkrustowaną klejnotami.

- Jezu! - zająknęła się. Zobaczyła złoty ornament i pewnie z tuzin drogich kamieni, tworzących arabeskę. Na cienkim i złowrogim ostrzu widniały plamy zaschłej krwi.

- Skąd to masz?

Iain rzucił jej sztylet pod nogi.

- Schowaj to gdzieś do czasu, aż nie wrócę.

- Nie wrócisz? - powtórzyła bezwiednie. - A dokąd się wybierasz?

- Nie wiem. Gdzieś daleko. Muszę uchodzić z zamku Findhorn. Nie jestem już tam bezpieczny. Za mało nas do obrony.

- Niemożliwe! - Złapała go za koszulę. - A twój klan? Twój sprzymierzeńcy?

Przecież nie dalej jak wczoraj opowiadał jej o planach ojca. O przymierzu, które miało zjednoczyć cztery bitne klany: Mackintoshów, Davidsonów - krewnych ze strony matki - Macgillivrayów i MacBainów, w klan Chattan, jak go nazywali. Klan Kotów.

Jej własny klan został wykluczony z paktu. A teraz...

- Nie będzie żadnego sojuszu. Klan Chattan już nie istnieje.

Wzięła ją za rękę. Wyczuwała w nim utajoną siłę. Gdzieś zniknął butny i czupurny chłopiec, którego знаła.

- Jestem prawdziwym Mackintoshem. Muszę zadbać o matkę i braci.

- A kto im może zagrażać?

- Grantowie! - Niemal wypluł to słowo.

- Ależ skąd! Grant to porządny człowiek... - urwała nagle, bo Iain zmarszczył brwi i groźnie na nią łypnął.

- Być może, ale są inni w rodzie.

Wiedziała, o kim mówił. Wzdrygnęła się mimo woli. Zeszłej nocy widziała w stajni zakrwawioną broń, splątana uprzęż i spocone konie, parskające głośno i rzucające łbami.

Chłodny powiew ogarnął polanę. Zwiędłe liście złoto - rudym deszczem posypały się na miękką trawę. Iain przeczesał palcami jasne włosy swojej towarzyszk.

Mgła ustępowała z wolna. Dziewczynka poprawiła poły peleryny i spojrzała w niebo.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jak najszybciej. - Popatrzył w bok, jakby się zastanawiał, ile jeszcze czasu będą mogli być razem. - Pewnie dzisiaj.

- Nie!

Spotykali się od miesięcy, w tajemnicy przed rodzinami. Ojciec porządnie złołby jej skórę, gdyby tylko wiedział o jej eskapadach. Chociaż nieraz już miała wrażenie, że nie są tu sami. Nawet teraz...

- Kiedy cię znów zobaczę?

- Nie wiem - odparł cicho Iain.

Przypomniała sobie o sztylcie, leżącym na trawie. Był ciężki i w jej drobnych dłoniach upodabniał się niemal do miecza. Iain przyglądał się jej z namysłem. Dziewczynka rozplotła warkocz i obcięła sobie kosmyk włosów. Potem wyciągnęła rękę i to samo zrobiła z włosami Iaina. Drgnął lekko, zaskoczony jej dziwnym zachowaniem.

Szybko splotła oba kosmyki w niewielki warkoczek, obwiązując go, odciętym od pledu chłopaka, cienkim pasemkiem kraciastej tkaniny ze wzorem Mackintoshów. Podała go Iainowi.

- Co to jest? - spytał.

- Węzeł miłości - odpowiedziała i zaczerwieniła się po same uszy. Wiedziała, że to zauważył. - Moja matka kiedyś zrobiła taki sam dla ojca, żeby być z nim nawet wtedy, gdy wyjechał. Wiesz, mama jest Francuzką.

Nie miał o tym pojęcia. Prawdę mówiąc, w ogóle nic nie wiedział o jej rodzinie. Nawet nie znał jej prawdziwego imienia. To była część zabawy. Za każdym razem, gdy się spotykali, udawała kogoś innego. Teraz zatrzymała wzrok na plamach krwi na jego pledzie. Czas zabaw minął na zawsze.

Iain ścisnął w dłoni splecione kosmyki włosów. Po chwili schował je za pazuchę. Wbił sztylet w mokrą ziemię aż po samą rękojeść.

- To nie potrwa długo - oznajmił. - Wrócę. Po ciebie i po to. - Ruchem głowy wskazał na sztylet.

Wróci po nią!

- Przrzekasz? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Przrzekam. - Wstał gwałtownie i spojrzał na nią z góry. Jego błękitne oczy były teraz ciemne jak niebo o północy.

- Grantowie mi zapłacą. Nie spocznę, póki nie pomszczę ojca. Póki ostatni z nich nie znajdzie się w grobie.

- Co do jednego?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, w leśnej ciszy rozległ się stuk kopyt. Sucha gałąź trzasnęła pod twardą podkówną.

- Słyszysz? Jeźdźcy! - Dziewczynka zerwała się na równe nogi.

Iain odwrócił się na pięcie, zmrużył oczy i spojrzał w kierunku odgłosów. Spoza zasłony rzedniejącej mgły dobiegł ich szmer rozmowy.

- Nadchodzą.

Jeżu, nie mogą mnie tu zastać! - pomyślała.

- Muszę już iść. - Cofnęła się, dała dwa kroki, a potem skoczyła w krzaki.

- Zaczekaj! - Iain wyrwał sztylet z ziemi, odciął kawałek pledu, zawinął broń i dogonił uciekinierkę. - Masz. Weź to i dobrze schowaj. Wrócę.

Przycisnęła zawiniątko do piersi. Przez chwilę patrzyła na chłopca, jakby na zawsze chciała zapamiętać jego twarz, oczy i całą postać.

Potem pobiegła dalej.

- Hej! A twoje prawdziwe imię?! - zawołał za nią Iain.

- Kim jesteś?

Lecz było już za późno. Mgła otuliła ją białym obłokiem. Iain odwrócił się i ruszył na spotkanie jeźdźców.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jedenaście lat później

Reynold Grant pochylił się nad pergaminem, który stanowił dlań klucz do przyszłości.

„Ja, Beatrix d'Angouleme, pierworodna córka hrabiego Renauda d'Angouleme, wysłannika Filipa II, króla Francji, oznajmiam na łożu śmierci, że zgodnie z obowiązującym prawem, moja nieślubna córka, Alena, jest jedyną spadkobierczynią całego mojego majątku i wszystkich posiadłości”.

Pismo opatrzone było datą z maja 1184 roku, podpisane, poświadczone i opieczętowane złotą - szkarłatną pieczęcią rodu Angouleme.

Reynold uśmiechnął się. Schował pergamin wśród rzeczy zmarłego wuja i zamyślony przeszedł w drugi kąt pokoju. To był wspaniały pomysł. Bogactwo i władza za jednym zamachem. Kto prócz niego naprawdę na to zasługiwał?

Kuzyn Henry nie żył już od jedenastu lat, a wuja, Johna Granta, też ostatnio złożono do grobu. Kto miałby go powstrzymać?

Przed oczami stanęła mu blada i ściągnięta twarz młodego chłopca. Ów młodzieniec na pewno był już krzepkim mężczyzną. Pewnie wróci po swoje. Przede wszystkim po zemstę.

Ktoś zapukał do drzwi. Reynold uniósł głowę. W progu stanął jeden z jego podkomendnych, Perkins.

- Posyłałeś po mnie, jaśnie panie?

Jaśnie panie. Nawet mu się to podobało. Reynold podszedł do pulpitu stojącego pod oknem.

- Tak. Chcę, żebyś zaniósł komuś pismo. Pośpiesznie skreślił kilka słów na czystym pergaminie, złożył zamaszysty podpis i zwinął list w rulon. Perkins czekał cierpliwie.

- Komu mam to przekazać?

Reynold uważnie spojrział na Perkinsa. Był szczupły i posepny, słabego charakteru i na pewno chciwy. To bardzo dobrze.

- Alenie Todd - powiedział. - Córce masztalerza.

- Och. - Zły błysk zamigotał w ciemnych oczach Perkinsa. - Ładna dziewczka. - Schował pergamin za pazuchę. - Jak sądzę, panie, nie chcesz, żeby jej ojciec o tym wiedział.

- Ten kuternoga? Nie, nie chcę. - Reynold popatrzył nań znacząco. - List jest wyłącznie dla niej. Załatw to, nie zwlekając.

- Czy ona umie czytać?

- Umie. To też jeden z niewydarzonych pomysłów mojego wuja. Perkins zmarszczył brwi.

- Tak jest. Już do niej idę, jaśnie panie. - Podszedł do drzwi, lecz nagle wrócił, jakby coś sobie przypomniał. - Jeszcze jedno. Nasi ludzie widzieli Mackintoshów w lesie, nie dalej jak dzień drogi stąd.

- Ilu ich było?

- Trzech, może czterech.

- Ciekawe. Rozpoznali kogoś?

- Niestety, nie.

Reynold odprawił go ruchem dłoni.

- Dobrze, dziękuję. Możesz odejść. Lepiej pospiesz się z tym listem.

Perkins uklonił się i wyszedł z komnaty.

- Mackintoshowie? - Reynold podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. - Najwyższa pora na dobre rozprawić się z tą hołotą.

Iain Mackintosh nie potrafił skupić się na polowaniu.

Oparł się o spróchniały pień i zdjął z łuku cięciwę. Promienie słońca rozproszyły poranną mgłę, lecz nadal było dosyć zimno. Iain rozpostarł pled, wciąż mokry po noclegu w szałasie, i narzucił go sobie na ramiona.

Dzisiaj już drugi raz bezwiednie pogładził warkoczyk, spleciony z dwóch pasemek włosów i kawałka tkaniny. Zawsze go miał przy sobie. Kolorowy materiał wyblakł i zmarniał, lecz wspomnienia wciąż pozostawały wyraźne i żywe.

Nie pierwszy raz wrócił do dawnej kryjówki. Narażał się przy tym jak diabli. Ziemie Grantów leżały zaledwie o pół dnia drogi od tamtej polanki. Iain, niebaczny na niebezpieczeństwo, przeszukiwał wioskę po wiosce i zaglądał w twarze wszystkim napotkanym dziewczętom. Nie znalazł tej, której szukał. Chryste, przecież dobrze wiedział, że to niemożliwe! Zwłaszcza że nie znał ani jej imienia, ani klanu.

Ostry gwizd przeszył leśną ciszę i wyrwał go z zamyślenia. Iain wskoczył na stojącego opodal wierzchowca i pojechał w stronę głosu. Po chwili zobaczył swoich ludzi, z wolna przedzierających się przez gęstwinę. Żaden z nich nie mógł się pochwalić, że coś upolował.

- Hamish? - zawołał Iain. - Ty też spudłowałeś?

- Też, do diaska! - odkrzyknął zapytany. - A taka piękna sztuka.

Jakiś czas temu pognął wraz z Willem za zgrabną łanią.

- Dwa dni na łowach i nic - westchnął Will. - Jak my się teraz pokażemy w Braedun Lodge?

- Lepiej upoluj choćby coś małego - roześmiał się Iain i spod oka zerknął na przyjaciela. - Inaczej pewna dziewczyna ci tego nie wybaczy.

Hamish podjechał bliżej.

- Dziewczyna? - spytał z zaciekawieniem. - Co to za dziewczyna?

Will spiekł raka aż po czubki uszu. Iain roześmiał się.

- Pewna pokojówka.

- Edwina? - huknął Hamish. - Na Boga, przecie ona stara jak kamienie w Craigh Mur. Will, czyś ty...

- To nie Edwina, głąbie! - oburzył się Will. - To Hetty - dodał takim tonem, jakby dopiero teraz sam się o tym dowiedział.

- Ach, Hetty. - Hamish błysnął oczami i mrugnął do Iaina. - Ładna bestyjka.

Will ściągnął gwałtownie wodze.

- Może i ładna, ale nic ci do tego!

Iain i Hamish ryknęli zgodnym śmiechem. Will zawtórował im chwilę później. W wesołych nastrojach pojechali w głąb lasu.

- I co ty na to, Iainie? - zapytał Hamish. - Może nam wreszcie zdradzisz, która z dziewcząt na dworze stryja Alistaira najbardziej wpadła ci w oko?

Iain nigdy nie mówił o tamtej przygodzie i o dawno złożonej obietnicy. Nie miał zwyczaju nikomu się zwierzać.

- Nie mam czasu na takie bzdury.

- Może i nie masz. Ale ostatnio coś gnuśniejesz. Musimy znowu wybrać się do Inverness.

Iain przypomniał sobie ich ostatnią „wyprawę”, tę sprzed kilku miesięcy. Wino i dziewczki, i jeszcze więcej wina. Z tego wszystkiego najbardziej zapamiętał dwudniowy ból głowy. Wcale mu się nie uśmiechało, żeby to powtórzyć. Nie, teraz potrzebował czegoś całkiem innego. Nie dla niego dziewczki.

Nadeszła pora, żeby spełnić przysięgę.

Matka zmarła, Panie świeć nad jej duszą, a młodszy bracia byli wystarczająco dorośli, żeby pójść swoją drogą, gdyby on zginął w bitwie. Tak, tak - przyszła pora, aby upomnieć się o swoje. Żeby

pomścić śmierć ojca i upadek klanu. Wbrew temu, co można myśleć, musi być na tym świecie sprawiedliwość.

Drgnął na wspomnienie tamtej upiornej nocy. Wszystko wskazywało na winę jego ojca, ale on wiedział, że to nieprawda.

Musiał odzyskać sztylet! Ale co dziwniejsze, nie myślał wyłącznie o nim, ale o dziewczynie o brudnej twarzy i zwiędłych liściach w blond włosach.

Koń niecierpliwie zarzucił łbem. Iain oderwał się od niewczesnych myśli. Odruchowo położył rękę na mieczu i rozejrzał się po okolicy. Cisza i spokój. Pogładził wierzchowca po szyi, przemawiając doń cichym głosem. Zerknął na swoich towarzyszy.

- Są jakieś wieści z Findhorn? - zwrócił się do Hamisha. Od lat już nie był w rodzinnym zamku. Dwór stał zupełnie

pusty, jeśli nie liczyć czeladzi, mieszkającej poza murami. Główna baszta popadła w ruinę, a dziedziniec porastało zielsko.

Hamish znacząco poruszył brwiami.

- Nic się tam chyba nie zmieniło. Żołdacy Granta wciąż patrolują okoliczne lasy.

- Lecz nasi ludzie, którzy tam zostali, nie przeszli na ich stronę. - Will uderzył piętami w boki konia i zrównał się z jadącymi z przodu.

- Nie. - Hamish pokręcił głową. - Są wierni Mackintoshom. Tylko czekają, żeby się coś zaczęło.

- To dzielni słudzy - zgodził się Iain. - Wierni pamięci ojca.

- Teraz ty jesteś naczelnikiem klanu - zauważył Hamish. - Winni są wierność przede wszystkim tobie.

- Owszem - przyznał Iain.

Był naczelnikiem - i wszyscy wiedzieli dlaczego. Przejął schedę po zamordowanym ojcu. Co z tego? Nie zrobił praktycznie nic, aby zapobiec zbrodni, i nie kwapił się do natychmiastowej zemsty. Zacisnął zęby. Coś go drapało w gardle. Sięgnął po skórzany bukłak wiszący u siodła, odchylił głowę i pociągnął długi łyk samogonu.

- Co zrobisz? - spytał Will.

- Odbiorę, co mi się należy, i zabiję złodziei. Powinienem to zrobić już bardzo dawno temu.

Prawdę mówiąc, przez lata nosił się z tym zamiarem. Jednak klan jego matki był mały, a on sam wszystko zawdzięczał opiece Alistaira Davidsona. Wychowywał się na jego dworze, a kiedy dorósł, zrozumiał, że ma obowiązki nie tylko wobec zmarłych, lecz także i

wobec żywych. Nie mógł działać pochopnie. Właśnie ze względu na nich nie chciał ryzykować.

- Masz jakiś plan? - zapytał Hamish. - Grant dowodzi niemałym wojskiem.

Iain przez wiele miesięcy zgłębiał zasady prowadzenia wojen, taktyki i strategii. Szlifował rycerskie umiejętności, uczył się, jak być sprawnym wojownikiem i przewidującym wodzem.

Wiedział, że w każdej chwili może się spodziewać nagłego ataku ze strony Johna Granta. Tak się jednak nie stało. Grantowie siedzieli cicho - więc i on mniej myślał o zemście. Przynajmniej do czasu.

Teraz wszystko się zmieniło. John Grant nie żył. Niektórzy powiadali, że też został zabity. Niby przez kogo? Panem na włościach Grantów został jego siostrzeniec, Reynold. Iain splunął przez zęby.

- Sami tego nie dokonamy - powiedział. - Tyle wiem na pewno.

- Wszyscy z Mackintoshów staną z tobą do bitwy! - z zapalem rzucił Will.

Iain uśmiechnął się gorzko.

- W to nie wątpię. Nie chcę jednak zguby resztek klanu. - Zaledwie kilku zbrojnych uniknęło zemsty Johna Granta za śmierć syna, Henry'ego. Najlepsi z nich zginęli w boju, a ich krew do tej pory plamiła ręce Iaina.

- Nie - powtórzył. - Musimy działać rozsądnie. Hamish spojrzał na niego z uwagą.

- Tak. - Iain skinął głową. - Myślę o Chattan.

- Klan Chattan? Sojusz! - Will gwizdnął przez zęby.

- Davidsonowie już są z nami. - Hamish w zamyśleniu szarpnął gęstą brodę. - Twój wuj nimi dowodzi. Na pewna pójdą za nim.

- Jeśli tylko przystanie na naszą propozycję,

- A co Macgillivrayami i MacBainami? - spytał Will.

- Zostawcie to mnie.

Iain miał już serdecznie dość tej rozmowy. Minęło południe. Przeciągnął się i poprawił łuk przewieszony przez ramię.

- Ładny dzień na łowy.

Uznał ją za swoją panią, Alena Todd lekko ścisnęła go kolanami. Koń natychmiast zareagował. Szedł teraz wdzięcznym truchtem. Ze wszystkich arabów ten był najbardziej uparty. Ale i on musiał się poddać.

Ze stajni Grantów pochodziły najlepsze konie w całej Szkocji. Szybkie, wytrzymałe, a przy tym nieskazitelnie piękne. Ojciec na pewno byłby ze mnie zadowolony, pomyślała Alena. Sam chętnie by go dosiadł.

Wypadek zdarzył się dawno temu. Alena miała wówczas zaledwie dwanaście lat. Robert Todd wypadł z siodła i uszkodził kręgosłup. Nadal mógł chodzić, ale jazda konna przysparzała mu niewysłowionych cierpień. Córka przejęła jego rolę - wzięła się do ujeżdżania. Zmieniała dzikie zwierzęta w ułożone, posłuszne wierzchowce, w sam raz dla wojowników broniących interesów klanu.

Szarpnęła wodze i skierowała kasztanka w stronę stajni. Pochyliła się w przód, żeby zachować równowagę. Nigdy nie używała siodła. Była przekonana, że nic nie powinno łączyć bezpośredniej więzi człowieka ze zwierzęciem.

- Alena! - Drgnęła na dźwięk głosu chłopaka stajennego. Zwolniła. Martin biegł przez dziedziniec, wymachując kawałkiem pergaminu.

- Perkins mówił, że to dla ciebie.

- Dla mnie? - Wytarła dłonie o mocno już zużyte, skórzane nogawice i wyjęła list z ręki Martina. - Niby dlaczego? - Rozwinęła pergamin i pytanie zamarto na jej ustach.

Pół godziny później skierowała wierzchowca w stronę wzgórza, na którym wznosił się zamek Glenmore.

Stajnie znajdowały się dosyć daleko od zamku, wśród wzgórz i łąk, gdzie konie miały lepszą paszę i więcej przestrzeni. Alenie nawet się to podobało. Umiłowała wolność; źle się czuła w ciasnych kamiennych murach. Na zamku bywała rzadko, niemal tylko wtedy, gdy trzeba było dostarczyć świeżo ujeżdżonego konia do prywatnej stajni pana.

Jaśnie pana.

Dziewczyna wzdrygnęła się lekko. Parę dni temu, podczas pogrzebu poprzedniego zwierzchnika klanu, widziała Reynolda Granta. Nie wydawał się zbyt przejęty przedwczesnym zgonem wuja.

W gruncie rzeczy łączyło ich dalsze pokrewieństwo. Po śmierci ojca Reynolda matka porzuciła syna i wyjechała, aby poślubić bogatego Anglika. John Grant wychował dziecko jak własne, a mimo to w rodzinie nie było zgody. Henry i Reynold ciągle się kłócili.

Mroczny cień niespodziewanie padł na serce Aleny. Powróciły wspomnienia tamtej okropnej nocy. Widziała wszystko, tak jakby to działo się zaledwie wczoraj.

John Grant wjechał na zamek, wioząc ciało syna przywiązane do końskiego grzbietu niczym tłumok bagaży. Nieco później, Reynold - miał wówczas dwadzieścia lat - wpadł do stajni na czele czterdziestu zbrojnych i zażądał wierzchowców. Dyszeli żądzą krwi. Strach ścisnął ją za gardło.

Tak, dobrze to pamiętała. A najbardziej twarz chłopca, Iaina Mackintosha. Obiecał, że wróci.

„Wrócę po ciebie”.

W pierwszych latach po tych wydarzeniach często zaglądała na polankę ukrytą w głębi lasu. Nigdy nie znalazła tam żadnego znaku ani od Iaina, ani jego klanu. Zapomniał o przyrzeczeniu.

Po pewnym czasie przestała tam bywać. Kiedy z dziewczęciami stała się kobietą, ojciec próbował ją wyswatać. Nic z tego jednak nie wyszło. Każdy z kandydatów byłby świetnym mężem, ale ona...

Niedorzeczność! Przecież dobrze wiedziała, że Iain nigdy nie wróci. Marnowała życie i młodość, czekając na coś, co i tak by się nie wydarzyło. Kiedy się z nią spotykał, oboje byli bardzo młodzi. Mineły lata, a ona jeszcze nie czuła się gotowa, żeby wyjść za mąż. Była potrzebna rodzicom, przede wszystkim ojcu. W obecnym stanie zdrowia sam nie poradziłby sobie w stajni. Może za rok, dwa.

Dość tego. Teraz nie pora na takie rozważania. Są inne sprawy. Choćby najbliższa: dlaczego Reynold wezwał ją na zamek? Przecież zazwyczaj rozmawiał z ojcem. Robert Todd chciał jechać z córką, ale w liście wyraźnie było napisane, że ma przybyć sama, bez asysty.

Nie bała się. Znała las o wiele lepiej niż inni członkowie klanu. Wybierała się na samotne wycieczki od chwili, gdy podrosła na tyle, aby zacząć swobodnie jeździć. Uśmiechnęła się na wspomnienie letnich popołudni spędzanych z Iainem.

Wieczór był bardzo ciepły. W powietrzu wisiał upojny zapach sosen i wrzosów. Matka nalegała, by na tę okazję włożyła najlepszą jedwabną suknię. Madeleine Todd przywiozła ją z Francji przed laty, kiedy była w wieku Aleny.

Zamiast butów do konnej jazdy musiała włożyć pantofelki. U pasa jednak zawiesiła maleńki ostry sztylet, który kiedyś dostała od ojca.

W oddali zamajaczyły mury zamku. Czas zmienić pozycję na - jak to nazywał ojciec - na taką, jaka przystoi kobiecie. Alena przełożyła nogę nad końską głowę i wygładziła spódnicę.

- Jazda bokiem - mruknęła z przekąsem. Idiotyczny sposób dosiadania konia. Na pewno wymyślony dla kobiet przez mężczyzn.

Minęła bramę i podjechała do głównej baszty. Po drodze witała się z krewnymi i pozostałymi członkami klanu. Ściągnęła wodze, zsunęła się z końskiego grzbietu i uwiązała kasztanka do palika.

W sieni powitał ją Perkins. Nie знаła go zbyt dobrze. Budził w niej pewne obawy. Mówiono, że Reynold spotkał go podczas podróży w zeszłym roku i zabrał na zamek. Perkins uniósł brwi i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, jakby była kobyłą na targu.

- Pan czeka - powiedział krótko. - Tędy.

Wskazał na kamienne schody wiodące na piętro wieży.

Po kilku minutach Alena została sama w komnacie, która bez wątplenia musiała być prywatną komnatą Reynolda. Popatrzyła na rzeźbione meble i na gobeliny wiszące na ścianach. Ogień trzaskał w kominku, choć było bardzo ciepło.

Nagle jakiś dźwięk przykuł jej uwagę. Drzwi po drugiej stronie komnaty były zaledwie przymknięte. Przysunęła się bliżej. Usłyszała dwa męskie głosy. Jeden z nich na pewno należał do Reynolda, ale nie umiała rozróżnić słów. Wyglądało to na zażartą kłótnię. Głos Reynolda przybrał na sile, urósł niemal do krzyku. Nagle coś huknęło - prawdopodobnie pan zamku walnął pięścią w stół - i wrzasnął:

- Iain Mackintosh! Serce w niej zamarło.

Iain Mackintosh. Teraz pewnie jest już dorosłym mężczyzną, pomyślała. Wojownikiem. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Ciekawe, czy ma żonę? Pewnie jakąś piękną i bogatą damę. Alena potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od tych myśli. Pora wrócić do teraźniejszości. Podeszła bliżej do drzwi, żeby usłyszeć coś więcej.

Na odgłos kroków, zbliżających się szybko w jej stronę, odskoczyła od progu. Drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Przed nią stał Reynold Grant i świdrował ją spojrzeniem bladoniebieskich oczu. Nigdy przedtem nie znalazła się tak blisko niego. Napawał ją przerażeniem. Po trzydziestce, wysoki i dobrze zbudowany, miał jasną cerę i niemal białe włosy, związane w kucyk kawałkiem rzemienia. Znakomicie prezentował się w stroju

naczelnika klanu. Wódz i wojownik. Światło połyskiwało w rękojeści miecza, który mu wisiał u pasa.

Alenie nie spodobało się to, jak na nią patrzył. Odwróciła wzrok.

- Posłałeś po mnie, jaśnie panie.

- Alena - powiedział wolno, akcentując każdą zgłoskę, jakby miał do czynienia z zupełnie nowym słowem. Pocałował dziewczynę w rękę. - Jesteś piękna. Nie powinnaś chować się w stajniach.

Podszedł bliżej. Cofnęła się mimo woli.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Westchnęła z ulgą, kiedy puścił jej dłoń, odwrócił się i podszedł do okna. Rzucił okiem na zewnątrz.

- Co myślisz o tym miejscu? Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- To piękny zamek. Jeden z najpiękniejszych w Szkocji.

- W rzeczy samej.

Zesztywniała, bo znów do niej podszedł i wziął ją za rękę.

- Chciałabyś tu zamieszkać? Nic z tego nie rozumiała.

- Przecież mieszkam, jaśnie panie, niedaleko, w domu rodziców, za stajniami.

Parsknął ściszym, urywanym śmiechem, jakby ucieszony dobrym żartem.

- Nie, dziewczyno. Pytam, czy chcesz mieszkać tu, w zamku ze mną?

- Wydaje mi się, że cię nie pojmuję, panie. - Usiłowała wycofać rękę z jego uścisku, ale jej na to nie pozwolił.

- Ile masz lat, Aleno? - Przyciągnął ją odrobinę bliżej.

- Dziesięć i dziewięć, panie. Prawie dwadzieścia. - Co go to mogło obchodzić? Po co posyłał po nią?

- Dziesięć i dziewięć. Już dawno powinnaś mieć męża, a jednak wciąż żyjesz samotnie. - Uśmiechnął się. - Dlaczego?

Więc o to chodzi.

Alena zaczerwieniła się jak burak. Wyrwała dłoń z jego ręki i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie potrzebuję męża, jaśnie panie. Wolę pozostać w stajniach. Mam mnóstwo pracy.

- Nie potrzebujesz męża? Oj, coś mi się zdaje, że twój ojciec jest innego zdania.

Sprawdziły się jej podejrzenia. Ojciec musiał wcześniej rozmawiać z Reynoldem.

- Masz rację, panie.

- Właśnie. Prawdę powiedziawszy, wezwałem cię tutaj, żeby ci oświadczyć, że wkrótce wyjdiesz za mąż.

Cofnęła się z przerażeniem.

- Za mąż? - powtórzyła. - Za kogo?

Wątki uśmiech zagościł na upiornie bladej twarzy możnowładcy.

- Za mnie. W dzień świętego Jana.

Iain skierował konia w dół stromej zalesionej doliny. Nie znał tej części lasu. Jechał wolno, przeczesując wzrokiem okolicę, baczny na każde poruszenie.

Hamish i Will udali się dalej na południe. Iain skręcił na wschód, tropem sporego jelenia, największego, jakiego widział do tej pory. Zdawał sobie sprawę, że od pewnego czasu jest na ziemiach Grantów, ale niewiele go to obchodziło. Zamierzał odjechać zaraz po skończonych łowach.

Towarzysze mieli na niego czekać o kilka godzin drogi stąd, nad Loch Drurie. Iain zerknął na niebo. Miał jeszcze dużo czasu, ale stracił trop zwierzyny.

Gęste poszycie utrudniało jazdę. Słońce prześwitywało przez listowie, zmieniając tę część lasu w przedziwną baśniową krainę.

Iain jechał po cichu wzdłuż strumienia płynącego środkiem doliny. Z rozkoszą wdychał chłodny zapach mokrej ziemi. Nagle przystanął.

Jest!

Rdzawoczerwony jeleń stał w smudze światła, jakieś pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt jardów od niego. Dosyć daleko, jak na dobry strzał z łuku, ale Iain już czuł na swoich barkach słodki ciężar świeżego trofeum. Stał w strzemionach. Tak, ten jeleń będzie jego.

Ogier, wytrenowany do leśnych polowań, zamarł w bezruchu, Iain nałożył na gryf cięciwę i przetaił ją palcami umoczonymi w łożu ze słoiczka, wiszącego u pasa. Ani przez chwilę nie spuszczał jelenia z oka.

Zwierzę dało kilka ostrożnych kroków i opuściło głowę. Lekko zaryło kopytem w ziemię i otrząsnęło się gwałtownie, spryskując okoliczne krzewy deszczem maleńkich kropli wody.

Teraz lub nigdy, pomyślał Iain. Przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę do swojego patrona. Pewną ręką nałożył strzałę, naciągnął łuk i wycelował.

Mackintoshowie nigdy nie pudłowali.

Nagle jeleni poderwał głowę. Coś usłyszał. Sekundę później Iain rozpoznał głuchy tętent końskich kopyt. Jeźdźcy!

- Święty Sebastianie, pogromco sił piekielnych!

Jeleń jak zdmuchnięty zniknął za drzewami. Iain opuścił łuk, ukrył się w cieniu rozłożystego krzewu i poluzował miecz w pochwie.

Po drugiej stronie doliny, zza drzew wyłonił się kasztanek, a na nim jeździec w złotej szacie. Iain nie widział go dokładnie. Koń niemal galopem dopadł strumienia i wspiął się na tylne nogi, żeby go przesadzić. Skok był zły. Zwierzę potknęło się i zatańczyło na samym skraju wody, a jeździec spadł na ziemię.

Iain rozejrzał się, lecz poza tym nie dostrzegł nikogo. Nie zdejmując strzały z cięciwy, powoli wyjechał z ukrycia. Szum strumienia głużył pozostałe dźwięki.

Kasztanek wił się z bólu. Jeździec leżał zupełnie nieruchomo, twarzą do ziemi. Na Boga, to niewiasta! Nagle drgnęła i powoli podniosła się na kolana. Rozejrzała się wokół, jeszcze oszołomiona niedawnym wypadkiem.

Iain wstrzymał oddech.

Włosy miała w nieładzie, twarz okrągłą z lekko wydatnym podbródkiem. Rozerwana suknia odsłaniała ramię i fragment kremowej piersi. Choć była powalana błotem, Iain zauważył krwawe ślady palców, znaczące jej skórę.

Spostrzegła go i zmarszczyła brwi. Spięła się jakby do skoku. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie dziewczyna wyszarpnęła sztylet zza pasa i wycelowała go w stronę Iaina.

On zaś po cichu przyznał, że w całym swoim dotychczasowym życiu nie spotkał piękniejszej niewiasty.

Huk kopyt wyrwał go z odrętwienia. Obejrzał się. Oddział jeźdźców nadciągał doliną. Słońce połyskiwało na ich pledach. Rozpoznał barwy Grantów.

Dziewczyna też ich zobaczyła i na jej urodziwej twarzy pojawił się grymas strachu. Mocno ściskając sztylet w dłoni, tyłem podeszła do wciąż leżącego konia.

Jeźdźcy zwolnili nieco. Iain doliczył się dziesięciu, może dwunastu. Zbyt wielu, by im stawić czoło. W mgnieniu oka podjął decyzję. Przewiesił łuk przez ramię, podjechał do dziewczyny i wyciągnął rękę.

- Skacz na siodło, zanim nas dopadną.

Popatrzyła na niego, po czym znów zerknęła na swoich prześladowców. Schowała sztylet, dała dwa kroki i stanęła, jakby naraz coś sobie przypomniała.

- Mój koń! - zawołała i odwróciła się w stronę rannego zwierzęcia. - Muszę mu pomóc.

Chryste Panie! Iain błyskawicznie ściągnął łuk z ramienia, napiął go i wypuścił strzałę wprost w serce kasztanka. Koń drgnął lekko i znieruchomiał.

- Zabiłeś go! - krzyknęła dziewczyna.

Ruszył w jej stronę, schylił się, w przelocie pochwycił ją w talii i lekko uniósł na siodło. Zmusił wierzchowca do szybszego biegu. Gdy pędzili przez las, zachodził w głowę, co go skłoniła do tak szalonego czynu?

ROZDZIAŁ DRUGI

Koniec polowania.

Iain ściągnął wodze. Zmęczony ogier z ulgą zwolnił biegu. Jakimś cudem udało im się ująć pogoni. Teren był niebezpieczny i pofałdowany, a wierzchowiec zmęczony pościgiem za zwierzyną.

Dziewczyna zemdląła - pewnie z wyczerpania i na skutek upadku - ale przedtem zdążyła jeszcze pochylić się w siodle i objąć ogiera rękami za szyję. Zdawać by się mogło, że coś mu czule szepnęła do ucha. Koń skoczył naprzód, jak pchnięty ostrogą i popędził cwałem przez pola i lasy. Grantowie zostali w tyle.

Iain podtrzymał dziewczynę jedną ręką. Głowa opadła jej w tył, złote włosy spłynęły kaskadą na ramiona. Pełne usta były leciutko rozwarte.

- Boże święty! - wyszeptał Iain, z trudem się powstrzymując, żeby jej nie pocałować.

Jednocześnie miał ochotę bronić ją przed całym światem. Skąd mu to przyszło do głowy? Skrzywił się z niesmakiem. Nie pora na takie rozważania.

Stanęli na małej, osłoniętej polanie. Iain, z dziewczyną w ramionach, ostrożnie zsunął się z siodła. Położył ją na pościeli z mchu, na brzegu strumyka. Tutaj byli bezpieczni, przynajmniej przez dłuższą chwilę.

Na Boga, jest taka piękna!

Iain nie znał się na kobietach. Mało z nimi obcował, niewiele o nich myślał, skupiony na zemście. Wszak dzień zapłaty zbliżał się wielkimi krokami.

Odciał skrawek pledu i starannie przemył ubłocone policzki i szyję dziewczyny. Po chwili wahania przetarł jej ramiona. Widział przy tym, jak jej piersi wznoszą się i opadają przy każdym oddechu.

We włosach miała kilka zwiędłych liści. Zgarnął je dłonią i zamarł, tknięty nagłym przecuciem. Nie, pomyślał. Przecież to niemożliwe. Był pewny, że nigdy jej przedtem nie widział. Takiej twarzy się nie zapomina.

Popatrzył na jej suknię. Czysty jedwab, a zatem miał do czynienia z damą. Ciekawe, z jakiego klanu? Kasztanek nie nosił godła ani znaków. Prawdę mówiąc, był także bez siodła i strzemion. Na oklep prześcignęła Grantów? Zatem musiała być wspaniałym jeźdźcem.

Wiedziony odruchem, delikatnie pogładził jej dłonie. Pod palcami wyczuł stwardniałą skórę. Dama z rękami służebnej? Dziwne. Wiedział jednak, że już niedługo rozwiąże tę zagadkę.

- Obudź się, moja mała - szepnął, rozcierając jej zziębnięte dłonie.

Zięb przesywał jej całe ciało.

Całe, z wyjątkiem dłoni. Nagle przypomniała sobie ostatnie wydarzenia. Boże, co za koszmar! Jak dobrze, że to tylko sen. Głęboko zaczerpnęła tchu i otworzyła oczy.

- Jezu!

Zobaczyła nad sobą sylwetkę wojownika, ciemną jak smoła na tle jasnego słońca.

- Nie!

Wyrwała ręce z jego dłoni i pchnęła go kułakami w pierś.

- Spokojnie. - Przytrzymał ją za ramiona. - Już po kłopotach. Nic ci się przy mnie nie stanie.

Na chwilę zamarła w bezruchu. Napięcie z niej opadło. Powoli ułożyła się na wznak i złożyła głowę na mchu. Boże, to nie był sen! To wszystko działo się na jawie!

Obcy pogładził ją po ręku. Najdziwniejsze, że wcale się go nie bała. Prawdę mówiąc, przy nim czuła się... bezpieczna?

Tak, bezpieczna.

Przypomniała sobie o pościgu. Usiadła gwałtownie i z wyraźnym strachem rozejrzała się po polanie.

- Gdzie oni? Gdzie?

- Cicho! - Skłonił ją, by znów się położyła. - Zostali daleko z tyłu. Tu nas nie znajdują.

Po chwili wahania przyłożył jej do czoła zwilżony skrawek materiału. Nie zaprotestowała.

Obserwowała go spod oka. Był przystojny, męski, lecz jednocześnie jakby zamyślony. Miał długie włosy, na jednej skroni splecione w mały warkoczyk. A jego oczy. Gdzie je już widziała?

Miał zamiar obmyć jej ramiona. Usiadła i zdecydowanym ruchem odtrąciła jego rękę.

- Jesteś ranna - powiedział. - Krew.

- Nie! - Naciągnęła skrawek poszarpanej sukni, żeby zakryć na wpół obnażone piersi. Nagle zrobiło jej się gorąco. Poczowała, że się czerwieni.

- To nie moja krew. Ze wstrętem przypomniała sobie chwilę, gdy Reynold Grant usiłował pochwycić ją w ramiona. Krótka audyencja zakończyła się całkowitym fiaskiem. Dlaczego, na Boga, zamierzał pojąć ją za żonę? Przecież to nie do pomyślenia. Był naczelnikiem klanu, więc mógł mieć każdą, którą zechciał.

Niestety, wybrał ją.

I jakby tego było mało, usiłował wymusić na niej zgodę. Zagroził, że wyrzuci jej ojca z majątku, jeśli nie dojdzie do ślubu. Stary masztalerz zginąłby bez opieki klanu. W najlepszym razie stałby się żebrakiem.

Boże, co ja uczyniłam! - pomyślała z rozpaczą.

Gdy odmówiła, chwycił ją w objęcia. Przerażona wyrwała sztylet zza pasa i cięła go w twarz. Dopóki nie zobaczyła krwi, nie zdawała sobie sprawy z tego, co zrobiła. Działała odruchowo, w samoobronie. Każda dziewczyna postąpiłaby tak na jej miejscu. Uciekła z komnaty, dosiadła konia i pognęła do lasu, byle dalej od tego przeklętego zamku.

Poczuła na sobie uważne spojrzenie nieznajomego. Przysiadł na piętach.

- Czy ktoś cię skrzywdził? - spytał.

W jego oczach widniała nieklamana troska.

- Nie - odpowiedziała Alena. - Nic mi nie jest. Naprawdę.

Skrzyżowała ręce na piersiach. Podał jej mokry kawałek tkaniny.

- Nie musisz się mnie obawiać - zapewnił.

Przetarła ręce i ramiona. Zadrżała na wspomnienie ścigających ją żołdaków.

Mężczyzna zdjął bukłak z siodła.

- Masz, wypij - powiedział. - Na pewno dobrze ci to zrobi.

Była bardzo spragniona, więc niewiele myśląc, pociągnęła solidny łyk i omal się nie zakrztusiła. Oczy wyszły jej z orbit. Zakasłała.

- Co to jest? - wychrypiała przez ściśnięte gardło. Roześmiał się.

- Bimber pędzony przez mojego brata.

- Coś okropnego! - Z trudem łapała oddech. Trunek palił ją w krtani i spływał do żołądka.

- Owszem - zgodził się nieznajomy - ale za to pozwala mi się rozgrzać w czasie zimnych nocy.

Alena chrząknęła głośno. Nieoczekiwanie dla siebie samej poczuła się dużo lepiej. Z uśmiechem oddała mu bukłak.

Obcy usiadł przy niej ze skrzyżowanymi nogami. Po raz pierwszy zauważyła, jak mocno jest zbudowany. Miał szerokie ramiona i dobrze umięśnione nogi. Przyłapał ją na tym spojrzeniu, więc znów spiekła raka. Szybko zerknęła w bok.

- Uciekałaś jak spłoszony królik przed oddziałem Grantów - zagaił. - Co się stało?

Poparzyła na niego. Przyglądał się jej z uśmiechem.

- Nie zrobiłam nic złego! - zawołała. - I... i wcale nie uciekałam. Po prostu... jechałam sobie.

- A ja jestem królem Szkocji. - W jego niebieskich oczach błysnęło rozbawienie. - Jeszcze chwila i wpadłabyś w ręce pogoni.

- Gdyby mój koń nie zawiódł, na pewno by mnie nie dopadli! - zaprotestowała.

Podrapał się po nieogolonej brodzie.

- Twój koń? Zatem sama należysz do Grantów?

- Nie! - Wiedziona nieodgadzionym strachem, nie chciała wyznać mu prawdy. Przynajmniej nie w tej chwili. - Uciekałabym przed krewniakami?

- A więc uciekałaś.

- Tak. Nie! - Przekręcał każde jej słowo. Rozejrzała się z przerażeniem. - Tego nie powiedziałam.

Pochylił się w jej stronę.

- To co robiłaś?

- Ja... ja. Kim ty właściwie jesteś? Zanim skończyła mówić, już wiedziała.

Co prawda, miał na sobie zwykły myśliwski strój, ale promienie gasnącego, słońca padły na złotą broszę, którą nosił na lewym ramieniu. Rozpoznała herb klanu: dzikiego kota, wspiętego na tylne łapy, z wyszczerzonymi kłami.

Nie musiał jej się przedstawiać. Ta twarz, te oczy. Poznałaby go po ciemku. To był Iain Mackintosh, jej pierwszy i jedyny ukochany.

ROZDZIAŁ TRZECI

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że właśnie tak będzie wyglądało ich spotkanie po latach.

Dźwignęła się na nogi, odtrącając jego pomocną rękę. Trochę kręciło jej się w głowie. Nie wiedziała, czy to ze szczęścia, czy z radości. Pewnie od alkoholu, pomyślała.

Podeszła do konia. Gdyby szybko skoczyła na siodło...

Iain położył jej rękę na ramieniu. Zamarła w bezruchu.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Ja. - Nie umiała kłamać. Może wystarczy część prawdy? - A... Alena. Tak, Alena.

- To nie jest szkockie imię. Mówisz jak Szkotka, chociaż trochę dziwnie - zauważył z zastanowieniem. - Coś mi się wydaje, że już cię gdzieś widziałem.

Serce zabiło jej gwałtownie. Odwróciła się i bezwiednie pogładziła wierzchowca po szyi.

- Ja cię nie znam.

Wyczuwała, że wciąż na nią patrzył. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach.

- Masz jakieś nazwisko? Z jakiego jesteś klanu? Klanu? Och, nie! Potrzebowała nieco więcej czasu, żeby

to wszystko przemyśleć. Reynold, rodzice, Iain! Przecież znalazł ją przez czysty przypadek. O tym nie wolno zapominać. Wcale jej nie szukał. Co więcej, mógłby ją zabić, gdyby tylko wiedział, że była z klanu Grantów. Nie, nie. Najpierw plan.

- Jestem Alena i to na razie musi ci wystarczyć - odrzekła buńczucznie.

W jego oczach błysnęło coś na kształt rozdrażnienia. Na pewno nikt nie zwracał się do niego w ten sposób.

- Kiedy pytam, niewiasto, masz mi odpowiedzieć - wycedził chłodno. Wydawało się, że urósł w oczach. - I nie próbuj kłamać. Mów, jak się nazywasz?

- Nie powiem. - Nie mogła powiedzieć. Wydęła wargi i spojrzała na niego wyzywająco.

Przez moment miała wrażenie, że ją uderzy. Iain stał jednak bez ruchu, tylko zaciskał pięści i łypał na nią ponuro. Nie dała się zastraszyć.

- Jak chcesz. Zatem zostawiam cię tak, jak cię znalazłem.

Przeszedł koło niej i zręcznym ruchem skoczył na siodło.

Nic się nie zmienił przez te wszystkie lata. Wciąż ją potrafił zdenerwować dumą i arogancją. Szarpnął wodze i skierował wierzchowca na ścieżkę. Dobry Jezu, naprawdę chciał ją tu zostawić?

Słońce już przygasło i na pociemniałym niebie zapaliły się pierwsze gwiazdy. Za godzinę robi się ciemno i zimno. Nie miała konia ani bronii z wyjątkiem sztyletu, ani nawet porządnego okrycia. Wyglądała niczym żebraczka i zachowywała się nie lepiej. Pożałowała swojej impertynencji. Przecież Iain chciał jej pomóc.

Zawrócił konia, jakby czytał w jej myślach. Z jego zaciętego wyrazu twarzy i pochmurnego spojrzenia zrozumiała, co zamierzał zrobić.

- Nie, zaczekaj.

Nie zwrócił uwagi na jej protesty. Pochylił się, złapał ją wpół i posadził przed sobą na koniu. Poczowała jego oddech w swoich włosach.

Mogła się tylko poddać. Przynajmniej na parę godzin. Wtulona w jego szeroką pierś, siedziała bez najmniejszego ruchu, zastanawiając się, do czego to wszystko razem doprowadzi.

Wydawało jej się, że jada całą wieczność. Kilka razy usiłowała poprawić się w twardym siodle, ale ręka Iaina przytrzymała ją na miejscu.

Wreszcie Iain osadził konia. Stanęli na skraju lasu, skąd rozciągał się widok na rozległą dolinę. Księżyc błyszczał srebrzystą poświatą. Gdzieś w dole połyskiwały mleczne wody długiego, wąskiego jeziora.

Alena nigdy w życiu nie była tak daleko od rodzinnego domu.

Iain zjechał nad samą wodę. Poczowała woń dymu. Prześliznęli się wzdłuż brzegu, aż dotarli do olbrzymiego głazu. Tu Iain, jakby na dany znak, zawrócił w stronę lasu. Wśród drzew prześwitywała wąła łuna. Ktoś palił ognisko.

Co to za miejsce?

Dwaj ludzie stali w kręgu światła rzucanego przez ogień. Jeden z nich odezwał się donośnym głosem:

- Wrócił nareszcie nasz myśliwy i... Na świętego Jana! Spójrz na to! - zawołał do towarzysza.

Podeszli bliżej, otwierając usta ze zdumienia. Większy z nich szybciej odzyskał mowę.

- Cenne trofeum, drogi przyjacielu. Nie wygląda mi jednak na jelenia.

Iain poruszył się niecierpliwie.

- Za to waży jak całe stado. Weźcie ją.

Zanim Alena zdążyła zeskoczyć z konia, Iain dosłownie rzucił ją w ramiona olbrzyma. Ten po chwili postawił ją na ziemi. Z trudem stanęła na nogach. Drżały jej kolana. Była całkiem zdrętwiała od długiej jazdy w niewygodnej pozycji.

Drugi wojownik podbiegł, żeby ją podtrzymać. Na jego okragłej, niemal dziecięcej twarzy malował się wyraz szczerzej troski. Alena uśmiechnęła się do niego. Stanęła prosto i wzrokiem spiorunowała Iaina.

Nie pozostał jej dłużny. Jego oczy zabłyśły w świetle ogniska.

- Uhm - mruknął z pogardą.

Zsiadł z konia, zaplątał się nogą w strzemień i omal nie upadł. Zaklął pod nosem na czym świat stoi.

Widząc to, olbrzym ryknął niepohamowanym śmiechem.

- Od razu widać, kogo ugodziła strzała.

Umilkł, gdy poczuł na sobie gniewne spojrzenie Iaina, lecz w dalszym ciągu uśmiechał się pod rudym wąsem.

- Znalazłem ją w lesie - wyjaśnił Iain. Poluźnił popręgi i puścił ogiera na popas. - Straciła konia.

- Zabiłeś go! - wypaliła Alena.

- Musiałem to zrobić. Miał złamaną nogę.

- To był prawdziwy arab. Mogłam go uratować.

- Cicho!

Zadygotała, przestraszona. Iain Mackintosh nie był już dzieckiem. Lepiej, by o tym pamiętała. Znalazła się w trudnej sytuacji, oględnie mówiąc.

Iain przestał zwracać na nią uwagę.

- Ludzie Grantów - wyjaśnił. - Tuzin ich było lub coś koło tego. Ścigali ją.

Na twarzach obu wojowników pojawił się wyraz zdziwienia. Popatrzyli po sobie, a potem spojrzeli na dziewczynę. Dopiero teraz zauważyli jej podartą suknię i krew na jedwabiu. Policzki Aleny płonęły żywym ogniem. Zasłoniła piersi.

- Jesteś ranna, pani? - zapytał ten młodszy.

- Nie - odparta. - Tylko... zimno mi trochę.

Obaj ruszyli w jej stronę, zdejmując pled. Iain osadził ich w miejscu jednym groźnym spojrzeniem. Młodszy demonstracyjnie

wzruszył ramionami i wskazał Alenie miejsce przy ognisku. Iain popatrzył za nią, lecz nie podszedł bliżej.

Rzeczywiście noc zapowiadała się chłodna. Alena wyciągnęła dłonie do ognia Szumiało jej w głowie od natłoku myśli. Jedna rzecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości: Iain był Mackintoshem, ona - z klanu Grantów.

- Wrogowie - bezwiednie szepnęła do siebie.

- Co takiego? - Młodszy wojownik z zaciekawieniem na nią popatrzył.

- Och, nic takiego.

Nad ogniskiem piekł się soczysty udziec. Alenie ślinka pociekła do ust. Głodna była jak wilk. Młodzieniec chyba to zauważył, bo odciął spory kawał mięsa i podał jej go na dużym liściu. Podziękowała mu z całego serca.

Jedli w milczeniu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Alena zerknęła z ukosa na swego towarzysza. Zaczerwienił się jak dziewczyna. Był wzrostu Iaina, ale szczuplejszy, o zamyślonych piwnych oczach i łagodniejszym obejściu.

Uśmiechnęła się.

- Jestem Alena.

- To dla mnie zaszczyt, lady Aleno. Ja mam na imię Will. Pasowało do niego. Już zamierzała mu powiedzieć, że

wcale nie jest damą, lecz córką maształerza, ale w porę ugryzła się w język. Lepiej, żeby nikt z nich nie wiedział za dużo.

Wskazała na rudego olbrzyma, który wraz z Iainem trzymał się na samym skraju jasnego kręgu światła.

- A twój kompan?

- To Hamish.

- Hamish - powtórzyła. Przyjrzała mu się spod oka. Miał gęstą rudą brodę i dłonie wielkie jak szynki. Zdażyła go polubić, choćby za jego humor.

- Ten trzeci? - Wskazała na Iaina.

- Iain?

A zatem się nie pomyliła. Uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie.

- Nie podał ci swojego imienia, pani?

- Nie. - Zmarszczyła brwi. - Iain?

- Mackintosh. Z tych Mackintoshów. Naczelnik klanu.

- Naczelnik? - To jej nie zdziwiło. - Rozmawiacie jak równy z równym. Pozwala na to?

- Ależ tak. Od dzieciństwa jesteśmy przyjaciółmi. Od czasów starego pana, ojca Iaina.

- Will!

Drgnęli oboje. Zajęci rozmową, nie zauważyli, kiedy Iain stanął przy ognisku,

- Zostaniemy tu na noc. - Wzrok Iaina padł na pieczyste. - Co tam dziś na kolację? - przemówił łagodniejszym tonem. - Dżiczyna?

- Ano tak - odparł Hamish i klepnął go w ramię. - Niektórzy z nas mieli odrobinę mniej szczęścia od ciebie na polowaniu.

Mrugnął okiem do Aleny. Z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Iain gniewnie zamruczał coś pod nosem i zabrał się do jedzenia. Zachowywał się już spokojniej niż podczas długiej jazdy.

Alena zrozumiała nagle, że muszą być daleko od ziem Grantów. Daleko od zamku Glenmore. Jak miała tam teraz wrócić? Przecież rodzice będą się zamartwiać.

Dzień świętego Jana.

Słowa Reynolda zahuczały jej w głowie niczym odległy łomot bębna. Nie. Dziś nie powinna o tym myśleć. Zwłaszcza nie teraz.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Przysunęła się bliżej ognia. Poszarpana suknia znów jej się osunęła z ramion. Zakryła się szybko. Siedzący po drugiej stronie Iain przypatrywał jej się z pozorną obojętnością.

- Lady Aleno - szepnął Will. - Mam w jukach igłę i kłębek nici. Czasami to się przydaje, zwłaszcza podczas dalekich wypraw. Nie chciałabyś zeszyć swojej sukni?

- Och, tak. - Uśmiechnęła się. - Bardzo dziękuję.

Will pogmerał w skórzanej torbie i wyjął stamtąd kawałek tkaniny z wetkniętą igłą i nici.

- To powinno wystarczyć - powiedział.

Iain wstał nagle i odpiął broszę z godłem klanu. Sztyletem odciął długi pas pledu.

- Masz, dziewczyno - zawołał. - Okryj się tym jak szalem, kiedy będziesz szyła.

Ujął ją swoim gestem. Przypomniała sobie, że zawsze był taki. Pozornie obojętny, ale w głębi serca czuły i troskliwy.

Przez chwilę spoglądali sobie prosto w oczy. Alena podziękowała i już miała odejść w stronę lasu, kiedy krzyknął za nią:

- Lepiej idź nad jezioro. Tam jest bezpieczniej.

Miał w oczach coś dziwnego. Ufała mu bez zastrzeżeń. Wiedziała, że wrodzone poczucie honoru kazało mu jej bronić, bez względu na to, kim jest.

Na brzegu jeziora zarzuciła na siebie „szal” Iaina i zaczęła borykać się z suknią. Koronki były mocno ubłocone, poplamione zakrzepłą krwią i podarte w kilkunastu miejscach. Nieważne. Tę suknię dostała od matki, więc musiała ją jakoś uratować.

Mokry powiew znad wody ochłodził jej rozpaloną głowę. Nagle poczuła się zupełnie wolna i bezpieczna. Dobrze wiedziała, że Iain nie da jej zrobić krzywdy, przynajmniej dopóty, dopóki nie pozna jej prawdziwego nazwiska. Musiała szybko coś wymyślić, jeśli nie chciała, by ją przejrzał. Jeszcze nie dzisiaj.

Chwiała się z wyczerpania. Zrzuciła szal i dla orzeźwienia przemyła twarz i ramiona zimną wodą. Potem ubrała się na nowo.

W wyobraźni widziała rozczochranego chłopca o zapłakanej buzi, tulącego do piersi bogato zdobiony sztylet. Obraz zblakł, a w jego miejsce zjawił się srebrny wizerunek zwinnego i muskularnego kota. Wreszcie ujrzała twarz mężczyzny o przenikliwych niebieskich oczach, którymi potrafił, wydawało się, przejrzeć ją na wskroś.

Westchnęła cicho. Wydawało jej się, że ktoś bierze ją w ramiona i unosi do ciepłego i tchnącego spokojem domu.

Alena uchyliła powieki. Był blady świt. Pod plecami czuła coś miękkiego i twardego zarazem, emanującego ciepłem. Jakiś rozkoszny ciężar spoczywał na jej piersiach.

Czuła się wspaniale.

Otworzyła oczy. Tuz przed sobą zobaczyła wygasłe ognisko, a przy nim dwie sylwetki śpiących. Spod jednego z pledów wystawała gęsta ruda czupryna. Hamish! I Will! Oczywiście.

Iain.

Odrzuciła przykrywający ją pled i zobaczyła, że to ręka Iaina przyciska ją do ziemi. Nie chciała go obudzić. Delikatnie wyplątała się z jego objęć i wstała.

Na pobliskim kamieniu znalazła starannie złożoną suknię, owiniętą w derkę dla ochrony przed poranną rosą. Wzięła ją do ręki. Przypomniała sobie, że z wieczora zasnęła nad robotą. Ktoś jednak

pozszywał resztę koronek i usunął wszelkie ślady krwi i błota. Alena z wdzięcznością popatrzyła na śpiącego Willa.

Nie tracąc czasu, nałożyła suknię i zasznurowała tasiemki stanika. Nie miała czym się uczesać, więc po prostu pochyliła głowę i kilkakrotnie przejechała palcami po splątanych włosach.

Chwilę później, wciąż nisko schylona, zamarła w bezruchu, widząc tuż przed sobą parę męskich cizm. Wyprostowała się szybko. Przed nią stał Iain.

Wziął się pod boki i z zaciekawieniem przyglądał jej się przez chwilę. Alena dumnie uniosła głowę. Nie dam ci się zastraszyć, pomyślała.

- Zielone - powiedział sucho. - Tak myślałem.

- Co „zielone”? - spytała.

- Twoje oczy. - Wpatrywał się jeszcze trochę, a potem odwrócił się i odszedł w stronę wygasłego ogniska.

Alena poczuła gęsią skórkę, ale nie ze strachu.

Powoli poszła nad jezioro, żeby się trochę umyć. Słońce weszło już ponad drzewa i wąskie smugi blasku przebijały się przez gęstą mgłę, wiszącą tuż nad lustrem wody.

Alena popatrzyła na wysoki głaz, sterczący na brzegu jeziora. Jak to się stało, że półnaga znalazła się pod pledem, u boku Iaina Mackintosha?

Wyjechali spomiędzy drzew na rozległą równinę. Przed nimi ciągnęła się usiana kamieniami łąka, tu i ówdzie porośnięta kępami letnich kwiatów. Powietrze przesycił zapach wrzosów, pokrywających fioletowym kobiercem góry Szkocji. Cudowny widok, pomyślała Alena. Znów przypomniała sobie stare dobre czasy dziecięcych zabaw z Iainem. On miał wówczas dwanaście lat, ona - osiem.

To było bardzo dawno temu, uświadomiła sobie ze smutkiem.

Odpoczęli chwilę przy wąskim strumyku, zjedli nieco sucharów i sera. Konie z zadowoleniem pasły się w gęstej trawie.

Alena powoli podeszła do ogiera. Pogładziła go po grzbiecie i przesunęła dłonią wzdłuż dobrze umięśnionej nogi. Bojowy rumak, godny wojownika i znakomicie utrzymany. Prawdopodobnie angielskiego chowu z lekką domieszką szkockich Clydesdale. Dwa pozostałe konie były nieco smuklejszej budowy, mniej silne, ale też

zadbane. Ten, kto prowadził stajnie Mackintoshów, był prawdziwym mistrzem w swoim fachu.

Cofnęła się kilka kroków i wsparta ręce na biodrach. W zadumie pokiwała głową. Czuła na sobie wzrok Iaina. Odwróciła się w jego stronę.

- Jeśli już skończyłaś oględziny, to możemy ruszać w dalszą drogę. - Wspiął się na siodło i wyciągnął do niej rękę.

Alena zawahała się. Wciąż pamiętała ranne przebudzenie. Dobrze jej było w jego ramionach. Oj, już nie byli dziećmi.

Podeszła do Willa, który właśnie przywiązywał juki do siodła.

- Mogę teraz pojechać z tobą?

- A... a... ależ tak, milady... Będę...

Reszta zdania uwięzła mu w gardle, bo Iain podjechał w ich stronę i jednym zręcznym ruchem zgarnął Alenę dla siebie. Ani się spostrzegła, jak znalazła się na końskim grzbiecie. Szarpała się zawzięcie, lecz jej nie puścił.

- Musisz to robić?

Skierował konia w stronę najbliższego wzgórza. Suknia Aleny zawinęła się w czasie szarpaniny, odsłaniając jej łydki i kolana. Dziewczyna usiadła prosto i szybko wygładziła fałdy jedwabiu.

Za każdym razem, kiedy próbowała choć trochę się odsunąć, Iain na powrót przyciągał ją do siebie.

- Potrafię sama utrzymać się w siodle. Dziękuję.

- Możesz spać - odparł krótko. Parsknęła urywanym śmiechem.

- Jestem najlepszym jeźdźcem klanu.

- Jakiego klanu? - spytał natychmiast.

- Nie twoja sprawa. - Znów spróbowała się odsunąć. Wzmocnił uścisk.

- Właśnie, że moja, dziewczko. Po co się oszukujesz? I tak dowiem się, kim jesteś - wycedził zimnym tonem. Alena zadrżała mimo woli.

- Dokąd mnie wiesz?

- Do domu. Zostaniesz u nas, póki nie wyjdzie na jaw, co cię naprawdę łączy z Grantami.

Serce zatrzepotało jej jak spłoszony ptak. Poczowała ucisk w gardle. Co miała teraz począć? I gdzie właściwie był ten dom, o którym wspominał Iain?

Kiedy wjechali na szczyt łysej góry, u ich stóp rozpostarł się wspaniały widok. Daleko w dole leżał gęsty las. Za nim ciągnęła się

równina, a za nią - srebrna nitka odległej rzeki Spey, krętą drogą podążającej do zaniku Glenmore... i do Reynolda Granta.

Nareszcie wiem, gdzie jestem, pomyślała Alena.

Oczy jej się zaszklily, gdy przypomniała sobie wczorajsze wydarzenia. Wydawać by się mogło, że uciekła z Glenmore całe wieki temu. Jej rodzice na pewno szaleli z niepokoju, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Dopiero teraz w pełni zrozumiała, że ojciec nigdy w życiu nie wydałby jej za Reynolda. Zatem dlaczego nowy naczelnik klanu tak bardzo domagał się ślubu?

Otarła oczy i próbowała nie myśleć o przyszłości. Dzień świętego Jana był jeszcze daleko.

Iain puścił wodze. Coś zaszeleściło i jakaś biała płachta przemknęła przed jej twarzą. Alena odwróciła głowę. Iain siedział za nią półnagi i upychał w jukach wełnianą koszulę.

- Upał jak diabli - rzekł tonem wyjaśnienia i znowu przycisnął dziewczynę do siebie. Jechali z boczem wzgórza prosto na południe.

Alena zauważyła, że oddalają się od ziem Grantów i Mackintoshów. Dokąd więc zmierzali?

Will i Hamish przystanęli na chwilę, aby przełożyć ciężką tuszę sarny, upolowanej wczoraj przez Willa, z jednego konia na drugiego.

Popołudniowe słońce grzało rzeczywiście mocno. Alena uniosła głowę i przymknęła powieki. Zdażyła już się opalić, doglądając koni na łące przy stajni. Jej kształtny nos pokrywały drobne brązowe piegi, niewidoczne zimą. Matka czasami przezywała ją Piegusem. Alena uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Madeleine Todd wychowywana była na francuskim dworze, wiedziała więc, co przystoi, a co nie przystoi damie, i jakie stroje są najodpowiedniejsze dla młodego dziewczęcia z porządnej rodziny. Alena jednak uparcie wyrywała się spod kurateli matki. Preferowała luźne suknie i swobodne fryzury - w sam raz do roboty w stajni.

Odruchowo poprawiła włosy. Z rozleniwieniem oparła się o Iaina i... niemal zdrętwiała z przerażenia, czując na swoich plecach dotyk jego obnażonej piersi. Zapomniała, że z tyłu sukni jest głęboko wycięty dekolt.

Ogarnęła ją fala gorąca. Przypomniała sobie, że musi wyjaśnić jeszcze jedną wątpliwość. Wystarczyło przecież zapytać. Choćby teraz.

- Iain?

Mruknął coś w odpowiedzi, chyba na znak, że słucha.

- Chodzi o zeszłą noc, nad jeziorem. Nie pamiętam...

- Och. - W lot zrozumiał, o co go chciała spytać. - Znalazłem cię śpiącą nad jeziorem i zaniósłem z powrotem do ogniska.

A więc to nie był tylko sen? Przyjemny dreszcz przeszył jej ciało.

- Ale gdy się obudziłam, byłeś... byliśmy.

- Chyba nie sądzisz, że pozwoliłbym ci uciec pod osłoną nocy?

Na pewno by nie pozwolił.

Kilka godzin później dotarli do następnego lasu, mniej gęstego niż puszcze ciągnące się na północnym wschodzie. Ogier wszedł na wyraźnie uczęszczaną ścieżkę i przyspieszył kroku. Samorzutnie przeszedł do galopu. Iain nie próbował go powstrzymać. Przemknęli między drzewami i wyjechali na trawiasty pagórek.

- Jezu! - zająknęła się Alena.

Przed nimi stała wielka budowla z drewna i kamienia. Z kominów buchał gęsty dym, jakby na powitanie. Dom był olbrzymi niczym zamek i okolony grubym murem. Musiało mieścić się w nim ze dwadzieścia izb. Alena zobaczyła dachy innych, mniejszych chałup, też ukrytych za murem.

- Co to za miejsce?

- Braedun Lodge - odrzekł Iain. - Dom mojego wuja, Alistaira Davidsona i ciotki Margaret.

Oczywiście! Kiedy byli dziećmi, często wspominał o swojej matce, Ellen. Tak chyba brzmiało jej imię, Ellen Davidson Mackintosh. Zapewne uciekła tutaj po najeździe Grantów na zamek Findhorn i śmierci Columa Mackintosha.

Iain skierował wierzchowca na ogromny dziedziniec. Zewsząd rozległy się głośnie okrzyki radości. Alena zobaczyła, że tartan Davidsonów jest nieco ciemniejszy niż ten Mackintoshów.

Czeladź z zaciekawieniem patrzyła na dziewczynę, zamkniętą niczym ptak w klatce w silnych ramionach Iaina. Schodzili mu z drogi. Ogier sprawiał wrażenie, jakby doskonale wiedział, dokąd idzie. Kierował się w stronę stajni.

W drzwiach głównego domostwa stała młoda dziewczyna, ciemnowłosa, z koszem polnych kwiatów. Miała nie więcej niż szesnaście lat. Jej ładna twarzyczka wciąż była okrągła niczym buzia dziecka.

Will podjechał do niej i pochylił się w siodle. Dziewczyna powitała go promiennym uśmiechem, a młodzieniec zaczerwienił się, lecz dumnym ruchem głowy pokazał jej trofeum, przytroczone do siodła. Dziewczyna głośno wyraziła swój zachwyt. Will z niekłamaną dumą wyprostował się w siodle, nadymając się jak balon.

Iain i Hamish, chichocząc, dojechali do stajni i rzucili wodze dwóm nadbiegającym pachołkom. Długa podróż dobiegła końca.

Za stajennymi wyłonił się jakiś starszy człowiek o siwych włosach, ubrany w strój Mackintoshów i skórzane buty do konnej jazdy. Popatrzył na Alenę. Dziwne. Miała takie wrażenie, jakby go już poznała. Nie bądź głupia, pomyślała. Przecież nigdy przedtem nie byłaś w tym miejscu.

Iain uniósł ją z siodła. Tylko nie to! Wyrwała się z jego objęć.

- Dajże mi święty spokój! Tysiące razy o własnych siłach zsiadałam z konia!

Uniósł ręce w geście poddania.

- Dobrze! Dobrze! Rób jak chcesz, złońco.

Spiorunowała go wzrokiem przy ostatnim słowie, choć powiedział je dużo ciszej.

Iain lekko zeskoczył z konia. Przelotnie zerknął na dziewczynę, ale zaraz podszedł do siwego człowieka.

- Duncanie - powiedział łagodnie.

- Mości panie. - Tamten uśmiechnął się z radością. - Witaj w domu.

Iain klepnął go w plecy i podszedł do koryta, w którym Hamish mył ręce.

Alena wciąż jeszcze siedziała na koniu. Duncan zbliżył się do niej i wyciągnął silną, steraną prawicę. Miał ogorzałą twarz jak ktoś, kto przez całe życie przebywał na świeżym powietrzu. Alena uśmiechnęła się do niego, chwyciła go za rękę i zeskoczyła na ziemię.

Spojrzeli sobie prosto w oczy. Duncan uśmiechnął się serdecznie.

- Cóż zatem sprowadza Alenę Todd do Braedun Lodge? - spytał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie można było z nim się dogadać.

Alena niecierpliwie krążyła po bogato umeblowanej izbie. Z trudem panowała nad zdenerwowaniem. Zanim ochłonęła po spotkaniu z Duncanem, Iain zaciągnął ją do domu i umieścił na piętrze, nad głównymi schodami.

Nie słuchał jej protestów. Krzyczała, że wolałaby sypiać w stajni. Odparł na to, że tu będzie lepiej, bo musi mieć ją na oku.

Kim była, więźniem?

Komnata okazała się przepiękna. Alena przesunęła dłonią po kolorowym gobelinie, zakrywającym ścianę. W kominku płonął ogień, a pośrodku stała ogromna balia, po brzegi wypełniona gorącą wodą. Dla niej. Na taki luksus niewielu mogło sobie pozwolić, choć jej w zupełności wystarczałoby wiadro lub kąpiel w stawie za stajnią. Tymczasem Hetty - dziewczyna, którą widziała z Willem - postawiła w kuchni na ogniu nowy gar z wodą.

Olbrzymie, okno wychodziło na dziedziniec stajni, gdzie Duncan oglądał koniom podkowy. Dwaj stajenni i jakiś młodzieniec, podobny do Duncana, wycierali zwierzętom grzbiety. Duncan odstąpił parę kroków i warknął coś rozkazującym tonem. Tak jak się spodziewałam, pomyślała Alena. Był masztalerzem.

Ale skąd, do diabła, znał moje imię?

Skrzypnięcie drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Dwóch służących, poganianych przez Hetty, dołało wody do balii. Za nimi weszła starsza kobieta, w barwach Mackintoshów. Wsparła ręce o biodra i patrzyła ponuro, uważając, aby służący nie rozlali ani kropli.

Kiedy wyszli, Hetty zaciągnęła skórzaną zasłonę na okno.

Alena popatrzyła na starszą z dwóch kobiet. Uśmiechnęła się lekko.

- Mam na imię Alena - powiedziała przyjaźnie.

- Tak, pani. Już mi to mówiono. Ja jestem Edwina. A teraz ściągaj suknię i wchodź do kąpieli, zanim woda wystygnie.

Otworzyła niewielką sakwę i wrzuciła do balii garść zmielonych ziół. Przyjemna woń wypełniła komnatę.

Hetty stanęła za Aleną i wprawnymi ruchami rozwiązała tasiemki jej sukni.

- Masz śliczny strój, milady, szkoda, że zniszczony. Alena poruszyła się niespokojnie. Nie przywykła do takich rewerencji.

- Mówcie mi po imieniu, proszę.

Hetty ściągnęła z Aleny podartą suknię, a Edwina obejrzała poszarpane koronki.

- Toż to ruina - zawyrokowała. - Coś ty w niej robiła, zarzynałaś świnię?

Alena pomyślała o Reynoldzie i wzdrygnęła się ze wstrętem.

- Coś w tym rodzaju.

- Potrzebne ci nowe ubranie. To pójdzie na śmietnik. - Starsza kobieta rzuciła suknię na podłogę.

- Och, nie! - krzyknęła Alena. - Ma dla mnie ogromną wartość!

Hetty podniosła suknię.

- Naprawię ją dla ciebie, pani.

- Z całego serca ci dziękuję, Hetty.

Edwina pociągnęła Alenę w stronę bali. Dziewczyna z westchnieniem ulgi zanurzyła się w gorącej i pachnącej wodzie.

Było jej dobrze jak w raju. Dwa dni ciągłej jazdy i nocleg na twardej ziemi kompletnie ją wyczerpały. Edwina namydliła jej włosy.

Jednak Alena nie potrafiła całkowicie się odprężyć. W jej głowie wirowały dziesiątki różnych pytań. Nie znajdowała na nie odpowiedzi. Doszła do wniosku, że musi zacząć od najprostszych wyjaśnień.

- Jaką tu pełnisz funkcję, Edwino? - spytała.

- Jestem... byłem pokojówką lady Ellen Mackintosh.

- Matki Iaina.

- Tak.

- Mówisz, że byłaś. To już nie jesteś?

- Nie. Lady Ellen zmarła. Teraz się pochyl.

Alena wstrzymała oddech i zanurzyła się pod wodę, aby zmyć mydło z włosów. Wychyliła się z głośnym parsknięciem. Starsza kobieta stanęła z boku i zaczęła namydlać jej ręce.

- Przykro mi. - powiedziała Alena. - Kiedy to się stało?

- W maju.

Miesiąc temu. Nic dziwnego, że Iain był taki surowy i nieprzystępny. Postanowiła sobie w duchu, że od dzisiaj będzie dla niego miłsza.

Ciekawe, co się działo z rodziną Columa Mackintosha po ucieczce z rodowych włości?

- Lady Ellen mieszkała tutaj z Iainem?

- Owszem. I z dwoma pozostałymi synami. Przyjechaliśmy do Braedun Lodge zaraz po... - Edwina urwała nagle. - Lady Ellen tu się urodziła - dokończyła oschle.

- Rozumiem.

Służa przeszła o krok dalej i zajęła się jej nogami. Alena nabrała odwagi.

- A co z zamkiem Findhorn?

- Od jedenastu lat pozostaje w rękach Grantów. Nikt tam nie mieszka, ale ich żołdacy zbrukali ziemię i okoliczne wody. Niech gniją w piekle!

Au! Szorowanie stało się zbyt mocne. Alena podkuliała nogi pod siebie.

- Och, przepraszam, milady - powiedziała Edwina. - Czasami się zapominam, kiedy myślę o tych bandytach.

Bandytach. Więc to tak, pomyślała Alena. Dobrze zrobiłam, że nie powiedziałam im, jak się nazywam.

- Co na to Iain? - Znała odpowiedź, ale z drugiej strony chciała ją usłyszeć. - Uważa Grantów za wrogów?

- Łagodnie mówiąc. Reynold Grant zabił mu ojca. Urządził rzeź na zamku.

Alena przypomniała sobie mglisty poranek w leśnej kryjówce, przed jedenastu laty.

- To prawda - szepnęła.

- Co takiego?

- Eee... nic. - Lepiej zmienić temat. - Domyślam się, że to dom wuja Iaina. Zdaje się, że ma na imię Ailstair?

- Tak. Alistair Davidson jest tutejszym panem. Trudno znaleźć porządniejszego człowieka. - Edwina podała jej duży ręcznik.

Alena wyszła z balii.

- Nie widziałam go po przyjeździe.

- Wyjechał. Zabrał ze sobą lady Margaret. Pewnie wrócą nie wcześniej niż za dwa tygodnie.

Edwina skończyła wycierać Alenę. Hetty pospieszyła ze świeżą, czystą koszulą. Kiedy Alena się ubrała, wskazała jej mały stółek, stojący przed kominkiem.

- Proszę, usiądź przy ogniu, pani. Uczeszę cię. Edwina poszła do drzwi.

- Kolacja za godzinę. Znajdę ci jakąś suknię.

- Dziękuję, Edwino. - Alena odwróciła się z uśmiechem, ale starszej kobiety już nie było.

Hetty została, choć Alena zapewniała ją dziesiątki razy, że sama da sobie radę z włosami. Wreszcie uznała się za pokonaną i posłusznie usiadła na stołku. Ciepło bijące od kominka wprawiało ją w senny nastrój.

Była bardzo zmęczona. Z trudem siedziała prosto, a oczy same jej się zamykały.

Hetty zaczęła nucić starą kołysankę. Z niewiadomych względów Alena pomyślała o Willu.

- Hetty? - zagadnęła. Grzebień znieruchomiał. - Masz ukochanego?

Grzebień drgnął gwałtownie. Alena syknęła z bólu.

- Och, przepraszam. - Służąca wróciła do czesania. - Jeszcze nie wiem, czy mogę zwać go ukochanym, ale mi się podoba.

- To Will, prawda?

Alena znów poczuła szarpnięcie.

- Skąd wiesz, milady?

- Wdziałam, jak na ciebie patrzył, kiedy stałaś przed drzwiami. - Ręce Hetty zadrżały lekko.

- Naprawdę?

- Bez wątplenia. Will to naprawdę dzielny chłopak. Hetty zapatrzyła się ogień. Zapomniała o bożym świecie.

- To człowiek Mackintoshów - odezwała się po dłuższej chwili. - Jeden z najbliższych przyjaciół naczelnika klanu. - Westchnęła i spojrzała na Alenę. - Myślisz, że mogę mieć nadzieję, pani?

Alena uśmiechnęła się kącikami ust. Wciąż widziała zaczerwienioną twarz Willa.

- Na pewno więcej niż nadzieję - odparta.

Hetty odłożyła grzebień na kufer stojący przy łóżku.

- Teraz cię zostawię, pani. Odpocznij nieco przed wieczerzą.

Zaniknęła za sobą drzwi. Alena wyciągnęła się na łóżku i zatoneła w stosie miękkich futer. Była kompletnie wyczerpana, ale nie mogła zasnąć.

Zmartwiły ją słowa Edwiny: „Ich żołdacy zbrukali ziemię i okoliczne wody. Niech gniją w piekle!”.

Alena nie wiedziała o żołnierzach w Findhorn. Od lat nagabywała ojca, żeby jej powiedział coś o Mackintoshach, ale Robert Todd uparcie unikał odpowiedzi. Zbywał ją półsłówkami.

Rodzinny dom w rękach obcego klanu. To musiało być straszne dla Iaina, który w dodatku nie był w stanie odzyskać dziedzictwa. Wojsko Reynolda liczyło niemal tysiąc zbrojnych. Mackintoshów, na dobrą sprawę, pozostało zaledwie kilku. Prawie wszyscy zjechali do Braedun Lodge. A może jeszcze paru przeniosło się na północ?

Uświadomiła sobie, że na dobrą sprawę, Iain podpisałby na siebie wyrok śmierci, gdyby próbował zmierzyć się z Reynoldem Grantem. Poczula nagły ucisk w żołądku i wtuliła twarz w poduszki.

Nie było sensu zaprzeczać. Wciąż była zakochana w Iainie.

Przypomniała sobie pierwsze słowa, którymi przywitał ją dzisiaj rano. „Zielone. Twoje oczy”. Patrzył na nią, trzymał w ramionach. Do tej pory czuła na karku jego gorący oddech.

Powinna była powiedzieć mu całą prawdę. O sobie, o groźbach Granta pod adresem jej rodziny, o ślubnych planach, i tak dalej. No tak, ale przecież nie zamierzała wciągać go w swoje kłopoty. Co mógłby zrobić? Nic. Bo i po co?

Złamał przysięgę. Nie wrócił po nią.

Przycisnęła ręce do piersi. Zupełnie nic dla niego nie znaczę, pomyślała z nagłą rozpaczą. Byłam tylko towarzyszką dzieciennych zabaw. Należę do przeszłości. Może mnie nie pamięta? Wtedy również mu nie powiedziałam, jak mam naprawdę na imię.

A przecież wczoraj, gdy mnie obmywał z błota i krwi, robił to tak troskliwie.

Martwił się trochę?

Nie, za nic w świecie nie mogła mu powiedzieć. Nie chciała, żeby dla niej narażał życie. Zginałby, nie osiągnąwszy celu. Sama muszę poradzić sobie z Reynoldem Grantem, uznała. Jutro to dokładnie przemyśle.

Wtuliła się głębiej w miękkie i rozkosznie ciepłe futra.

Muzyka. Nie, śpiew ptaków. To skowronki. Alena zatrzepotała powiekami. W oczy uderzył ją jasny promień światła.

Hetty rozchyliła zasłony w oknie.

- Dobrze spałaś, pani?

Alena spojrzała na niebo. Słońce na pewno wyszło z za horyzontu już dawno temu.

- Która godzina? - zapytała, unosząc się na łokciach.

- Przespałaś śniadanie, pani, ale przyniosłam ci kawałek sera i piwo. - Hetty wskazała głową w kierunku kominka, przy którym na małym stoliku stała taca ze strawą.

- Dziękuję.

- Zeszłego wieczoru szybko zapadłaś w sen i spałaś jak kamień. Edwina powiedziała, żeby cię nie budzić. Iain, to znaczy, naczelnik klanu nalegał na rozmowę z tobą, ale Edwina mu nie pozwoliła.

- Przyszedł tutaj? - Aż ją zemdliło na myśl, że już odkrył, kim naprawdę jest i dlaczego uciekła.

- Tak. Był wściekły, kiedy Edwina stanęła przed drzwiami i zapowiedziała, że go nie wpuści.

A zatem stara sługa była bardziej troskliwa, niż by to się wydawało na pierwszy rzut oka.

- Podziękuj jej w moim imieniu.

Hetty uśmiechnęła się i podniosła wieko niewielkiego kufra, stojącego w nogach łóżka. Wyjęła wełnianą suknię w kolorze bladej zieleni. Podeszła bliżej, aby pomóc Alenie się ubrać.

Tego było już za wiele. Alena nie przywykła, by ktoś jej ciągle usługiwał.

- Nie musisz się tak o mnie troszczyć. Sama się ubiorę.

- Jesteś ze mnie niezadowolona, pani? - spytała dziewczyna ze łzami w oczach.

- Och, Hetty. - Alena chwyciła ją za rękę. - Nawet tak nie myśl! Bardzo się cieszę, że jesteś przy mnie. Po prostu trochę mi niezręcznie.

Hetty natychmiast poweselała.

- Bardzo lubię ci usługiwać, pani. Edwina mówi, że mam się postarać, bo inaczej Iain, to znaczy, naczelnik klanu, będzie niezadowolony.

- Naprawdę? - Alena uśmiechnęła się, bardziej do siebie niż do pokojówki.

- Tak! Trzeba go było widzieć wczoraj wieczorem. Martwił się niczym owca o jagnię.

Poczuła, że się czerwieni, więc naciągnęła suknię przez głowę, aby schować się przed wzrokiem Hetty.

- Ślicznie wyglądasz, pani.

Alena zbyła ten komplement wzruszeniem ramion. Nigdy nie myślała o strojach. Najczęściej chodziła w spódnicy do konnej jazdy i skórzanych butach.

- Czyja to suknia?

- Należała do lady Ellen. Nosila ją, gdy była młoda.

- Matka Iaina? Jesteś zupełnie pewna, że powinnam nosić jej stroje? Iain nie będzie się gniewał?

Hetty wzięła ze stołu szczotkę do włosów. Zaczęła czesać Alenę.

- Na pewno nie. Edwina twierdzi, że mu się spodobaśz. Mam się podobać? - pomyślała Alena. Przypomniało jej się pytanie, które chciała zadać od przyjazdu do Braedun Lodge.

- A nie byłoby lepiej, gdyby suknie lady Ellen trafiły do jego żony?

Z zapartym tchem czekała na odpowiedź Hetty.

- Iain nie jest żonaty. Nie ma nawet kochanki. Nie to co Gilchrist. Ten to potrafi. - Hetty spojrzała na nią spod oka.

- Kto to jest Gilchrist?

- Gilchrist Mackintosh, młodszy brat Iaina. Przystojny jak diabli. Drugiego takiego w życiu nie widziałam. Oczywiście poza moim Willem.

Obie podskoczyły, słysząc trzask pękających desek na dziedzińcu. W powietrze wzbilo się głośnie rzenie konia i chór męskich okrzyków. Alena szybko podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Czarny ogier szalał po zagrodzie. Stawał dęba i napinał rzemień, na którym był uwiązany. Duncan i podobny do niego młodzieniec usiłowali uspokoić rozhukane zwierzę. Niestety, bezskutecznie.

Alena z przerażeniem spojrzała na małego chłopca, najwyżej czternastoletniego, który niebezpiecznie blisko podszedł do konia. Duncan machnął ręką, aby go przepędzić, ale chłopak nie cofnął się ani kroku.

- Co to za malec, Hetty?

- Święci pańscy, miejcież nas w swojej obronie! To Conall Mackintosh, najmłodszy brat Iaina.

Ogier znów stanął dęba, a chłopiec podszedł jeszcze bliżej. Alena, nie myśląc wiele, pędem wypadła z izby, bosy zbiegła po schodach i wyskoczyła na dziedziniec. Koń zarżał. Chłopak uchylił się przed uderzeniem kopyt i próbował pochwycić rzemień.

- Conall! - Głos na pewno należał do Iaina, ale samego naczelnika nie było widać w pobliżu. - Odejdź stamtąd natychmiast!

Chłopak nie zwracał uwagi na nawoływanie brata. Koń był bliski paniki. Gęstniejący tłum gapiów wprawiał go w przerażenie. Conall znów sięgnął ręką do rzemienia. Alena dobrze wiedziała, że ogier stanie dęba.

- Nie podchodź bliżej! Doskoczyła, złapała chłopaka i szarpnęła go w tył. Oboje padli na ziemię. Przez krótką, okropną chwilę myślała, że wszystko na nic. Kopyta gruchnęły o ziemię, o kilka cali od głowy chłopca.

Nie było więcej czasu. Po oczach konia poznała, że dalej będzie szalał. Zerwała się, wyciągnęła sztylet i przecięła rzemień. Ogier był wolny. Jednym płynnym ruchem złapała go za grzywę i wskoczyła mu na grzbiet. Chwilę później rzucił się do biegu.

Alena umiała jeździć konno po mistrzowsku.

Bez siodła, bez wodzy, popędziła karosza wokół zagrody. Czowała, że zwierzę z wolna się uspokaja. Poklepała go po spoconej sierści i szepnęła mu coś do ucha cichym i łagodnym głosem. Zwolnił biegu.

Duncan złapał Conalla i odciągnął na bok. Alena spojrzała na niego. Wzruszyła ramionami.

- A niech mnie! - mruknął starszy mężczyzna i pogłaskał siwą brodę.

Ten dzień miał się zacząć w zupełnie inny sposób.

Ogier szedł powoli. Alena dopiero teraz zauważyła Iaina, stojącego samotnie w bramie zagrody. Tłum otaczał go kręgiem, w pewnym oddaleniu. Przypuszczała, że Iain wcale nie pochwalał jej wyczynu.

Twarz miał czerwoną jak jesienne jabłko, a oczy płonęły mu niczym węgle. Nawet z tej odległości widziała grube żyły, występujące mu na szyi.

Ale dlaczego? Czyżby wolał, by nic nie zrobiła i tylko przyglądała się, jak jego brat ginie pod kopytami konia? To niemożliwe. Jednak strach chwycił ją za gardło. Co będzie dalej? Machinalnie chwyciła wyciągniętą rękę Duncana i zeskoczyła z końskiego grzbietu. Masztalerz odprowadził ogiera do stajni.

Iain stanął tuż przed nią. Wsparł się pod boki i ponuro patrzył w milczeniu. Alena z trudem powstrzymała się od ucieczki. Zanim

zdażyła coś powiedzieć, Iain odwrócił się do Conalla, opartego niedbale o parkan. Złapał go za kołnierz i pociągnął do domu.

- Hamish! Will! - krzyknął po drodze. - Do mnie! Natychmiast!

Tłumek gapiów wybuchnął śmiechem. Rozległy się pohukiwania. Głośno wychwalano odwagę dziewczyny i kręcono głowami nad jej brawurą i głupotą. Przecież koń mógł ją kopnąć, zranić albo jeszcze gorzej.

Wrócił Duncan. Wziął Alenę pod ramię i poprowadził w stronę ławki stojącej obok studni. Dziewczyna usiadła ciężko.

- Już po wszystkim - rzekł masztalerz. - Byłaś bardzo dzielna. - Po ojcowsku poklepał ją po ramieniu.

- Co z chłopakiem? - zapytała, usiłując odzyskać oddech.

- Z Conallem? O niego się nie martw. Pewnie teraz wołałby leżeć w piachu, pod kopytami.

Alena zmarszczyła brwi. Duncan roześmiał się na całe gardło.

- Tak, tak - powiedział. - Iain sprawi mu niezłe lanie.

- Nie skrzywdzi go? - Nigdy dotąd nie widziała Iaina tak rozgniewanego.

- Raczej nie. - Duncan przyglądał brodę. - Chociaż na pewno przez następne dwa dni chłopak nie będzie mógł usiedzieć na tyłku. Ale poza tym nic mu nie będzie.

- To prawda - wtrącił młodzieniec podobny jak dwie krople wody do masztalerza. - Pan Iain kocha brata niczym własnego syna.

- Sam go wychował, po śmierci ojca - dodał Duncan. - Drugiego też.

- Gilchrista? - spytała Alena.

- Tak. To dzielni chłopcy. Dzięki Iainowi. Młodzieniec przyklęknął przy Alenie,

- Nic ci się nie stało, pani? Podać ci wody ze studni?

- Nie, dziękuję. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Czuję się znakomicie.

- Bardziej zlekłaś się Iaina niż ogiera - z rozbawieniem zauważył Duncan.

- Oj, to prawda.

- Nie masz czego się bać, dziewczyno. Przejdzie mu. Czasami bywa uparty. Kocham go ponad życie, ale muszę przyznać, że bywają chwile, kiedy sam się dziwię, skąd u niego tyle głupoty. -

Porozumiewawczo zerknął na Alenę, lecz ta nie wiedziała, o co mu naprawdę chodzi.

Chciała go spytać, skąd zna jej nazwisko, ale wolała to zrobić bez świadków. Zwróciła się do młodzieńca.

- Jestem Alena.

- Wiem, słyszałem. A ja mam na imię Gavin.

- Gavin - powtórzyła.

- Mój syn - uśmiechnął się Duncan i z rozmachem klepnął chłopaka w plecy.

Zanim Alena zdążyła powiedzieć coś więcej, zjawił się Hamish. Stanął nad nią, potężny i wielki. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kazano mi cię odprowadzić do domu, milady - powiedział.

Bez wątpienia dostał rozkaz od Iaina. Zresztą, nieważne. Alena była głodna jak wilk i miała już dość wrażeń. Odłożyła na później rozmowę z Duncanem. I tak to, co wiedział, na razie zachował dla siebie.

Zaraz, zaraz. Na pewno?

Przypomniała sobie poczerwieniałą twarz Iaina.

Wstała i wzięła Hamisha pod rękę.

- Zatem prowadź. Jestem tak głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami.

W jego niebieskich oczach błysnęło rozbawienie.

- Jednego już zjadłaś, pani - odparł.

Po południu Alena obeszała warownię Davidsonów i poznała większość członków klanu. Wieść o jej porannym wyczynie rozeszła się już lotem ptaka, więc spoglądano na nią z zaciekawieniem i trochę podejrzliwie.

Hamish spokojnie kroczył u jej boku. Nie opuszczał jej ani na chwilę. Na pewno wypełniał polecenie Iaina. Alena przez cały dzień nie widziała naczelnika klanu Mackintoshów. Zastanawiała się, co mógł teraz robić.

Za stajnią znajdowała się strzelnica łucznicza i rozległy plac ćwiczeń. Hamish powiedział jej, że tę część warowni dobudowano na specjalne życzenie Iaina. Pod wieczór zebrał się tam spory tłumek na kolejne zajęcia z bronią. Hamish nie pozwolił Alenie pójść dalej.

Prawdopodobnie Iain był na placu.

Poszli więc swoją drogą. Alena ze zdumieniem odkryła, że w warowni Davidsonów zgromadzono bardzo dużo rozmaitego rodzaju

broni. Wszędzie - nawet w kuchni - piętrzyły się stosy mieczy, łuków, podwójnych toporów, noży i sztyletów. Braedun Lodge wyglądało raczej jak zbrojownia niż ludzka siedziba. Zapytała o to Hamisha, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- To pomysł Iaina - odpowiedział.

Przypomniała sobie, że na łowach Iain był także uzbrojony po zęby. Dwa miecze, łuk, dwa sztylety. Tyle zdążyła zauważyć. Może coś jeszcze chował za pazuchą?

Co to mogło znaczyć?

Nie wiedziała. Bała się prawdy. Hamish pomijał milczeniem większość jej natarczywych pytań albo zbywał ją półsłówkami. O zmierzchu bez pośpiechu wrócili do domu. Alena poszła do siebie, na górę, żeby przygotować się do wieczery.

Hetty bezskutecznie namawiała ją do zmiany stroju. Alena polubiła jasnozieloną suknię, niegdyś należącą do matki Iaina. Strój był prosty i w miarę wygodny, choć nieco ciasny w talii. Nie pozwoliła się także uczesać. Złote włosy jak zwykle puszystą kaskadą spływały jej na ramiona, sięgając prawie do bioder.

Na schodach usłyszała gwar z wielkiej sali, gdzie zgromadzili się jej gospodarze. Albo strażnicy. Do końca nie wiedziała, czy jest gościem, czy więźniem. Zatrzymała się na podeście i powiodła wzrokiem po sali, szukając znajomych twarzy.

Naliczyła aż osiem stołów. Większość biesiadników nosiła barwy Davidsonów. Mackintoshowie siedzieli wraz z nimi jak popadło.

Stół najbliższy kominka ustawiono na podwyższeniu. Iain siedział na honorowym miejscu, z Conallem po lewej ręce i jeszcze jakimś młodzieńcem w pledzie Mackintoshów, po prawej. Hamish i Will zajęli miejsca nieco dalej, wśród zbrojnych Davidsonów.

Hamish uśmiechnął się szeroko na widok Aleny, Will zaś, jak zawsze, przybrał nieco zawstydzoną minę. Iain łypnął ponuro spod oka. Na ten widok Alena dumnie uniosła głowę.

Młody wojownik, siedzący po prawej ręce Iaina, zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę.

- Pozwól tu do nas, lady Aleno! - zawołał.

Był niemal wzrostu Iaina, lecz nieco szczuplejszy. Mieli te same rysy, ale na tym kończyło się ich podobieństwo. Iain był ciemnowłosy i nieco posępnej urody, a ów młodzieniec miał jasną czuprynę i

wesołe usposobienie. Każda dziewczyna bez wątpienia poszłaby za nim w ogień. To Gilchrist, domyśliła się Alena. Brat Iaina.

Weszła na podwyższenie, ujęła rękę Gilchrista i usiadła na wolnym krześle pomiędzy braćmi. Z pół tuzina mężczyzn podsunęło jej swoje kubki. Nie wiedziała, który z nich wybrać, więc spojrzała na Iaina. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie Iain złapał własny kielich i z trzaskiem postawił go przed Alena.

- Dziękuję - powiedziała. Pociągnęła łyk pianistego piwa.

- Jestem Gilchrist, drugi syn Columa Mackintosha - przedstawił się jasnowłosy młodzieniec.

Więc miała rację. Hetty dobrze go opisała.

- Bardzo mi miło - powiedziała.

Po drugiej stronie siedział Conall. Wpatrywał się w nią z podziwem. Przypominał jej młodego Iaina. Poczula nagły przyływ wzruszenia. Uśmiechnęła się do chłopca, a on zaczerwienił się z wrazenia. Iain z niesmakiem burknął coś pod nosem.

- Co z tobą, mały? - spytał Gilchrist. - Nigdy przedtem nie widziałeś damy?

- Nigdy tak pięknej, Bóg mi świadkiem.

Iain znowu coś zamruczał. Alena nie dosłyszała jego słów. Gilchrist przysunął się do niej odrobinę bliżej.

- Ja też nie. - Ku jej zdumieniu, delikatnie wziął ją za rękę.

A zatem Hetty nie kłamała. Trzeba było bardzo na niego uważać.

- Dość! - Iain huknął pięścią w stół, aż podskoczyły kubki i talerze. Gilchrist błyskawicznie cofnął dłoń.

Alena usiłowała zachować powagę, ale z trudem powstrzymała się od śmiechu. Nie miała odwagi spojrzeć na Iaina, więc odwróciła głowę i popatrzyła na drugi koniec stołu.

Hamish zakrył usta dłonią, żeby nie ryknąć śmiechem. Ramiona drżały mu jak w febrze. Inni wojownicy, zarówno z klanu Mackintoshów, jak i Davidsonów, też z rozbawieniem obserwowali tę scenę.

Pora przełamać lody, pomyślała Alena.

Zerknęła na Iaina. Natychmiast spuścił wzrok i z nagłym zainteresowaniem zaczął przyglądać się leżącej przed nim pieczeni.

- Iainie.

- Niemal wszyscy zwracają się do mnie „mości panie” - wpadł jej w słowo. - Mimo to zezwalam ci mówić mi po imieniu.

Nabił na nóż kawałek mięsa i wsunął go do ust.

Niesforny jak zawsze, pomyślała Alena. Taki już był w dzieciństwie.

- Do mnie możesz zwracać się "Aleno" - odparła przekornie.

Przestał żuć i spojrzał na nią z bezbrzeżnym zdumieniem. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Kilka razy otwierał i zamykał usta jak ryba.

Alena doszła do słusznego wniosku, że lepiej go nie denerwować. Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Twój wuj jest tutaj naczelnikiem klanu? - zapytała wreszcie.

- Tak - odparł Iain. - Jest Davidsonem.

- Ale to ty siedzisz na głównym miejscu.

- Pod jego nieobecność przejmuję rolę zwierzchnika. Odpowiadam za jego ludzi i ziemię.

To było coś nowego.

- Nie ma syna? - spytała, ale nie mogła się powstrzymać, by nie dodać: - ...ani córki?

- Nie. Alistair i Margaret są bezdzietni. Gilchrist będzie następcą, gdy osiągnie wiek męski.

- Ale to przecież Mackintosh! Davidsonowie zaczną protestować!

Iain uśmiechnął się bardziej do siebie niż do niej, jakby pod wpływem wspomnień.

- Jest Davidsonem i Mackintoshem. Wychowywał się tutaj. Wszyscy go kochają. Przyjmą go bez wahania. W zasadzie już to zrobili.

Skinął głową w stronę Gilchrista, który właśnie w tej chwili zabawiał Davidsonów jakimiś żarcikami.

- Rozumiem - powiedziała Alena. - A co z tobą? Z czym wiążesz swoją przyszłość?

Po raz kolejny w ciągu ostatnich dni miała nieodparte wrażenie, że zajrzał w głąb jej duszy.

- Zupełnie z czymś innym - wyszeptał.

Emanowała z niego niespożyta siła. Alena mimo woli oblizwała spierzchnięte usta. Nagle wydało jej się, że na sali zapanowała głucha cisza. Nie słyszała rozmów biesiadników do chwili, aż chóralne „Hurra!” wyrwało ją z rozmarzenia. Rozejrzała się i zrozumiała, że piją toast za jej zdrowie.

Iain wstał. Dopóki jej nie puścił, nawet nie zauważyła, że trzymał ją za rękę!

Po drugiej stronie wielkiej sali Duncan, donośnym i podpitym głosem, barwnie opowiadał o tym, jak to pewna młoda dama okiełznała czarnego ogiera i uratowała od niechybnej śmierci znanego wszystkim Conalla. W jego ustach poranne wydarzenia zmieniły się w bohaterską sagę. Alena pokręciła głową z zakłopotaniem, lecz słuchaczom wersja masztalerza najwyraźniej się spodobała. Co i rusz dały się słyszeć głośnie okrzyki zachwytu.

Alena spojrzała na Conalla. Chłopak siedział z rozpromienioną twarzą. Hamish i Will w niemym toąście unieśli kubki z piwem. Gwar przycichł pomału. Dziewczyna zerknęła na Iaina, który zdążył już z powrotem opaść na swoje miejsce.

Przez chwilę wiercił się niespokojnie. W końcu powiedział:

- Jeszcze ci nie podziękowałem, pani, za ocalenie brata.

Poczuła nagły przyływ wzruszenia. Nawet gdy byli dziećmi, nigdy jej za nic nie dziękował.

- Nie uczyniłam nic wielkiego, mości panie - odparła. - Umiem sobie radzić z końmi.

- Na to wygląda. Obiecaj mi jednak, że już nigdy więcej nie popełnisz takiego szaleństwa.

- Ani przez chwilę nie czułam się zagrożona, Iainie. Przymknął oczy. Nagle szybkim ruchem ścisnął ją za rękę.

Serce podeszła jej do gardła. Nie powiedziała ani słowa.

- Mogłaś zginąć.

Widziała troskę w jego oczach. A więc trochę się jednak o nią martwił.

Bała się, że bez trudu odczyta jej myśli. Jeszcze nie chciała, aby dowiedział się o jej uczuciach.

- Iainie, ja...

Pochyliła się w jego stronę. Puścił ją i cofnął się jak oparzony. W jego spojrzeniu zamigotały zimne błyski. Wsparł na stole mocno zaciśnięte pięści.

- Nie podchodź więcej do tego konia - wycedził nieswoim głosem. - To bardzo cenne zwierzę.

Trwało chwilę, zanim jego słowa w pełni dotarły do Aleny.

- Słyszałaś mnie, kobieto? Zawrzała gniewem.

- Cenne zwierzę? Tylko o to ci chodzi.

- Dostyc! Nie chce juz o tym mowic!

W sali zapanowala cisza. Wszyscy patrzyli na Iaina. On zas zerwal sie z krzesla i jak burza wypadl na korytarz.

Alena zachodzila w glowe, co sie stalo. Coz to za humory? To sie o nia martwil, to na nia sie wsciekal.

Nic z tego nie rozumiala. Pytajaco spojrzala na Gilchrista.

Twarz mlodziencza rozjasnil szeroki wszechwiedzacy usmiech.

- A niech mnie - mruknal Gilchrist. - Zakochal sie po uszy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nadeszła pora, aby się dowiedzieć czegoś od Duncana.

Bładym świtem Alena umyła twarz, ubrała się szybko i zeszła do stajni. Znalazła Duncana w przyległym budynku, reperującego naderwaną uzdę.

- Dzień dobry - zawołała wesoło.

Stary masztalerz uniósł głowę i powitał ją ciepłym uśmiechem.

- Och, to ty. Ranny ptaszek z ciebie. Dobrze spałaś?

- Zupełnie dobrze. A ty? - spytała znaczącym tonem, pamiętając jego wczorajsze pijaństwo.

- To nie brak snu, ale ból głowy sprawia mi najwięcej cierpień. Czuję się piekielnie stary.

Alena roześmiała się, słysząc te narzekania. Po chwili jednak spoważniała.

- Jesteś tu masztalerzem? - zapytała, choć znała odpowiedź.

- Tak - odparł i na powrót zajął się robotą.

W dniu jej przyjazdu do Braedun Lodge nosił barwy Mackintoshów. Dziś jednak był ubrany w robocze skórzane spodnie i zgrzebną koszulę. Alena popatrzyła na broszę, którą miał przypiętą do beretu. Przedstawiała kota stojącego na tylnych łapach.

- Ale należysz do Mackintoshów? Duncan uniósł głowę.

- To też prawda. - Przez chwilę patrzył na dziewczynę. - Przybyłem tutaj razem z lady Ellen i chłopcami. Zaraz po tym, gdy zginął ojciec Iaina.

- Zatem znałeś go już od dzieciństwa.

Duncan schował sztylet do pochwy i powiesił uprząż na kołku. Wskazał Alenie niski stołek.

- Siadaj, dziewczyno. Pogadamy.

Posłuchała go. Duncan skrzyżował na piersiach żylaste ręce.

- Musisz wiedzieć, że dorastałem razem z Columem Mackintoshem. Mój ojciec był masztalerzem u jego ojca. Kiedy Colum i Ellen dochowali się gromadki dzieci, to ich synów pokochałem jak swoich.

- Rozumiem.

- Później, po całym tym zamieszaniu, znaleźliśmy przystań u Davidsonów. Od tamtej pory tu doglądam koni. Czasem tylko rzucę okiem na jakieś ładne dziewczę - dokończył z uśmiechem.

Teraz lub nigdy, pomyślała Alena. Pochyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Duncanie, kiedy po raz pierwszy spotkałam cię na dziedzińcu, wymieniłeś moje nazwisko. Skąd wiesz, że nazywam się Alena Todd?

Parsknął śmiechem.

- Może zaprzeczysz, że jesteś Aleną, córką Roba i Maddy Toddów?

- Znasz też mojego ojca? I moją...

- Pewnie, że znam. Niejedno razem przeżyliśmy, kiedy cię jeszcze nie było na świecie - powiedział wesoło, uśmiechał się do własnych wspomnień.

Mówił dalej, cichym i spokojnym głosem, jakby opowiadał dziecku bajkę na dobranoc.

- Dawno temu, zanim się urodziłaś, Grantów i Mackintoshów łączyły więzy przyjaźni. Wędrowaliśmy razem z twoim ojcem po rozmaitych krajach, w poszukiwaniu dobrych koni. Wprawdzie byliśmy nowicjuszami w swoim fachu, ale zupełnie nam to nie przeszkadzało. Odwiedziliśmy Anglię, Hiszpanię i Francję.

- Francję? To tam poznał moją matkę.

- Tak. Powiem szczerze, że nie było ładniejszej dziewczyny na świecie. Aż do teraz. - Tu popatrzył na nią z istic ojcowską dumą.

- Och! - zająknęła się Alena. Rumieniec zabarwił jej policzki. - Obawiam się, że nie odziedziczyłam po niej urody. Mama jest drobna i delikatna, a ja...

- Jesteś jak promyk słońca w czasie upalnego lata. Pięknaś. Wielu chłopców na pewno to potwierdzi. - Na pomarszczonej twarzy Duncana pojawił się chytry uśmiech. - Są tacy, co naprawdę cię lubią.

Zmieszana, opuściła głowę. Nagle przypomniała sobie, po co naprawdę tu przyszła.

- Skąd jednak wiedziałeś, że to ja? Przecież nigdy przedtem się nie spotkaliśmy.

- Często widziałem cię w lesie, gdy bawiłaś się z Iainem. Alena szeroko rozwarła oczy.

- A więc to byłeś ty! Wyczuwałam, że ktoś nas stale obserwuje!

- Tak, byłem tam. - Uśmiechnął się, lecz zaraz posmutniał. - Wyobrażasz sobie, że Mackintosh puściłby pierworodnego syna do lasu bez opieki?

- Chyba nie. - Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiała.

- A ty? Myślisz, że twój ojciec nie zauważył, że na długie godziny wymykasz się ze stajni?

- Często pytałam sama siebie, jak to się dzieje, że nic nie wie. Sadziłam, że jestem sprytna.

- Sprytna? - roześmiał się Duncan.

- Jak mnie rozpoznałeś? Przecież byłam dzieckiem, kiedy ostatni raz spotkałam się z Iainem.

- Och, dziewczyno, czy to tak trudno zgadnąć? Tylko ty jedna mogłaś zawrócić mu w głowie i doprowadzić go do wściekłości.

Alena otworzyła usta, zdumiona jego szczerością.

- Wystarczył mi rzut oka. Siedzieliście w siodle niczym para rozzłoszczonych kotów. Od razu cię poznałem. A poza tym, któż by nie zapamiętał tej szopy złotych włosów? - Oburącz chwycił ją za rękę i ścisnął serdecznie. - Tak, tak - dodał ze wzruszeniem. - Znam cię, dziewczyno.

Alena wstała i wyjrzała przez maleńkie okno na wschodzące słońce, zawieszona nisko nad horyzontem. Gdzieś tam, daleko, znajdował się zamek Glenmore, a w nim - zły człowiek, który uzurpował sobie prawo do decydowania o jej przyszłości.

- Nie mów Iainowi, kim naprawdę jestem - poprosiła.

- To on nie wie? - zdziwił się Duncan.

- Nie.

Pogładził siwą brodę i obrzucił Alenę baczny spojrzeniem.

- Dlaczego go okłamujesz?

- Powiem mu wszystko, ale nie teraz - skłamała.

- Dobrze wiemy, że uratował cię z rąk Grantów. Pewnie chciałby wiedzieć, co ci naprawdę grozi.

Alena przypomniała sobie ponurą twarz Iaina.

- Może mi to opowiesz? - spytał Duncan. Niespokojnie krążyła po zasłanym słomą klepisku. Nie patrzyła mu w oczy.

- Nie. Nie mogę.

Przez chwilę trwała niezręczna cisza. Gdzieś w dali rozległ się śpiew skowronka. Dwór budził się do życia.

- No cóż - westchnął Duncan, przeciągając słowa. - Nie będę cię do niczego zmuszał. Lecz kłamać także nie będę. Jeśli Iain mnie zapyta, to szczerze mu odpowiem.

- Pozwól, że ja to zrobię. Na swój sposób.
- A co z twoimi rodzicami? Wiedzą, że tu jesteś?
- Nie. - Wstyd jej się zrobiło, że o tym zapomniała. - Pewnie się martwią. - Klękła przed Duncanem. - Muszę im jakoś dać znać, że nic mi nie grozi. Pomożesz mi?

Znowu pogładził się po brodzie.

- No cóż - powtórzył. Z jego wyrazu twarzy wynikało, że podjął decyzję. - Znam wędrownego mnicha, który pielgrzymuje między dawnymi klanami Chattan. Z tego, co słyszałem, będzie przechodził też przez ziemię Davidsonów. Chyba jutro. W stronę Glenmore i Inverness.

- Brat Ambrose! Znam go!

- O, właśnie. To on.

- Można mu ufać? - spytała.

- Ależ dziewczyno, przecież to duchowny. - Duncan wstał gwałtownie, aż mu strzyknęło w kościach. Alena podeszła za nim do drzwi.

- Wyślę Gavina, żeby się z nim spotkał. Ambrose zanieś wieści twemu ojcu.

Westchnęła z ulgą.

- Dziękuję, Duncanie.

Wyszli na skąpany w słońcu dziedziniec. Alena uniosła głowę. Było jej przyjemnie ciepło.

- A ty w zamian, dziewczyno, możesz coś zrobić dla mnie?

- Co tylko zechcesz.

- Masz talent do koni. Od razu to widać. Rob cię dobrze przyuczył. Ostatnio dostaliśmy kilka perszeronów. Może byś się nimi zajęła?

Wskazał na drugi koniec zagrody, tam, gdzie niewielkie stadko koni pasło się wśród rzadkich kepek trawy.

- Gavin to dobry chłopak, robi za dwóch jak potrzeba, ale zawsze przyda się para dodatkowych rąk do pracy. - Duncan obrzucił ją taksującym wzrokiem. - To co? Zgoda?

- Z przyjemnością - odparła Alena.

Była szczęśliwa, że znajdzie sobie jakieś zajęcie, by za dużo nie myśleć o najbliższej przyszłości,

- Ale musisz się przebrać - zauważył Duncan, krytycznie przyglądając się jej obcisłej sukni. - W tym wiele nie zdasz.

W progu stało dwóch stajennych, jeszcze trochę zaspanych i przecierających oczy. Duncan kiwnął głową w ich stronę.

- Zobacz, może Jamie lub Fergus znajdą ci jakieś portki do roboty - dodał.

Alena podziękowała mu i odeszła. Uśmiechnęła się do siebie. Stary Duncan chciał ją mieć przy sobie, żeby jej lepiej pilnować. W tym był podobny do jej własnego ojca.

Iain zapiął skózaną opaskę na ręce młodego łuczника i starannie obejrzał jego rękawicę. Wreszcie klepnął go w plecy.

- No, do dzieła! - rozkazał.

Chłopak westchnął cicho przy napinaniu łuku.

- Ciągnij mocniej! - zawołał Iain. - O, tak. Dobrze. Teraz wyceluj.

Dał krok w tył, żeby lepiej widzieć postawę łuczника. Tarcza wisiała na drzewie, odległym o trzydzieści jardów.

- Strzelaj! - krzyknął.

Chłopiec wypuścił strzałę. Pomknęła ze świstem i utkwiała w tarczy nieco na lewo od czarnej kropki oznaczającej środek.

- Dzielny chłopak! Strzelaj dalej, tylko tym razem spróbuj sobie wyobrazić, że mierzysz w serce wroga.

Iain rozejrzał się po placu ćwiczeń. Kilku młodych Davidsonów wprawiało się w strzelaniu z łuku. Niektórzy zawiesili tarcze aż o pięćdziesiąt jardów od linii strzału. Iain zbliżył się do tej właśnie grupki.

Kiedy zakładał na gryf cięciwę, w polu widzenia pojawił się Hamish.

- A cóż cię tutaj sprowadza? - roześmiał się Iain. - Wreszcie dojrzałeś do tego, aby popробować prawdziwie męskiej broni?

- Nie. Wolę dobrze wykuty miecz - odparł Hamish i jakby dla podkreślenia tych słów, poklepał pochwę wiszącą mu plecach. Skinął głową na chłopców. - Jak im idzie?

- Dostyc dobrze. Moim zdaniem, jeszcze rok ćwiczeń i dorównają angielskim łucznikom - odparł Iain. Zmrużył powieki i zerknął na słońce, żeby sprawdzić, która godzina. Dochodziło południe.

- Po posiłku możesz ich zabrać na fechtunek - powiedział. - Miecze i topory?

- Nie masz dla nich litości. - westchnął Hamish.

- Robię to dla ich dobra. Każdy członek klanu powinien umieć walczyć różnorodną bronią. Nikt z nas nie wie, kiedy nastąpi atak i co akurat znajdzie się pod ręką. - Iain twardo spojrzał na olbrzyma.

- Znów myślisz o swoim ojcu - powiedział Hamish,

- Owszem. - Iain zanurzył dwa palce w słoiczku z łojem, który zawsze nosił u pasa i sięgnął po strzałę.

- Przecież to nie była twoja wina.

- Nie miałem broni. Może mógłbym go uratować, ale nie miałem broni. - Napiął cięciwę. Wyobrażał sobie, że mierzy w serce Reynolda Granta. Strzała świsnęła w powietrzu i drżąc lekko, utkwiała w samym środku odległego celu. - Byłem głupcem.

- Byłeś dwunastoletnim młodzikiem. Nie dałbyś rady zbrojnym. Gdybyś miał broń, to dzisiaj nie byłoby cię wśród żywych.

- Być może. Tak naprawdę, to nigdy nic nie wiadomo. - Iain spojrzał spode łba na Hamisha i wyciągnął z kołczana następną strzałę.

Olbrzym nie zamierzał dłużej z nim się sprzeczać.

- Zauważyłem, że zagnałeś do wyteżonej pracy wszystkich kowali i płatnerzy, jakich można znaleźć na ziemiach Davidsonów - powiedział. - Co ci chodzi po głowie, mości panie?

Iain zerknął na niego. W prywatnych rozmowach Hamish niezwykle rzadko używał zwrotu „mości panie”.

- Czekam na powrót Alistaira - odparł. - Następną zimę chcę spędzić w zamku Findhorn.

- Myślisz, że zdoła przekonać pozostałych, aby się do nas przyłączyli?

- Na pewno można liczyć na Macgillivrayów. - Iain wypuścił strzałę. - Do diaska! - Tym razem zniosło ją nieco w prawo. - Ale nic nie wiem o McBainach. Musimy czekać. Wuj przywiezie jakieś nowe wieści.

- Niech tak będzie - zgodził się Hamish. - A co z dziewczyną?

- Z Aleną? Wiem, co myślisz. Podejrzewasz ją, że jest z Grantów? Że coś łączy ją z Reynoldem?

Hamish pokiwał głową.

- Całkiem możliwe. Sam widziałeś, że ją ścigali.

- Owszem. - Iain potarł nieogoloną brodę. - Nie. To nie podstęp. Była zbyt przerażona. - Wciąż miał przed oczami piękną twarz dziewczyny, wykrzywioną grymasem strachu.

- Może być szpiegiem. Takie rzeczy zdarzały się już w przeszłości. - Hamish umilkł na chwilę, a potem dokończył: - Wróg bywa bardzo sprytny.

Iain opuścił łuk i zdjął cięciwę. Ściągnął kołczan z ramienia i rzucił go na stos innej broni, leżącej na skraju placu.

- Alena nie jest szpiegiem - burknął. Był zły, że ktoś mógł ją o to choćby podejrzewać. Pomału poszedł w stronę domu.

- Zajmiesz się chłopcami?! - krzyknął przez ramię do Hamisha.

- Tak, mości panie! - zawołał olbrzym. Zagwizdał na grupę młodzieńców odkładających łuki.

Zbliżała się pora posiłku, ale Iain nie był głodny. Coś go ścisnęło w żołądku. Doszedł do stajni. Jamie właśnie wyprowadzał jego wierzchowca na łąkę. Koń nie był osiodłany, lecz Iainowi zupełnie to nie przeszkadzało. Chciał być przez chwilę sam ze swoimi myślami, z dala od tętniącego życiem majątku Davidsonów. Skoczył na grzbiet konia i pocwałował do pobliskiego lasu.

Klucząc między drzewami, wciąż rozpamiętywał rozmowę z Hamishem. A jeśli Alena naprawdę go szpiegowała? Nie, uznał w duchu. To niemożliwe. Przecież szpieg Granta nie ratowałby życia Conalowi.

Znów ją zobaczył, śmiałą i wyprostowaną, na grzbiecie czarnego ogiera. Zaszło mu w gardle. Co, u diabła, ona sobie wyobrażała? Denerwowała go swoim zachowaniem. Była bezczelna - w mowie i postępowaniu.

I piękna.

Kiedy zasnęła nad jeziorem, jej twarz promieniała iście księżycowym blaskiem. Och, jak bardzo chciał wtedy pochwycić ją w ramiona.

Iain potrząsnął głową, żeby odpędzić niewczesne myśli. Po co się nią tak przejmował? W gruncie rzeczy nic dlań nie znaczyła.

A jednak... Było w niej coś dziwnie znajomego.

Wzdrygnął się, kiedy nisko wisząca gałązka pacnęła go po twarzy. Potoczył wzrokiem dokoła. Miał tyle innych rzeczy do załatwienia. Honor klanu, zemsta.

I pewna stara obietnica.

Odruchowo wsunął dłoń do skórzanej sakwy wiszącej u pasa. Przesunął palcem po splecionym kosmyku, przewiązanym kawałkiem materiału.

Węzeł miłości, powiedziała dziewczynka.

Musiał dotrzymać przyrzeczenia. Nikt go w tym nie powstrzyma. Nawet jakaś uparte, złotowłose dziewczę. A może Hamish ma rację? Może jest szpiegiem?

Godzinę później Iain wrócił do Braedun Lodge. Osadził konia w miejscu i zdumiony, szeroko otwierając usta, popatrzył w stronę stajni. Alena siedziała na oklep na tym samym czarnym ogierze, który wczoraj omal nie zabił Conalla.

Powoli, z gracją okrążała manież. Była tak piękna, że Iain poczuł nagły przypływ wzruszenia. Na nic się zdała godzina samotności w lesie.

Ogier zdawał się słuchać każdego rozkazu swojej nowej pani. Stanowili dobraną parę. Iain obserwował tę scenę z niekłamanym zachwytem.

Alena ubrana była w stare skórzane spodnie do konnej jazdy i luźną wełnianą koszulę. Jej piersi, nie podtrzymywane sztywnym fiszbinem, kołysały się kusząco przy każdym ruchu konia. Grzywa złotych włosów powiewała za nią niczym sztandar na lekkim wietrze.

Ściągnęła wodze. Ogier stanął. Alena pochyliła się nad jego grzbietem i coś mu szepnęła do ucha. Iain spod oka patrzył na jej krągłości.

Jakiś ruch w drugim końcu podwórka przyciągnął jego uwagę. Nie on jeden spoglądał na piękną amazonkę. Wbił pięty w boki konia i podjechał bliżej. Na ogrodzeniu zobaczył Willa i Gilchrista, nie licząc z tuzina czeladzi Davidsonów. Wszyscy wpatrywali się w Alenę jak urzeczeni.

- A niech was. - Przynaglił konia do szybszego biegu. Czelaź rozpierzchnęła się na boki. Will i Gilchrist, zupełnie zaskoczeni, znaleźli się nagle na ziemi.

- Na co się tak gapicie?! - krzyknął Iain do służby. - Wracać do swoich zajęć!

Zniknęli wszyscy w mgnieniu oka, dosłownie jak zdmuchnięci.

Alena podjechała bliżej. Iain wprowadził swojego konia na podwórko stajni. Will i Gilchrist z trudem dźwignęli się na nogi i zaczęli otrzępywać ubrania.

- Gilchrist! - warknął Iain. - Chyba kazałem ci dokonać przeglądu uzbrojenia?

- Tak - posłusznie odparł młodzieniec, ale w jego oczach migotały wesołe błyski.

- Zajmij się tym natychmiast.

- Rozkaz, mości panie! - zawołał Gilchrist i już go nie było.

W imię Boże, co tu się działo? Krew uderzyła Iainowi do głowy. Ponuro popatrzył na Willa.

- Ty też znikaj.

- Kazałeś mi jej pilnować, mości panie. - Will mchem głowy wskazał na Alenę, wciąż dosiadającą czarnego ogiera.

- A teraz ci mówię: znikaj! Do wieczora sam się tym zajmę - burknął Iain. I w pozostałe dni, dodał w myślach. Z ukosa zerknął na Alenę. Ze spokojem patrzyła w jego stronę. Niech ją wszyscy diabli!

Nadeszła Edwina. Co ją tu znowu przygnało? Fuknęła głośno i wskazała palcem na Willa.

- Mam z tobą do pogadania, chłoptasiu. Chodzi o młodą Hetty.

Will poczerwieniał i cofnął się o kilka kroków.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. - Edwina chwyciła młodzieńca za koszulę i pociągnęła go w kierunku domu.

Alena wybuchnęła śmiechem. W uszach Iaina zabrzmiało to jak śpiew strumyka. Oj, przydałaby mu się teraz zimna i orzeźwiająca kąpiel. Z niechęcią spojrzął na dziewczynę.

- Z czego się śmiejesz?

- Z Willa. Zadurzył się.

- W kim?

- Jak kto: w kim? W Hetty. Iain parsknął pogardliwie. Oba konie niespokojnie zastrzygły uszami.

- Na pewno nie. Jest wojownikiem. Przede wszystkim powinien mieć na względzie swoje obowiązki i dobro rodzinnego klanu. Winien mi wierność.

- Wcale nie twierdzę, że nie jest wojownikiem - odparła Alena. - To nie przeszkadza mu być po uszy zakochanym. Każdy to widzi.

Błysnęła zielonymi kocimi oczami. Iain poczuł, że jego obrona słabnie.

- Jeśli tak, to zgłupiał.

Dumnie uniosła głowę. Wyglądała teraz wprost prześlicznie. Zawróciła ogiera i odjechała w drugi kąt zagrody. Zanim jednak dotarła do stajni, Iain przeciął jej drogę i chwycił wodze karosza.

- Muszę z tobą pomówić - rzekł ostrym tonem. - I to teraz.

Chciał dowiedzieć się całej prawdy. Ruchem głowy wskazał pobliski zagajnik.

- Pojedziesz ze mną.

- Teraz zajmuję się ogierem. - Pchnęła konia piętami. Iain wyrwał jej wodze, żeby mu nie uciekła. W tej samej chwili zobaczył Duncana. Stary masztalerz stał w otwartych drzwiach stajni, uśmiechnięty od ucha do ucha, niczym jakiś dureń.

- Święty Sebastianie i wszystkie czarty piekieł! - wybuchnął Iain.

- Sama się o to prosiłaś, dziewczyno! - Zamaszystym ruchem ściągnął ją z ogiera i posadził przed sobą. - Walcz, jeśli potrafisz.

Szarpała się zajadle, ale jej nie puścił. Prawdę mówiąc, nawet mu się to podobało. Przynaglił konia do szybszego biegu i odjechał w stronę zagajnika. Po minucie Alena przestała się szamotać. Bardzo dobrze. W samą porę.

Głęboko wciągnął w nozdrza delikatny zapach jej włosów.

Nie znał dotąd takiej niewiasty.

Była doskonała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Była złością.

Na dobrą sprawę Iain nie miał pojęcia, czy chciałby ją najpierw pocałować, czy też przywołać do porządku. W czasie niedługiej jazdy do zagajnika wiele razy usiłowała wymknąć mu się z objęć i zeskoczyć z końskiego grzbietu. Wreszcie ścisnął ją tak silnie, że nie mogła się nawet ruszyć.

Koń pokonał strome zbocze wzgórza i zagłębił się między drzewa. Wreszcie dojechali do posepnych ruin starej kamiennej warowni.

Iain puścił Alenę i stwierdził ze zdumieniem, że nie wyrwała się zaraz na wolność. Za każdym razem zaskakiwała go swoim zachowaniem. Teraz siedziała zupełnie spokojnie, oparta o jego tułów. Wiatr rozwiewał jej długie złociste włosy.

Z tej wysokości widać było całą posiadłość Davidsonów. Ziemię ciągnęły się aż po horyzont. Odległe Braedun Lodge przypominało małą kropkę, ledwo widoczną za lasem.

- Cudowny widok - powiedziała Alena. Iain popatrzył na nią ze zdumieniem.

Przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej twarzy. Oczy, bladozielone w jasnym świetle dnia, były wpatrzone w daleki widnokrąg. Dopiero teraz zwrócił uwagę na jej rzęsy. Przy powiekach bardzo ciemne, końcówki miały jasne.

- Tak, dziewczyno. Przecudowny. - Pogładził ją po ramionach i poczuł, że zadrżała. - Zimno, co?

- Nie, - Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. A jemu nagle wydało się, że zatonął w jej oczach. Boże, dopomóż! Rzuciła na niego urok. Nawet nie wiedział jak i kiedy. Gdy była blisko, stawał się innym człowiekiem. Wolał jednak nie myśleć, co się za tym kryło.

Zeskoczył z konia i wyciągnął rękę. Alena zawahała się na krótką chwilę. Przecież na dobrą sprawę mogła teraz wbić pięty w boki wierzchowca i uciec. Nie potrafiła jednak w ten sposób opuścić Iaina.

Pozwoliła, żeby ją objął. Całą sobą chłonęła ciepło i siłę bijącą od jego ciała. Policzki ją paliły. Zaschło jej w gardle, więc odruchowo rozchyliła usta.

I wtedy ją pocałował. Dwa razy.

Znalazła się w siódmym niebie. Popatrzył na nią pytającym wzrokiem, a ona w odpowiedzi wyszeptwała:

- Iain.

Całowała się z kilkoma chłopcami, lecz nigdy w taki sposób. Iain zmrużył powieki. Jego oczy przypominały teraz kocie ślepie. Dreszcz przeszył ciało Aleny. W trakcie drugiego pocałunku mocno przywarła do Iaina i wyraźnie poczuła jego podniecenie.

Usiłowała go odepchnąć, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie. Nie mogę - szepnęła. Wreszcie wyrwała się z jego objęć i chwiejnym krokiem uciekła w głąb poczerniałych ruin. Usłyszała za sobą tupot. Wspięła się na spaloną basztę i zdyszana stanęła na stercie kamieni. Potrzebowała czasu, żeby się uspokoić. Iain pobiegł za nią, stanął na kamieniach i położył jej ręce na ramionach. Alena wzięła głęboki oddech i odwróciła się twarzą do Iaina.

- O co chodzi? - zapytał chropawym głosem. Wciąż jeszcze był zaczerwieniony po namiętym pocałunku.

- Ja... ja... - Nie miała najmniejszego pojęcia, co w zasadzie chce mu powiedzieć. W pierwszym odruchu chciała wyznać mu wszystko, ale nagle straciła odwagę. Zapadło głucho milczenie.

Iain przyglądał jej się zaniepokojonym wzrokiem.

- Jesteś mężatką? - spytał. - Kochasz kogoś innego? Roześmiała się niewesoło.

- Nie, skądże.

Wyraz napięcia zniknął z jego twarzy. Potem jednak na powrót zmarszczył brwi, jakby coś sobie uświadomił.

- W takim razie, może masz narzeczonego? Któregoś z wielkich ziemian?

Przed oczami Aleny zamajaczyło ponure oblicze Reynolda Granta. Rozzłościła się nie na żarty.

- Nie! - zawołała z pełnym przekonaniem.

Iain uśmiechnął się triumfalnie. To ją też rozdrażniło. Nie ciesz się tak, gagatku. pomyślała.

- Nawet gdybym była, to bym ci nie powiedziała. Nie twoja sprawa.

Od razu spoważniał. Zacisnął ręce na jej ramionach.

- Wręcz przeciwnie, maleńka. Na pewno mnie to dotyczy. Nie domyślasz się może dlaczego?

Stał tak blisko, że poczuła ciepły oddech na twarzy. Serce waliło jej jak młotem.

- Nie mam pojęcia - skłamała, bojąc się wyznać prawdę. Iain puścił ją. Odeszła kilka kroków. Potem, niczym w transie, wróciła do konia, a Iain stał bez ruchu na szczycie zrujnowanej baszty. Zaciskał pięści i patrzył przed siebie. Alena bez słowa trzepnęła piętami konia i odjechała w dół zbocza, do lasu.

Reynold Grant huknął pięścią w stół. Echo uderzenia przetoczyło się przez kamienne komnaty zamku Glenmore.

- Gdzie ona jest?! - ryknął. - Mieliście mi ją przyprowadzić! Co się z nią stało?

Perkins stał przed nim wyprężony jak struna, w asyście sierżanta i dwóch zbrojnych.

Banda kretynów, pomyślał Reynold. Bezużyteczni idioci. Gardził nimi. Sam dawno znalazłby tę dziewczkę.

- Zabrał ją jeden z Mackintoshów, panie - odezwał się sierżant.

Reynold zabębnił palcami w blat stołu.

- Jesteś pewny?

- Tak - potwierdził Perkins. - Ścigaliśmy ich na południowy wschód, aż do ziem Davidsonów.

Reynold zastanawiał się przez chwilę.

- Alistair Davidson. - Pchnął krzesło i wstał. - Wuj. To by pasowało.

Perkins uśmiechnął się, lecz zbrojni wymienili między sobą zdumione spojrzenia.

- Czyj wuj, mości panie? - zapytał sierżant.

- Jego wuj, baranie! Alistair Davidson jest wujem Iaina Mackintosha!

Jego słowa wzbudziły ogólne poruszenie. Oficer wybuchnął śmiechem.

- Ośmieliłby się tak daleko zapuścić na ziemię Grantów? Przecież był sam.

Reynold popatrzył na niego gniewnym wzrokiem. Tak mocno zaciskał pięści, że paznokcie wbijały mu się w ciało.

- Włóczył się po moich dobrach, a ja o tym nie wiedziałem? - Ledwo się powstrzymał, żeby ich wszystkich nie podusić. - Gdzie byliście, łajdacy, kiedy to się stało?

Zbrojni niepewnie przestępowali z nogi na nogę. Nie patrzyli mu w oczy. Perkins uśmiechał się zjadliwie, ale też milczał. Reynold miał ochotę trzasnąć go w gębę.

Stanął przy ogromnym kominku i oparł się o kamienną półkę. Przez chwilę, zamyślony, patrzył w ogień, jakby tam usiłował znaleźć odpowiedź na pytania.

Musiał odzyskać tę dzierlatkę. Ale jak? Było jeszcze za wcześnie, by ruszyć z wojskiem. Chciał wszystkiego: zamku Findhorn, ziemi Mackintoshów i Aleny d'Angouleme.

Miał zamiar poślubić ją przed wystąpieniem przeciwko Mackintoshom.

Nie. Lepiej poczekać. Nie wolno zbyt pochopnie wypowiadać wojny Iainowi. Co będzie, jeśli klan Chattan opowie się po jego stronie? Czas sprzyja umiejętnie podsycanym kłótniom. MacBainowie już się wahają.

Spojrzał na swoich ludzi.

- Perkins! - warknął. - Zorganizujesz mi spotkanie z MacBainami. Natychmiast.

Perkins uśmiechnął się pod wąsem.

- Tak, jasnie panie. Możesz na mnie polegać.

- A co do reszty z was - Reynold powiódł wzrokiem po żołnierzach - są jakieś wieści od zwiadowców?

Oficer odzyskał rezon.

- Naczelnik Davidsonów wraz z żoną wjechali na ziemię Macgillivrayów.

To było interesujące.

- Mają eskortę?

- Tylko dwudziestu ludzi. Macgillivray obiecał im pełne bezpieczeństwo.

- W drodze powrotnej do Braedun Lodge muszą przejeżdżać przez góry graniczące z twoimi włościami, panie - wtrącił Perkins.

Reynold nie bez przyczyny liczył na Perkinsa. Był sprytny. Sprytniejszy od innych. Śmierć Davidsona stworzyłaby nowe możliwości.

Reynold niecierpliwie zamachał dłonią.

- Jesteście wolni. Idźcie sobie. Muszę teraz pomyśleć. Usiadł w fotelu stojącym tuż koło kominka i rozprostował nogi. Usłyszał cichnący szelest kroków i skrzyp zamykanych drzwi.

Oczami wyobraźni ujrzął twarz Aleny Todd, jej jasną cerę i zielone oczy. Córka masztalerza.

- Ha!

Dziewczyna w istocie była szlachetnej krwi i spokrewniona z dworem królewskim. Musiał ją pojąć za żonę.

Przymknął oczy. Teraz znalazła się w rękach Mackintosha. Przeklęty Iain już dawno powinien podzielić los ojca! Im szybciej, tym lepiej. Reynold zacisnął dłonie na wyściełanych aksamitem poręczach fotela.

- Nie, Iainie Mackintoshu. Bądź pewny, że długo się nią nie nacieszysz!

Spory zając wychynał z krzaków. Iain instynktownie sięgnął po łuk, ale jego ręka pochwyciła wyłącznie pustkę.

- Przeklęta dziewczka!

Kopnął kamień w stronę zająca i ponownie zaklął.

Szedł już ponad godzinę, a do warowni wuja wciąż pozostawał mu jeszcze kawał drogi. Przyspieszył kroku, rozglądając się bacznie po lesie.

Odjechała na jego koniu! A on, głupiec, spokojnie jej na to pozwolił!

- Idiota!

Dziesiąty raz sprawdził broń za pasem: miecz, dwa sztylety i tkwiący w bucie sgian dhu. To wszystko. Łuk, drugi miecz i jeszcze jeden sztylet zostały przy koniu.

Gdzie teraz była Alena? Może wracała, żeby go przeprosić słodkim, namiętym pocałunkiem? Poczł rozkoszny dreszcz na wspomnienie jej pełnych ust, miękkich i pachnących.

Potrząsnął głową. Pewnie była już w połowie drogi do zamku Glenmore. Hamish miał rację. W te pędy pognęła do swojego kochanka, żeby mu przekazać najważniejsze wieści. Przecież widziała broń i umocnienia. Znała liczbę zbrojnych stale pozostających w warowni Davidsonów.

Przystanął na chwilę, aby nabrać tchu i popatrzył poprzez gałęzie drzew na błękitne niebo.

- Nie - powiedział na głos. - Niemożliwe, żeby była szpiegiem.

I nie miała kochanka. Tego był całkowicie pewien.

Była dziewczcą. Słodko całowała, ale w jej pocałunkach kryła się niewinność. Iain westchnął. Na przyszłość muszę bardziej uważać, pomyślał. Może nawet nie na nią, ale przede wszystkim na siebie. Powinien trzymać zmysły na wodzy.

Kim ona naprawdę była?

Nagle sobie przypomniał, dlaczego przywiózł ją aż tutaj, z dala od przygodnych świadków. Chciał ją przecież wypytać. O nazwisko, o krewnych, o przynależność do klanu. Wszystko uleciało mu z głowy, kiedy tylko spojrzął jej w oczy.

Muszę bardziej uważać, powtórzył w myślach. Mam przecież swoje plany.

Oparł się o rozłożystą brzozę. Szorstki dotyk kory przywiódł mu na myśl całkiem inne drzewo, w innym odległym lesie oraz inną dziewczynę.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień i jak zwykle przy takich okazjach wsunął rękę do sakiewki. Wyciągnął kosmyki włosów splecione w maleńki warkoczyk.

Przysięgał wrócić. I na pewno wróci.

Mimo wszystko, dziecięca obietnica pozostawała obietnicą. Nie zwykł łamać raz danego słowa. Ale kim była tamta młodzianka dziewczyna? Roześmiał się. Czy nie za dużo tajemniczych kobiet przewinęło się przez moje życie? - pomyślał. Nieważne. Znajdzie ją. Musi znaleźć. Musi odzyskać sztylet z rękojeścią nabijaną klejnotami.

Stał tak przez długą chwilę, pogrążony we wspomnieniach. Nagle drgnął, słysząc tupot kopyt i szelest liści. Ktoś przedzierał się przez krzaki.

Kto to? Odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza. Zaraz jednak ją opuścił, bo w oddali ukazał się Hamish i dwóch zbrojnych w barwach Davidsona.

Prowadzili ze sobą osiodłanego luzaka. To był ten sam koń, na którym odjechała Alena.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serce zamarło w piersi Iaina. Pobiegł w dół zbocza na spotkanie jeźdźców. Zatrzymał się przed Hamishem i wskazał na puste siodło.

- Gdzie ona?

Hamish uśmiechnął się i znacząco poruszył krzaczastymi brwiami.

- A gdzie ma być? - spytał kpiąco. - W stajni. Iain odetchnął z ulgą.

- Spotkaliście ją?

- Nie. Galopem wypadła z lasu, wjechała na dziedziniec i na nic się nie oglądając, popędziła do zagrody.

- A niech mnie! Hamish błysnął oczami.

- To był dopiero widok. - rzekł z podziwem. - Miała zarumienioną twarz i rozwiane włosy.

Iain wbił wzrok w przestrzeń. Zbrojni Davidsona rzucili kilka żartów.

- Dość. - Iain popatrzył na nich groźnie. Natychmiast zamilkli.

Gwizdnął na konia i lekkim ruchem skoczył na siodło. Skierowali się w stronę domu.

- Jedźmy. Zmierzcha się. Hamish ruszył z nim ramię w ramię.

- I co o niej teraz sądzisz?

- Bóg mi świadkiem, Hamishu, że naprawdę nie wiem.

- Ani ja. - Olbrzym pogładził brodę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Powiem ci jedno: mogła uciec, ale nie uciekła.

- To prawda. Pytanie tylko: dlaczego?

Iainowi przemknęły przez głowę dziesiątki odpowiedzi. Bezwiednie przynaglił konia do szybszego biegu.

Głośny śmiech wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się i zobaczył, że Hamish porozumiewawczo zerka na zbrojnych, Iain obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Do diaska! - zawołał Hamish. - Weź ją wreszcie do łoża i będzie po kłopotcie!

Mięśnie Iaina napięły się jak postronki. Zmełł w ustach słowa przekleństwa. Hamish dostrzegł błysk złości w jego oczach i natychmiast zaprzestał żartów. Dwaj zbrojni, wyczuwając, co się święci, wysforowali się szybko naprzód, poza zasięg głosu.

Iain i Hamish mierzyli się wzrokiem. Iain nagle zdał sobie wyraźnie sprawę, jak wielka przyjaźń łączy go z tym jowialnym, lecz

dzielnym olbrzymem. To przecież Hamish, przez te wszystkie lata, obserwował jego starania o przywrócenie dawnej chwały i odbudowę rodu. Był przy nim w złych i dobrych chwilach.

Napięcie z wolna zelżało. Iain uśmiechnął się do druha i wzruszył ramionami.

- A więc to tak - powiedział cicho Hamish.

Iain przypomniał sobie słodki dotyk ust Aleny, woń jej ciała i nieco zamglony wyraz kocich zielonych oczu. Odczuwała coś więcej niż zwykle pożądanie. Był tego pewien.

W jego przypadku też nie chodziło tylko o żądzę. Alena zburzyła spokój jego duszy.

- Tak - szepnął bardziej do siebie niż do przyjaciela.

Popędził konia. Tym razem Hamish nie próbował go ścigać.

Od śmierci ojca Iain praktycznie nie zaznał miłości. Zbyt mocno kierowało nim pragnienie zemsty. Chciał zniszczyć Grantów. Właściwie chciał zniszczyć przede wszystkim jednego Granta. W jego życiu nie było miejsca dla kobiet.

Oczywiście, co pewien czas dawał upust swoim młodzieńczym żądom. Jednak żadna z dziewcząt nie wywarła na nim głębszego wrażenia. Z żadną nie czuł się tak wspaniale jak przy Alenie.

Nie pora na to, przywołał się do porządku. Klan mnie potrzebuje. Ludzie czekają, że z moją pomocą odzyskają ziemię i honor. Muszę być z nimi, chyba że nagła śmierć zabierze mnie z tego świata.

W dali widać już było mury Braedun Lodge. Iain trącił piętami boki konia. Pora działać.

Alena zjadła wieczerę u siebie, chociaż Edwina i Hetty namawiały ją, żeby zeszła na dół. Wymówiła się zmęczeniem i poprosiła, by przekazały domownikom jej szczere przeprosiny.

Prawdę mówiąc, chciała być zupełnie sama.

Wciąż rozpamiętywała pocałunki Iaina. Nadal czuła dotyk jego silnych rąk.

Po cichu wyszeptała jego imię. Przesunęła dłonią po policzku, jakby szukając miejsca, w którym jego wargi musnęły jej skórę.

Do tej pory żaden mężczyzna nie rozbudził w niej takich uczuć.

Nie była tym zbytnio zdziwiona. Od pierwszej chwili gdy pochylił się nad nią w lesie, nad strumieniem, wiedziała, że to jej wybranek.

Źle spała tej nocy. Obudziła się bladym świtem, spocona i rozczochrana. Splątana kołdra leżała na podłodze.

Śniło jej się, że galopowała na czarnym ogierze po ogromnej zielonej łące, porośniętej żółtymi kwiatami. Potem zjawiał się Iain z łukiem w ręku. Uradowała się na jego widok, ale on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Patrzył gdzieś w dal, nie wiadomo na co.

Alena przetarła oczy, żeby odpędzić resztki snu, wstała, ubrała się i zeszła na dziedziniec. Pierwsze kroki skierowała do stajni, gdzie czekały na nią nowe perszerony.

Przy bramie spotkała Duncana.

- Witaj, panienko - powiedział. - Gotowa do pracy?

- A i owszem - odparła. - Piękny dzień dzisiaj.

Przez chwilę stali, zadzierając głowy i patrząc na bezchmurne niebo.

Potem zjawiał się Gavin, prowadzący ciężarną klacz. Alena skinęła głową w stronę konia.

- Niedługo poród?

- Ano tak - odparł Duncan. - Chodź. Chcę, abyś lepiej jej się przypatrzyła.

Weszli razem do stajni. Budynek był o wiele większy, niż wydawał się z zewnątrz. Na klepisku leżało pachnące siano, a pod przeciwległą ścianą stał pełny żłób.

Gavin poklepał klacz.

- I co o mej myślisz, Aleno? - spytał. - To nasza duma. Przesunęła dłonią po lśniącej sierści zwierzęcia. Klacz obwąchała jej rękę. Alena uśmiechnęła się.

- Szkocka clydesdale. Piękna.

- To prawda - potwierdził Gavin.

- A ojciec źrebięcia? - zapytała.

- Kary - odpowiedział Duncan z dumą.

- Arab - z zapalem dorzuciła Alena. - Oj, będzie piękny potomek.

- Owszem, ale z porodem mogą być kłopoty - zafrasował się Duncan. - To jej drugie źrebię. Pierwsze omal jej nie zabiło.

- Czyja to klacz? - spytała Alena.

- Młodego Conalla - odparł Gavin. - Prezent od mamy. Ellen Mackintosh niedawno zmarła. Brat Iaina na pewno wpadłby w rozpacz po kolejnej stracie.

Alena popatrzyła na wydatny brzuch zwierzęcia.

- Dlaczego ją dopuściliście do ogiera?

Gavin za wszelką cenę chciał powstrzymać uśmiech. Alena przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- Przecież mówimy o karym. - westchnął Duncan. - Nikt z nas nie zdołał go utrzymać. O mało nie rozwalił stajni, żeby się do niej dostać. Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiej miłości. Przynajmniej nie u koni - dokończył ze znaczącym uśmiechem.

Alena poczerwieniała. Aby ukryć zakłopotanie, pochyliła się i podniosła z ziemi garść siana.

- Ja się nią zajmę - powiedziała. Gavin odstąpił o dwa kroki. - Na pewno macie dużo roboty z innymi końmi.

- Nie dzisiaj - odparł Duncan. - Połowę wzięli zbrojni Iaina.

- To Iain wyjechał? - Starła się, żeby jej pytanie zabrzmiało całkiem niewinnie, lecz Duncan wiedział swoje.

- Tak - rzekł Gavin. - Z Hamishem i innymi. Do Inverness.

Dobre dwa dni drogi od Braedun Lodge, uświadomiła sobie Alena. Zrobiło się jej przykro.

- Kiedy wrócą?

Duncan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Gavin go uprzedził.

- Nie później niż za tydzień, bo ile czasu można spędzić na picciu i chędożeniu?

- Picciu i... - powtórzyła i urwała zmieszana. Duncan karcąco spojrzał na syna.

- Strzepisz tu tylko język, chłopcze. Weź młodego Jamiego i Fergusa. Zajmijcie się perszeronami. Zaraz do was przyjdziemy.

Gavin wzruszył ramionami, zerknął na ojca z miną niewiniątka i odszedł.

Alena całą swoją uwagę poświęciła klaczy. Szczotkowała ją wiechciem słomy z taką zawziętością, że Duncan nie wytrzymał wreszcie i złapał ją za rękę. Wciąż unikała jego wzroku.

- Nie przejmuj się, moje dziecko - powiedział z nieoczekiwaną tkliwością. - To, że pojechał do Inverness z innymi, jeszcze nic nie znaczy. Gavin niech sobie gada. W ogóle go nie słuchaj. Pijaństwo i karczemne dziewczki to nie rozrywka dla Iaina.

Uśmiechnęła się słabo. Duncan ścisnął jej dłoń.

- Chodź, obejrzymy pozostałe konie.

Rzuciła wiecheć na ziemię i poszła za nim. Wtem zatrzymała się, tknięta nagłą myślą.

- Duncanie? A co z bratem Ambrose? Zaniesie wiadomość moim rodzicom?

- Tak, tak. Gavin spotkał się z nim wczorajszego wieczora, na trakcie. Wszystko już załatwione.

Ciężar spadł jej z serca. Westchnęła z ogromną ulgą. - Niech wam Bóg błogosławi.

Alena pracowała w stajniach od świtu do nocy. Wieczorami, zupełnie wyczerpana, zasypiała kamiennym snem, zadowolona z osiągniętych wyników.

Na czas swojej nieobecności Iain wyznaczył Gilchrista do pilnowania domu. Poza nim, z Mackintoshów pozostali jedynie Conall i Will, który ani na chwilę nie spuszczał Aleny z oka.

Czasami wieczorowali razem. Alena przy okazji wiele się nasłuchiwała o Iainie. Trzej młodzieńcy zgodnym chórem chwalili go za odwagę, biegłość we władaniu łukiem, mieczem i inną bronią, oraz za poświęcenie, z jakim służył klanom Mackintoshów i Davidsonów. Najwyraźniej wszyscy go szanowali.

Alena usiłowała dowiedzieć się, jakie stosunki łączą Iaina z przywódcami sąsiednich klanów, ale domownicy starannie omijali ten temat. Raz wymieniła Grantów z nazwiska, a wtedy przy stole zapanowała nagła cisza. Will i Gilchrist zamilkli natychmiast, jedynie młody Conall próbował coś powiedzieć, ale też zaraz ucichł, skarcony przez starszych.

Wypełnione pracą dni mijały szybko, jeden po drugim. Natomiast nocami nachodziły Alenę niespokojne myśli, powodując bezsenność. Martwiła się o rodziców, klan i o własną przyszłość. Wszystko to razem ogromnie ją przytłaczało. Najwięcej jednak myślała o Iainie. Zamiast spać, kręciła się na rzeźbionym łożu, niezdolna o nim zapomnieć.

A w czym łożu on teraz leżał?

Wiedziała, że nie powinna sobie zadawać takich pytań. Przecież Iain zupełnie o nią nie dbał. Widział w niej jedynie przedmiot pożądania. Gdyby mu nie uciekła, tam w ruinach... Serce zamarło w niej na myśl, co mogłoby się wówczas zdarzyć.

Zerwała się z łóżka i bosą podeszła do okna. Spojrzała na nocne niebo. Tysiące gwiazd migotało do niej z ciemnego nieboskłonu.

Gdzie teraz był Iain?

Pewnie pił i chędożył.

Zdanie wypowiedziane przez Gavina wciąż do niej wracało. Ze złością chwyciła ciężką kotarę i zerwała ją z okna. Iain był tylko mężczyzną. Kiedy go odepchnęła, poszedł do innej. Była zła na niego, ale głównie na siebie, że się zachowała jak niemądra cnotka.

- Zimny powiew wtargnął przez otwarte okno. Alena dostała gęziej skórki. Prędko wskoczyła na powrót do łóżka i zagrzebała się w ciepłe futra.

Wkrótce musi stąd wyjechać. Wrócić do własnego klanu i przede wszystkim do rodziców.

Nie wiedziała jeszcze, jak stawi czoło Reynoldowi Grantowi. Bo że mu nie ulegnie, to pewne.

Alena przykucnęła przy czarnym ogierze i obejrzała podkowy. Oстрыm nożem oczyściła i zestrugała mu kopyta. Koń rzucił łbem i parsknął parę razy, ale poza tym bez protestów poddawał się jej zabiegom.

Duncan z zadowoleniem obserwował tę scenę. Prawdę mówiąc, sam zachęcał Alenę, żeby zajęła się karoszem. Jak dotąd, ogier tylko jej zezwalał podejść bliżej i tylko ona mogła go dosiąść.

Po skończonej pracy odprowadziła go do żłobu. Koń jednak był niespokojny. W pewnej chwili zarżał i spojrzał na dziedziniec. Alena mocno chwyciła go za uzdę. Od strony bramy rozległ się stuk kopyt i brzęk metalu.

Do warowni wjechał spory oddział zmęczonych, zakurzonych i ubłoconych wojowników, prowadzony przez Iaina Mackintosha. Tuż za wodzem kłusował Hamish, a za nim reszta zbrojnych.

Alena wyprostowała się dumnie. Z godnością oczekiwała na choćby krótkie powitanie, lecz Iain minął ją bez słowa, patrząc zupełnie w inną stronę. Spojrzała za nim ze złością i zdumieniem.

Obróciła się na pięcie i odeszła. Za sobą usłyszała cichy śmiech Hamisha. Zdenerwowało ją to jeszcze bardziej.

Ukradkiem obserwowała Iaina przez okno. Widziała, jak zeskoczył z konia i rzucił wodze Gavinowi. Potem podszedł do koryta. Na moment zerknął w jej stronę. Prędko ukryła się za ścianą.

Po chwili odważyła się wyjrzeć. Iain stał tyłem do niej, rozebrany do pasa. Obmywał się po długiej podróży.

Alena popatrzyła z zachwytem na rozbudowane mięśnie prężące się pod skórą. Na wpół nagi przypominał jej bożka z dawno zapomnianych legend.

- Jezu! - szepnęła. Przez kilka minut nie potrafiła oderwać wzroku od wspaniałej męskiej sylwetki.

Wreszcie wróciła do codziennych zajęć. Kiedy po pewnym czasie znowu spojrzała w okno, Iaina już nie było na dziedzińcu.

Nie zobaczyła go do końca dnia, a także nazajutrz. Przy wieczery sadzano ją z dala od niego, po drugiej stronie stołu, między dwoma Davidsonami.

Szczerze mówiąc, bardzo jej to odpowiadało. Przynajmniej mogła spokojnie oddać się rozmyśleniom. Układała już plan ucieczki z warowni. Wciąż jednak z niepokojem myślała o przyszłości. Zbliżał się dzień świętego Jana.

Hamish pojawił się przy stole dopiero drugiego dnia. Głośno i ze swadą opowiadał o Inverness. Nie skąpił szczegółów. Alena nadstawiła ucha, by dowiedzieć się czegoś o Iainie, ale imię młodego wodza nie padło ani razu.

Czasami, kiedy unosiła wzrok, napotykała jego zimne spojrzenie.

Nie pozostawała mu dłużna.

Dosyć wcześnie odeszła od stołu, tłumacząc, że przed snem chce jeszcze zajrzeć do ciężarnej klaczy. Zbliżał się czas rozwiązania, a obiecała Duncanowi, że pomoże mu przy porodzie.

Zaraz po tym zamierzała opuścić Braedun Lodge.

Tej nocy drzwi do jej komnaty rozwarły się z głośnym hukiem.

Alena zerwała się z łóżka. Kilka futer spadło na podłogę. Chwyciła sztylet, który przed snem zawsze wieszala w pobliżu, u wezglowia.

Blask samotnej pochodni rozjaśnił wnętrze izby. W stronę Aleny zbliżała się mała, przygarbiona postać. Dziewczyna rozpoznała w niej starą pokojową, tylko w koszuli nocnej, z derką narzuconą na ramiona.

- Co się stało, Edwino?

Twarz kobiety błysnęła w migotliwym świetle.

- Zbieraj się, dziewczyno. Klacz zaczęła rodzić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie było czasu, żeby się ubrać.

Iain chwycił miecz i tak jak stał, na wpół nagi, wypadł przez drzwi na korytarz. Z daleka słyszał jakieś zamieszanie. Ktoś z płonąca pochodnią stał w drugim kącie sali. Iain, wywijając mieczem, skoczył w tamtą stronę.

Dwie ciemne postacie zamarły, ale zaraz potem wyższa z nich odwróciła się błyskawicznie. Błysnęło stalowe ostrze małego sztyletu. Iain chwycił rękojeść miecza w dwie ręce.

Powstrzymał się od ciosu w ostatniej chwili.

Alena patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Oboje stali naprzeciw siebie nieruchomo, niczym posągi.

Iain uważnie spojrzał na dziewczynę. Miała na sobie skórzane nogawice, buty i zgrzebną wełnianą koszulę. Włosy ciasno upięła po obu stronach głowy. Nic dziwnego, że jej nie poznał.

Zaczerwieniła się, a on przypomniał sobie, że jest na wpół nagi. Chwycił leżący na ławie koc i niezgrabnie narzucił go na ramiona.

Towarzyszka Aleny zaśmiała się zgrzytliwie. To była Edwina. Iain łypnął na nią ponuro.

Alena schowała sztylet i obróciła się na pięcie.

- Nie tak szybko - rzekł i zagroził jej drogę. - A dokąd to, moja panno, wybierasz się ciemną nocą?

Luźne kosmyki opadały jej na kołnierz koszuli, lśniąc złociście w świetle pochodni. Boże, jakaż ona nieziemsko piękna! - pomyślał Iain.

Alena spojrzała mu prosto w twarz i lekko wydeła usta. Ogromnie mu się podobała, kiedy była w buntowniczym nastroju.

- Duncan mnie potrzebuje. Klacz zaczęła rodzić. Minęła go i odeszła.

Iain stał jak wrośnięty w ziemię, spoglądając na oddalające się światło pochodni. Wreszcie ocknął się i wrócił do swojej komnaty. Dziesięć minut później kompletnie ubrany zjawił się w zagrodzie.

Duncan podał Alenie szmaty. Rozłożyła je na pokrytym podściółką klepisku. Klacz, dysząc ciężko, leżała na boku. Dziewczyna przemawiała do niej łagodnymi słowy i lekko gładziła ją po szyi.

W pewnej chwili trąciła Iaina łokciem, żeby się odsunął i przykucnęła przy łbie zwierzęcia.

- Nie ma potrzeby, abyś tu siedział - powiedziała. - Duncan i ja damy sobie radę.

Jak śmiała tak do niego mówić?! Przecież był naczelnikiem klanu, a ona? No właśnie. Musiał w końcu dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Popatrzył na Duncana. Stary stał oparty o belkę, z założonymi na piersiach rękami. Na jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiezek.

Nie ma potrzeby? Iain chwycił drugi pęk szmat i przysunął się bliżej do Aleny.

- To nie robota dla kobiet - mruknął, pewny, że go usłucha.

Ze zdumieniem zobaczył błysk gniewu w jej oczach.

- Ha! - krzyknęła zjadliwie. - To właśnie nam wszystko zostawiacie! Dla was to chwila przyjemności, a my musimy potem po was sprzątać! Nosić wasze potomstwo!

Co ją opętało? Iain pytająco spojrział na Duncana, ale masztalerz tylko wzruszył ramionami.

Alena popatrzyła klaczy w oczy. Poglądziła ją po pysku.

- A poza tym, asystowałam przy dziesiątkach podobnych porodów. Najlepsze konie w całej Szkocji pochodzą z mojej stajni.

Iain uwierzył jej bez zastrzeżeń. Musiał przyznać, że była odważna.

- Tak? - spytał z przekąsem. - A co to za stajnia?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie i na powrót zajęła się klaczą.

Przyglądał jej się z zaciekawieniem. Podziwiał jej opanowanie i stanowczość. W pewnym momencie, zupełnie naturalnie, przejęła dowodzenie. Nawet Duncan nie wtrącał się, lecz pozwalał jej swobodnie działać. Patrzył na nią z wyraźną dumą jak mistrz na zdolnego ucznia.

Iain nie ochłonał jeszcze po pamiętnej wycieczce do ruin. Nawet pięciodniowy pobyt w Inverness nie ostudził jego rozpalonej głowy. Śnił o Alenie w nocy, a w ciągu dnia wciąż miał przed oczami jej twarz i czuł zapach jej włosów.

- Niech mnie szlag! - zaklął pod nosem.

Alena uniosła głowę i przyłapała go na tym, że się w nią wpatrywał.

Instynktownie wyczuł, że jego uczucia są odwzajemnione. Miedzy nim a Aleną istniała nieuchwytna, lecz głęboka więź.

Zastanawiające było to, skąd się wzięła, skoro dopiero niedawno się poznali.

Alena wyciągnęła rękę po wiadro z wodą i niechcący trąciła go w ramię. Przeszedł go dreszcz.

- Pani - powiedział cicho i położył dłoń na jej ramieniu. Szarpnęła się jak spłoszona łania i popatrzyła na niego czujnie. - Pozwól - dodał. Wziął ciężkie wiadro i postawił tuż przy niej.

- Dziękuję. Ja...

Klacz zadrżała i Alena musiała jej poświęcić całą swoją uwagę. Zerwała się, przebiegła koło Iaina i przysiadła za zadem zwierzęcia. Kilkoma zręcznymi ruchami zbadła, co się dzieje, umiejętnie sprawdzając stan klaczy.

- Już czas - powiedziała krótko, zwracając się do Duncana.

Masztalerz klęknął przy niej. Zerknął na wody płodowe, rozlewające się po ściółce.

- Masz rację.

Klacz parsknęła głośno i wierzgnęła, przewracając Alenę na ziemię. Iain skoczył jej na pomoc, lecz odtrąciła jego rękę.

- Puść mnie! - Podniosła się na kolana i spojrzała na niego z niechęcią.

Czym wywołał w niej taki odruch gniewu? Zupełnie skołowany, przysiadł na piętach i czekał. Mimo swoich lat nie bardzo wiedział, jak postępować z kobietą. Nie szukał żony, chociaż wuj podsuwał mu wszystkie piękne panny z zaprzyjaźnionych klanów. Taki ślub miałby duże znaczenie polityczne, ale Iain uparcie odmawiał.

Przysięgał przecież, że najpierw zmyje plamę z honoru klanu i odzyska rodowe ziemie. Prawdę mówiąc, czuł się związany jeszcze jedną przysięgą, złożoną dawno temu, w leśnym uroczysku.

Klacz znów wierzgnęła. Alena spojrzała na Iaina.

- Połóż tu ręce - rozkazała, wskazując bok zwierzęcia. - Spróbuj ją uspokoić.

Posłuchał bez protestu. Duncan zdjął pochodnię ze ściany i przykleknął tuż przy nich.

Alena podwinęła rękawy. Klacz szarpała się coraz mocniej. Dziewczyna obmacała ją starannie. W pewnej chwili znów popatrzyła na Iaina. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu uśmiechem, po czym skupiła się na klaczy.

Zwierzę dyszało ciężko.

- Idzie - powiedziała Alena.

Delikatnie rozerwała wzdęty pęcherz na tyle, żeby odsłonić jedno czarne kopytko. Iain zrozumiał, że to tylna noga żrebaka.

- Leży odwrotnie! - z przejęciem zawołała Alena. Duncan poważnie skinął siwą głową.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł. - Poprzednim razem było to samo.

- Co robimy? Wzruszył ramionami.

- Praktycznie nie mamy wyboru. Musimy uratować klacz. - Wstał sztywno i wziął ze stoła dwa noże - jeden z wygiętym ostrzem - i mały żelazny hak.

Alena zbladła,

- Nie wolno nam. Duncan popatrzył w ziemię.

- Trzeba to zrobić, dziewczyno - szepnął Iain. - Duncan ma rację.

Przez chwilę spoglądała w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Wreszcie wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Nie. Żrebię się odwróci. Ja je odwrócę. - Z przekonaniem spojrzała na Duncana. - Wszystko będzie dobrze. Robiłam to już wiele razy.

Iain przyjrzał jej się uważnie. Na jej czole perlily się kropelki potu. Zacisnęła zęby i zdecydowanym ruchem odsunęła na bok śmiertcionośne noże.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, w drzwiach stajni stanął młody Jamie.

- Widziałem światło. Już po wszystkim?

- Jeszcze nie, chłopcze - odparł Duncan. Alena odwróciła się w stronę stajennego.

- Potrzebny mi długi mocny rzemień. Odetnij go z jakiejś uprząży. Znajdź też kawałek cienkiej linki. Może być cięciwa.

Jamie popatrzył na masztalerza. Duncan przyzwalająco skinął głową.

- Tak, pani - zawołał chłopiec i odwrócił się, żeby odejść.

- Zaczekaj - mruknął Iain. Sięgnął do sakiewki i wyjął ciasno zwiniętą zapasową cięciwę, jedną z dwóch, jakie zawsze nosił przy sobie.

- Proszę. - Podał ją Alenie. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Błyskawicznie przygotowała się do zabiegu. Pracowała blisko godzinę. Jej spocona twarz połyskiwała w świetle pochodni. W pewnej chwili klacz zaczęła oddychać znacznie szybciej. Duncan pochylił się nad zwierzęciem.

- Za późno! - zawyrokował. - Nie uda nam się.

- Nie! - krzyknęła Alena. Jęknęła z wysiłku, usiłując odwrócić źrebie. Wreszcie cofnęła rękę.

Przez chwilę wszystko zamarto w bezruchu. Iain zmówił w myślach pospieszną modlitwę.

Ku jego zdumieniu, klacz drgnęła nagle. Na świat wyjrzała cienka czarna noga, zakończona maleńkim kopytkiem. Potem druga. Mokry błyszczący nos i cała głowa. Duncan roześmiał się z ulgą.

Alena przykucnęła przy klaczy i nadstawiła rękę. Jeszcze chwila - i całe źrebie znalazło się na wolności.

- Niech mnie! - wymamrotał Iain.

Alena, ze źrebięciem w ramionach, rozciągnęła się na wznak na klepisku. W powietrzu unosiła się intensywna woń nowego życia. Źrebie wierciło się niespokojnie. Próbowало stanąć. Dziewczyna rozwarła ramiona. Źrebie zrobiło kilka chwiejnych kroków i drecząc śmiesznie, podeszło do matki.

Iain widział już wiele końskich porodów, lecz nigdy przedtem nie odczuwał takiego wzruszenia. To była zasługa Aleny, jej siły i niespożytej woli walki, jej ufności, że wszystko pójdzie dobrze.

Klacz wstała i cichym rzeniem obwieściła światu narodziny nowego potomka. Polizała zmierzwioną i mokrą sierść źrebięcia. Noworodek trącił ją pyszczkiem w podbrzusze. Zaczął ssać.

Alena drżącą ręką chwyciła Iaina za ramię. Oparła się o niego ciężko, wyczerpana po ogromnym wysiłku. Chociaż zmęczona, uśmiechała się promiennie. Iain przyglądał się jej z zachwytem.

Kochał ją.

Na świętego Sebastiana i wszystkich świętych w niebie! Naprawdę ją kochał.

Uśmiech zniknął z twarzy Aleny. Cofnęła rękę i z trudem dźwignęła się na nogi. Dopiero teraz zauważył, że cała jest roztrzęsiona. Zatoczyła się lekko, a on próbował ją podtrzymać.

- Nie potrzeba - odpowiedziała sucho. Duncan z uznaniem pokiwał głową.

- Dobra robota, dziewczyno.

- Dobra klacz - odpowiedziała. - To ona wykonała za mnie całą pracę i urodziła pięknego syna.

Jamie wpadł do stajni i z zachwytem popatrzył na źrebię.

- Ależ to wykapany ojciec!

- Masz rację - rzekł Iain. - Leć, obudź Conalla i powiedz mu, że teraz ma już dwa konie pod swoją opieką.

Jamie cofał się powoli, nie odrywając oczu od źrebaka. W pewnym roześmiał się od ucha do ucha, odwrócił na pięcie i pognął jak oszalały.

Alena odgarnęła mokre włosy z czoła. Zamknęła oczy i oparła się o słup podpierający dach stajni. Koszulę miała w nieładzie, poplamioną potem, krwią i wodami płodowymi.

Duncan popatrzył na nią spod oka.

- Idź już, dziewczyno. Odpocznij trochę. Dość się natrudziłaś. Jamie pomoże mi posprzątać.

- Zaraz świt - odpowiedziała słabym głosem. Uniosła powieki i popatrzyła na swoje ręce. - Umyję się na zewnątrz.

Minęła Iaina bez słowa i wyszła ze stajni. Widział, że nadrabiała miną. Na wszelki wypadek wyszedł w ślad za nią.

Noc była chłodna. Zachodzący księżyc widmową poświatą oświetlał podwórko stajni. Alena niepewnym krokiem szła w stronę wypełnionego czystą wodą koryta. Wyraźnie walczyła ze zmęczeniem.

Ledwie jej się udało. Zatrzymała się i zamknęła oczy. Ujrzała w wyobraźni klacz, źrebię, smutną twarz Iaina i spokojne oblicze Duncana. Zawirowało jej w głowie.

Jeszcze parę kroków.

Otworzyła oczy i wyciągnęła rękę, żeby oprzeć się o koryto. Za późno. Osunęła się na kolana.

W jednej chwili Iain był przy Alenie.

Chwycił ją w ramiona i przytulił. Westchnęła i zwiśla bezwładnie.

- Wszystko w porządku, kochanie - szepnął, delikatnie całując jej włosy. - Jestem z tobą.

Poczuła, że wracają jej siły.

- Byłaś dzielna i mądra. Duncan jest z ciebie dumny. Pogłaskał ją po zmierzwionych włosach. Zadrzała pod jego dotknięciem.

W świetle księżycy jego oczy wydawały się całkiem inne. Znikła pożądlivość, którą widziała tam, w ruinach. Biło z nich ciepło, troska, miłość. Miłość? To chyba niemożliwe.

- Ja też jestem z ciebie dumny - szepnął i złożył na jej ustach pocałunek.

Był on tak czuły i delikatny, że Alena odniosła wrażenie, iż to przelatujący gołąb musnął jej usta miękkim skrzydłem. Lekko rozchyliła wargi. Iain jęknął cicho. Jego ręce powoli przesunęły się po jej plecach i dotarły aż do pośladków.

Zaraz, zaraz!

Nagle odzyskała siły, pchnęła go w pierś i odsunęła się gwałtownie. Wyciągnął ręce, ale trzepnęła go po palcach.

Tylko do tego jest mu potrzebna? Nie miał pojęcia o miłości! Otarta usta wierzchem dłoni, aby na zawsze pozbyć się gorzkiego smaku.

Kiedy znowu pochylił się w jej stronę, niewiele myśląc, wymierzyła mu siarczysty policzek. Iain popatrzył na nią gniewnie, a potem znów ją pocałował, jakby za karę.

Alena tłukła go pięściami po szerokiej piersi.

- Nie! Nie! Myślisz sobie, że jestem jedną z twoich nałożnic z Inverness?

Odsunął się, ale nie odszedł. Przypatrywał jej się przez kilka nieznośnie długich chwil.

- Coś powiedziała?

- Że nie jestem jedną z tych dziewczek, które można uwieść i rzucić! - Trzęsła się cała z gniewu.

- Prawdę mówiąc, to zupełnie nie wiem, o co ci chodzi. Nigdy nie uważałem cię za...

- Może powiesz, że nie pojechałeś do Inverness? Otworzył usta, pomyślał chwilę i zamknął je z powrotem.

Wydawał się zbity z tropu jej oskarżeniami.

- Pojechałem - przyznał w końcu. - Ale co to ma do rzeczy?

Odwróciła się do niego tyłem i oparła ręce o krawędź koryta. Nie dotknął jej, lecz wiedziała, że stoi tuż za nią.

- Ty... - słowa przychodziły jej z niezwykłym trudem - ...z nimi.

- Moi chłopcy chcieli skosztować nieco przyjemności. O to ci chodzi?

Zemdliło ją ze zdenerwowania.

- Tak.

- Wolno im. Są kawalerami. Zabronisz im tego? Alena wbiła wzrok w przestrzeń.

- Nie - odpowiedziała powoli. Wzdrygnęła się, kiedy Iain ujął ją za ramiona.

- Nie dotykaj mnie! Nie jestem ładacznica!

Łzy napłynęły jej do oczu. Dlaczego się tak przejmowała? Co ją w ogóle obchodziło, z kim sypiał?

Iain wybuchnął śmiechem. Śmiał się serdecznie i szczerze. Alena z poczerwieniałą twarzą odwróciła się w jego stronę. Pokręcił głową.

- Myślisz, że pojechałem z nimi się zabawić?

- A nie? Spoważniał.

- Nie.

Zakreśliło jej się w głowie.

- Ale... byłem przekonana.

- Nie, dziewczyno.

Tym razem nie protestowała, kiedy przygarnął ją do siebie.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie dostrzegła w nich ani śladu gniewu, ale raczej czułość i troskę. Odruchowo pogładziła go po policzku.

- W Inverness nie znajdę tego, na czym mi zależy - szepnął Iain.

Serce zatrzepotało jej z radości.

- Nie?

- Nie, kochana - odparł i znów ją pocałował. Znalazła się w siódmym niebie. Nagle odsunęła się od niego pod wpływem myśli, która przyszła jej do głowy.

- Skoro nie byłeś w Inverness, to właściwie dokąd pojechałeś?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Już miał odpowiedzieć, ale w porę ugryzł się w język.

- Nie muszę ci się tłumaczyć - rzekł wreszcie. - Jestem naczelnikiem klanu.

- Ale...

- Cicho - szepnął, lecz w jego głosie pobrzmiwał rozkazujący ton.

Alena umilkła posłusznie. Nie chciała go więcej drażnić. Zamknęła oczy i poczuła dotyk warg Iaina na swoich ustach.

- Och! Nigdy nie czułam się tak...

- Ja też nie. Pocałował ją w rękę.

- Nie, zaczekaj. Jestem cała brudna.

Zatarła dłonie, żeby usunąć z nich resztki śluzu.

- Jesteś piękna.

Szybko odwróciła się tyłem i zanurzyła ręce w korycie. Woda była zimna jak lód. Alena obmyła spoconą twarz. Iain podsunął jej skrawek pledu, żeby mogła się wytrzeć.

- Ciężko ci było - wrócił myślami do rodzącej klaczy - ale się nie poddałeś - dokończył z uśmiechem.

- Nie mogłam. Klacz... Conall...

- Nigdy przedtem tego nie robiłaś, prawda? - spytał domyślnie. - To był twój pierwszy taki poród?

- Tak. Pocałował ją lekko.

- Tak też przypuszczałem.

Przez chwilę stali w milczeniu. Iain patrzył jej prosto w oczy.

- Iainie...

Zdecydowanym ruchem odstąpił o dwa kroki i uniósł rękę.

- Wracaj do łóżka, dziewczyno. Prześpij się trochę. Zaraz zaczniesz świtać.

Spojrzała w niebo. Już tylko kilka gwiazd migotało na jaśniejącym niebie. Kiedy znów popatrzyła na Iaina, on już odchodził.

Głośno trzasnęła brama zagrody. Conall i Jamie, zdyszani, przebiegli koło Aleny i wpadli do szopy, w której czekała klacz ze źrebięciem.

Alena głęboko zaczerpnęła tchu i zamknęła oczy. Co mam teraz ze sobą począć? - pomyślała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powinna odejść.

Stała w oknie, spoglądając na zalany deszczem dziedziniec. Widziała wybieg dla koni, które zmieniło się w ogromną kałużę, wypełnioną grząskim błotem. Czarne chmury kłębiły się na niebie. Nad warownią raz po raz przetaczało się echo grzmotu.

Iain wyjechał rankiem z Braedun Lodge, kiedy Alena jeszcze spała. Nawet się nie pożegnał. Jak długo będzie trwała ta kolejna wyprawa? Nikt nie wiedział. Zdaniem Willa, może nawet parę tygodni.

Błysnęło. Deszcz uderzył w ściany domu. Dobrze ci tak, pomyślała Alena pod adresem Iaina. Siedzisz teraz gdzieś przemoknięty. Za karę, że mnie zostawiłeś.

Już niemal od miesiąca przebywała w Braedun. Dzień świętego Jana był coraz bliżej, a ona nie znalazła jeszcze żadnego rozsądnego sposobu uniknięcia ślubu z Reynoldem Grantem.

Dlaczego ją wybrał? Przecież był naczelnikiem potężnego klanu. Mógł pojąć za żonę utytułowaną damę albo przynajmniej córkę któregoś z potencjalnych sojuszników. Alena nie rozumiała jego zachowania.

Jej rodzice byli już starzy i potrzebowali opieki klanu. Nie przeżyliby bez pomocy. A może ich sprowadzić tutaj? Nie, Iain nigdy by się na to nie zgodził.

A co zrobiłby Reynold, gdyby się dowiedział, gdzie przebywa jego wybranka? Alena nie chciała wciągać w nową wojnę Mackintoshów i Davidsonów. Wojsko Granta liczyło bez mała tysiąc ludzi - trzykrotnie więcej niż połączone siły dwóch klanów, które użyczyły jej gościny.

Nie. Lepiej będzie, jeśli szybko opuści gościnną warownię. Nie miała innego wyboru. A poza tym, Iain wyjechał. Z kim więc, gdyby chciała, miała podzielić się swoimi troskami i wątpliwościami?

Już za nim tęskniła, chociaż minęło zaledwie parę godzin od ich ostatniego spotkania. Powiedział do niej „kochanie”. Och, gdybyż to była prawda!

Z tyłu skrzypnęły drzwi. Alena oderwała się od swoich myśli i odwróciła głowę. Do komnaty weszła Hetty. Przyniosła tacę z posiłkiem.

- Nie stój tak ciągle w oknie, pani, bo się przeziębisz.

Alena uśmiechnęła się do sługi i opuściła zasłonę. W kominku wesoło trzaskał ogień. Powietrze wypełniał zapach świeżego chleba i pieczonego mięsa.

- Siadaj, pani. Musisz coś zjeść. Przespałaś śniadanie i obiad. Mizernie wyglądasz. Posil się.

- Nie, Hetty. Dziękuję. Wcale nie jestem głodna.

- A co będzie, kiedy on wróci? Spójrzy na ciebie, pani, i powie: „Sama skóra i kości”.

- Co za „on”? Co to znaczy?

Hetty zachichotała. Nalała kubek piwa z dzbanka stojącego na tacy.

- Cały klan wie już o jego uczuciach. O twoich zresztą także.

- Ale przecież...

- Nie przejmuj się, milady. To dobry chłopak. Wszyscy tak mówią, nawet Edwina.

- Edwina? - zająknęła się Alena. - A skąd ona może wiedzieć. To nie ma nic do rzeczy!

Hetty podeszła do kominka i pogrzebaczem poprawiła drwa.

- Wystarczy na was popatrzeć, żeby domyślić się wszystkiego. Poza tym, Iain, to znaczy, naczelnik klanu, też ciągle zaprzecza. A to mówi samo za siebie. Wiem to od mojego Willa.

Ciemny rumieniec zabarwił policzki Aleny. Jednym haustem wychyliła kubek piwa i z trzaskiem postawiła go na stole.

- Tak? No to zobaczymy.

Podeszła do kufra stojącego przy łóżku i wyjęła stamtąd ciężką opończę. Narzuciła ją sobie na ramiona i wyszła z komnaty. Hetty nie próbowała jej zatrzymać.

W wielkiej sali panował rejwach. Ulewa zmusiła czeladź i wojowników do poszukania miejsca pod dachem. Gilchrist siedział przy głównym stole, pogrążony w rozmowie z Willem i dwoma znanymi Alenie zbrojnymi Davidsonów.

Z uśmiechem wstał na widok dziewczyny.

- Miło cię widzieć, lady Aleno. Wnoszę, że już odpoczęłaś po całonocnej pracy.

- To klacz wykonała najważniejszą robotę - odparła ostro.

Popatrzył na nią ze zdumieniem. Alena przygryzła wargi. Nie chciała być niegrzeczna. Gilchrist nie zasługiwał na takie traktowanie.

- Muszę z tobą pomówić, mości panie - powiedziała o wiele łagodniejszym tonem.

- Chwileczkę, pani. Mojemu bratu należy się ten tytuł.

Na pewno dostałbym za swoje, gdybym próbował go przywłaszczyć. - Siedzący obok Will parsknął śmiechem. - Mów mi po imieniu. Jestem Gilchrist.

Był czarujący. Prawdziwy zdobywca kobiecych serc.

- W takim razie, chcę z tobą pomówić, Gilchriście.

- Siadaj, proszę. - Podsunął jej krzesło.

Wolałaby, żeby ta rozmowa odbyła się na osobności. Niestety, przy tej pogodzie było to niemożliwe. Alena usiadła bez pośpiechu.

- Czym mogę ci służyć? - spytał Gilchrist. Poczula na sobie uważne spojrzenie czterech par oczu.

- Chcę... wyjechać. Czy mógłbyś pożyczyć mi konia? Will łypnął spod oka na Gilchrista, jakby od niego oczekiwał odpowiedzi, a potem znów popatrzył na Alenę.

Chyba jej nie zrozumieli. Już zamierzała powtórzyć swoją prośbę, kiedy Gilchrist uśmiechnął się szeroko.

- Zamierzasz wyjechać? - spytał.

- Owszem.

Spojrzał na Willa i dwóch pozostałych.

- Chce wyjechać.

Teraz już wszyscy się uśmiechali.

- Zatem... pożyczysz mi konia? Cisza.

- Zwrócę go natychmiast, jak tylko bezpiecznie dotrę do miejsca przeznaczenia.

- Pani - dwornie odezwał się Gilchrist - po wszystkim co ostatnio dla nas uczyniłaś, ratując Conalla i przyjmując na świat źrebie, każdego konia ze stadniny Mackintoshów lub Davidsonów możesz śmiało uważać za swojego.

Uśmiechnęła się.

- Więc...

- Ale nie wolno ci opuścić warowni - dodał Gilchrist, poważniejąc.

- Dlaczego?

Znowu się roześmieli. Will wymienił porozumiewawcze spojrzenia z dwoma Davidsonami. Gilchrist przez cały czas patrzył na Alenę.

- Ponieważ mój brat ściałby mi głowę, gdybym cię nie upilnował do jego powrotu.

- Twój brat? Iain prosił cię...

- Nie prosił, pani. Wydał wyraźny rozkaz i nie mam ochoty mu się przeciwstawiać.

- Ale...

Była bliska paniki. Przecież minie kilka tygodni do powrotu Iaina! Wtedy będzie za późno. Musiała wyjechać jak najszybciej, już teraz.

Gilchrist poklepał ją po ręku.

- Nie martw się, panienko. Wróci za dzień lub dwa. Popatrzyła na Willa.

- Ale mówiłeś...

- Znam go - wtrącił Gilchrist - i nigdy nie widziałem go takim. - Wzruszył ramionami. - Możesz być pewna, że długo nie wytrzyma. Wróci przed pełnią księżyca.

Rzeczywiście, wypadła za dwa dni.

- Poza tym, pani - dodał Will - w czasie pełni planujemy małą uroczystość na cześć zrebnięcia. Będziemy ucztować i tańczyć. Nie może cię zabraknąć.

- Will ma rację - poparł go Gilchrist. - Duncan byłby bardzo zawiedziony, gdybyś wyjechała wcześniej. Nie mówiąc już o pozostałych.

Znowu się uśmiechali. Szczerze mówiąc, Alena miała ochotę im przyłożyć.

Dwa dni mogła poczekać, ale ani dnia dłużej.

- No dobrze. Zrobię to dla Duncana.

Wstała, by odejść. Skoro los dawał jej szansę, aby jeszcze raz mogła zobaczyć Iaina... Gilchrist także się podniósł.

- A jeśli wolno spytać, którego konia wybrałaś?

- Karosza.

- Co takiego? Iain wyraźnie zabronił.

- Karosza.

Nie odwracając się, wyszła z wielkiej sali. Usłyszała za sobą głośną sprzeczkę. Po powrocie Iain zaprowadzi porządek i nauczy ich rozumu, była tego pewna.

Naciągnęła opończę na głowę, pchnęła drzwi i wyszła na dwór. Deszcz już wyraźnie zelżał i w powietrzu unosiła się świeża i mokra

woń trawy. Alena uwielbiała przestrzeń, nie znosiła długiego zamknięcia.

Tuż za nią, na szczycie schodów, pojawił się Will.

- Twoja kolej, żeby mnie pilnować?

- Tak - odparł, czerwieniąc się jak dziewczyna. Nużyła ją ta ciągła opieka. Owinęła się szczelniej opończą i poszła prosto przed siebie, przez rozmiękły dziedziniec.

- No to mnie pilnuj.

Skierowała się do stajni. Will szedł dwa kroki z tyłu.

- Kiepska pogoda - mruknął. - Powinnaś zostać w domu, pani.

- To piękny szkocki dzień! - zawołała przez ramię, ani na chwilę nie zwalniając.

Podwórko przypominało bajoro. Alena podciągnęła spódnice i uparcie brnęła przez błoto. Dziękowała niebiosom, że przed wyjściem włożyła buty do konnej jazdy, a nie pantofelki.

Will wyprzedził ją i otworzył drzwi stajni.

- Chyba nie masz zamiaru wybrać się na przejażdżkę? Miał tak zboląły wyraz twarzy, że wszystko mu wybaczyła.

- Nie. Na pewno nie dzisiaj. W stajni zawsze znajdzie się coś do roboty. Nie będę siedzieć po próżnicy, gdy inni pracują.

- Nie powinnaś. - Tuż obok rozległ się głos Duncana. Masztalerz wyszedł z bocznej zagrody i wręczył Willowi świeży wiecheć słomy. - Trzeba wyszczotkować klacz Conalla. Pewno chciałaś zobaczyć źrebię? - uśmiechnął się do Aleny.

- Oczywiście - odpowiedziała.

- To idź do niego. Potem dam ci zajęcie. Odwróciła się, ale zaraz coś sobie przypomniała.

- Och, Duncanie. Do tej pory nie podziękowałam twojemu synowi za to, że przekazał moją wiadomość.

Gdyby jej rodzice byli tutaj wraz z nią, zupełnie bezpieczni!

Will zmrużył oczy. Alena zdała sobie sprawę, że zachowała się nierozważnie. W takim miejscu jak to niczego nie można było utrzymać w tajemnicy. Na przyszłość muszę bardziej uważać, pomyślała.

- To drobiazg - nonszalancko odpowiedział Duncan i wrócił do swojej pracy.

Alena z Willem przeszli do sąsiedniej zagrody. Klacz stała przy żłobie, a źrebię skakało dokoła, bez przerwy trącając ją nosem. Wyglądało na całkiem zdrowe, podobnie zresztą jak matka.

Alena zaczęła wycierać słomą grzbiet klaczy. Will wyciągnął z kąta niski stołek, usiadł na nim i przyglądał się jej robocie.

- Co to za wiadomość, o której rozmawiałaś z Duncanem? - zapytał w pewnej chwili.

Mimo swojego niemal chłopięcego zachowania był czujnym obserwatorem. Nic nie uszło jego uwagi. Iain pieczołowicie dobierał swoich ludzi.

- Nieważne - zbyła go Alena i szybko zmieniła temat. - Dokąd pojechał Iain?

- Ma kilka spraw do załatwienia.

- Wszyscy mi to powtarzają. Gdzie go poniosło?

- O nic się nie martw, pani. Jest z nim Hamish i kilkunastu zbrojnych. Wzięli ze sobą chyba z połowę arsenału Davidsonów.

To ciekawe. Alena pracowała zawzięcie, udając całkowity brak zainteresowania tą rozmową.

- Po co?

- Na wszelki wypadek. Zresztą, Grantowie nie dorastają do pięt Mackintoshom.

- Grantowie? - Ręka Aleny znieruchomiła na chwilę.

- W dodatku mają słabe konie. Dużo wolniejsze od naszych.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie w stronę mówiącego.

- Wolniejsze? A skąd ty to możesz wiedzieć? Sama... - Jezu, co ja wygaduję! - pomyślała z nagłym przerażeniem.

Will lekko kołysał się na stołku. W zęby wsunął źdźbło słomy, a ręce skrzyżował na piersiach. Pytająco popatrzył na Alenę.

- Sama... im ledwo uciekłam. - Kleła w duchu, że tak łatwo dała się zwabić w pułapkę. Na powrót zajęła się klaczą.

- Niemal mnie dopadli.

Will milczał, więc spróbowała go lekko przycisnąć.

- Myślisz, że Iain będzie szukał zwady?

- Z Grantami? Nie, tym razem nie szykował podjazdu. Słyszeliśmy tylko, że jakiś większy oddział włóczy się po lesie graniczącym z naszymi ziemiami, z ziemiami Davidsonów - poprawił się.

Alena dobrze wiedziała, że rozległe włości Grantów rozciągały się od Inverness na północy aż do pasma Grampian na południu i graniczyły z ziemiami wszystkich czterech klanów Chattan: MacBainów, Mackintoshów, Davidsonów i Macgillivrayów. Wiedziała także, że ludzie Reynolda niezwykle rzadko zapuszczali się tak daleko na południe.

- Co ich tutaj przygnało?

Will przyjrzał jej się uważniej.

- Myślałem raczej, że ty mi to powiesz, pani.

Serce podeszło jej do gardła. Szybko spojrzała w bok.

- A co ja mogę wiedzieć o Grantach?

- Nie mam pojęcia - rzucił zbyt obojętnym tonem. Tuż za ścianą rozległy się czyjeś głosy i śmiechy. Hałas

był coraz głośniejszy. Will podniósł się ze stołka.

Przez drzwi wpadli Conall i Jamie. Stanęli jak wryci na widok Willa, który groźnie pochylał się w ich stronę, z dłonią wspartą na rękojeści noża.

Powoli opuścił rękę.

- Co was napadło, że szalejecie jak wataha dzikich psów?

- spytał surowym tonem, lecz Alena zauważyła w jego piwnych oczach isierki wesołości. - Nie masz nic do roboty, Jamie?

Stajenny z niepewną miną przestępował z nogi na nogę.

- Mam - bąknął i wycofał się tyłem do drzwi.

- A ty? - Will dał krok w stronę Conalla, - Jak ty wyglądasz? - Z westchnieniem pokręcił głową.

Chłopak miał mokrą, rozpiętą koszulę, wyciągniętą zza paska i ubłocony pled.

- Ale...

- Młodzieńcze, zapamiętaj sobie, że pewnego dnia zostaniesz wodzem. Od dziś zachowuj się jak przystało na wodza.

Conall wykrzywił usta w podkówkę. Will chrząknął i poklepał go serdecznie po ramieniu.

- No, już dobrze - powiedział. - Zajrzyj do swoich koni. Lady Alena nie może robić wszystkiego za ciebie.

Conall od razu poweselał. Wyjrzał zza Willa i popatrzył na klacz ze źrebięciem. Uśmiechnął się do Aleny.

- Dzień dobry - zawołał. Minał Willa i przyklęknął obok źrebaka. Alena podała mu wiecheć słomy.

- Jeszcze ci nie podziękowałem, pani - zaczął Conall - za uratowanie klaczy. I jej syna.

Dziewczyna przyjrzała mu się spod oka. Stwierdziła, że o wiele bardziej przypominał Iaina, niż jej się to początkowo wydawało. Miał nawet takie same włosy i małe warkoczyki nad skronią. Wielu Mackintoshów czesało się w ten sposób.

Był wyższy od niej. Niedługo pewnie dogoni Iaina, pomyślała Alena. W zielonych oczach chłopca odnajdowała tę samą głębię, co w oczach starszego brata. Najbardziej jednak przypominał go z twarzy: zdecydowanie męskiej, zaciętej, o wysokich kościach policzkowych i wydatnym nosie. Wyrośnie na przystojnego mężczyznę.

Nagle przypomniała sobie niedawne słowa Willa. Iain pojechał śledzić ruchy Grantów. Co on zamierzał?

Wmawiała sobie, że był przecież dobrym wojownikiem. Całe lata przygotowywał się na spotkanie z wrogiem. Nie podejmował pochopnych decyzji. Wszystko, co robił, zazwyczaj było starannie przemyślane. Miała do mego pełne zaufanie, chociaż... nie zaufała mu na tyle, by powiedzieć prawdę o sobie.

To zresztą nie miało już najmniejszego znaczenia. Zamierzała wyjechać zaraz po uroczystościach, o których wspomniał Will. Jej przyszłość była przypieczętowana. Nie znajdowała żadnego pocieszenia. Niczego, co mogłoby ją przekonać, że stanie się inaczej.

Iain, nie wierząc własnym oczom, patrzył na przeciwległy stok wąwozu. Wąską krawędzią podążało aż sześćdziesięciu Grantów, trzykrotnie więcej niż liczył jego własny oddział. Wszyscy byli porządnie uzbrojeni.

Od dwóch dni lało bez przerwy. Iain i jego ludzie przemokli do suchej nitki. Pledy wisiały na nich niczym szmaty. Ostra woń mokrej wełny i zmokniętych koni gryzła w nos i drapała w gardło. Iain wzdrygnął się z zimna i popatrzył w niebo. Między chmurami widać było wąski skrawek błękitu. Deszcz ustawał.

Iain znowu spojrzął na jeźdźców. Od dnia śmierci ojca nigdy nie widział tylu Grantów naraz, i to w dodatku tak blisko włości wuja. Wąwóz wyznaczał granicę ziem Davidsonów.

Coś tu się szykowało. Ale co? Iain przesunął dłonią wzdłuż boku, dokonując przeglądu swego uzbrojenia. Dwa sztylety, łuk na ramieniu i ciężki miecz na plecach. Napiął mięśnie.

Hamish pogładził brodę, zerknął na wroga i skinął głową.

- Nie - szepnął Iain. - Za dużo ich.

- Najwyżej trzech na jednego - odparł olbrzym. - Wygrywaliliśmy bitwy już w gorszych warunkach.

Iain wsparł rękę na łuku. Z całego oddziału tylko on umiał dobrze strzelać.

- To prawda - przyznał. Sam zabiłby z szczęściu, zanim reszta dotarłaby nad wąski strumyk płynący środkiem wąwozu. - Czy to jednak rozsądne?

- Ty jesteś wodzem - odparł Hamish. - Musisz podjąć decyzję.

Na jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiech. Iain też się uśmiechnął. Tak, to prawda, jest wodzem. Nie zamierzał jednak niepotrzebnie trwonić sił na coś, czego nie mógłby zakończyć po swoim.

Zawrócił konia i w tej samej chwili dostrzegł błysk stali w dalszej części wąwozu. Ki czort? Przystanął.

W przyćmionym świetle nie widział jeszcze twarzy nowego jeźdźca. Wojownik sprawnie kluczył pomiędzy krzewami gęsto rosnącymi na brzegach rozpadliny. Grantowie rozstąpili się, by go wpuścić pomiędzy siebie.

Jeździec był wysoki i trzymał się prosto w siodle. Kaptur naciągnął na głowę. Za nim podążał jeszcze jeden - niewielki, niemalże wzrostu dziecka, drobny i chudy, cały ubrany na czarno. Stanowili niezwykłą parę. Iain przeczuwał, że ich nagły przyjazd nie wróży nic dobrego.

Wyższy jeździec wychynął zza drzew na otwartą przestrzeń. Iain odruchowo zacisnął rękę na łuku. Zimny promień słońca przebił się przez chmury i oświetlił zakapturzoną postać.

Chryste Panie, to chyba niemożliwe! Iain poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Jeździec odrzucił kaptur i strząsnął wodę z długich, niemal białych włosów. Iain przyglądał mu się jak urzeczony.

Nagle cofnął się w czasie i znów stał się bezbronnym dwunastoletnim chłopcem. Wizja potwornej nocy odebrała mu całą odwagę i siłę, którą umacniał w sobie przez wszystkie minione lata. Zamknął oczy.

Powietrze było chłodne i pachniało świeżą dębina. Iain kroczył powoli w ciemnościach, sunąc palcami po wilgotnej, kamiennej ścianie piwnicy na wino. Ojciec kazał mu zostać w wielkiej sali, wraz z wujem Alistairem i innymi naczelnikami klanów Chattan. Sam

zszedł na dół w asyście Reynolda i Henry'ego Grantów. Iain jednak czuł jakiś dziwny, niewytłumaczalny niepokój. Coś go zmuszało do tego, by ich śledzić.

Daleko w mroku zabłysnął żółty krąg światła. To ojciec zapalił pochodnię wiszącą na ścianie. Iain ukrył się prędko za rzędem beczek i po omacku szedł dalej. Próbował coś usłyszeć z rozmowy dorosłych.

Nagle rozległ się donośny krzyk ojca. Iain nie dbał już o to, że ktoś go zobaczy. Wyskoczył z ukrycia i stanął jak wryty.

Henry Grant leżał rozciągnięty na kamiennej posadzce. Z rany na plecach chlustała mu ciemna krew, brocząc kraciasty pled. Twarz miał ściągniętą i bladą. Patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. Ojciec Iaina pochylał się nad nim z zakrwawionym sztyletem w ręce.

Nie! To niemożliwe! Iain nie wierzył własnym oczom.

W świetle pochodni błysnęła zimna stal miecza. Reynold Grant wyłonił się zza beczek Iain patrzył na niego z przerażeniem, niezdolny do najmniejszego ruchu. Reynold stanął nad ciałem zabitego kuzyna.

Szatański uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Grantowie! Do mnie! Zdrada!

Donośny okrzyk odbił się echem od kamiennej powały lochu.

Ojciec Iaina zmrużył powieki. W jego oczach błysnęło zrozumienie.

Iain przycisnął się plecami do muru. Reynold go nie zauważył. Ojciec próbował się podnieść znad ciała Henry 'ego, lecz powstrzymany mieczem przez Reynolda, z powrotem opadł na kolana.

Święty Sebastianie, muszę coś zrobić! - z rozpaczą pomyślał Iain. Przesunął rękami wzdłuż pasa w poszukiwaniu broni - sztyletu, noża, czegokolwiek. Niczego nie znalazł. Nie miał nic, czym mógłby obronić ojca. Patrzył bezradnie na to, co się wokół działo.

W lochu zatańczyły światła. Żołnierze Grantów zbiegali się hurmem, z bronią i pochodniami w dłoniach.

Reynold stał nieruchomy jak posąg. Czekał. Zbrojni wybiegli zza beczek i stanęli tuż przy nim, kompletnie zaskoczeni tym, co zobaczyli. Henry leżał martwy na posadzce, a ojciec Iaina klęczał tuż nad nim ze skrwawionym sztyletem w dłoni.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, dobiegającym do uszu Iaina, był szelest kropeł wody ściekających po wiekowym murze i oszalałe bicie własnego serca. Coś mu kazało się odwrócić w kierunku schodów.

Stał tam samotnie John Grant, cichy i nieruchomy, patrząc na martwego syna, na Reynolda i na człowieka którego do niedawna zwał swoim przyjacielem: na Columa Mackintosha.

Reynold odezwał się powoli głosem ściszonej niemal do szeptu:

- Zdrajca Mackintosh zabił mojego kuzyna.

Iain ze zgrozą patrzył, jak zimne ostrze miecza zanurza się w piersi ojca.

W piwnicy wybuchnęła wrzawa. Żołnierze obu klanów kłębili się na schodach. Dźwięczała broń. Smród krwi zdusił znajomy zapach wina i dębiny.

A nad wszystkim górował głos MacBaina, brzmiący jak przepowiednia:

- Nie będzie dłużej pokoju. Ani dziś, ani nigdy więcej.

Hamish tracił łokciem zamyślonego towarzysza.

- To sam Grant - szepnął.

Iain drgnął, spojrzął na wroga i ponownie zacisnął rękę na łuku.

- Tak, to on. - Wszędzie by go rozpoznał. Nigdy nie zapomniał tych zimnych oczu.

Ocecił odległość. Nie więcej niż dwadzieścia jardów. Łatwy strzał. W wyobraźni już widział pierzastą strzałę, sterczącą z piersi Reynolda Granta.

Wyczuwał także, że jego ludzie czekają na znak do walki. Trwał jednak nieporuszony, ciekaw posunięcia wroga.

W powietrzu wisiało napięcie.

Po pewnej chwili drobny mężczyzna w czerni podjechał bliżej do Granta i szepnął mu coś na ucho. A zatem pora działać. Iain ściągnął łuk z ramienia.

Ku jego zdumieniu czarno ubrany jeździec popatrzył w ich stronę i krzyknął:

- Mackintoshowie! Szukamy kogoś z naszych!

„Z naszych”? Iain zerknął na Hamisha i znowu popatrzył na Granta.

- A kto to taki? - zawołał Hamish.

- Dziewka.

Iain napiął wszystkie mięśnie. Jedną ręką powstrzymał niespokojnego konia i niemal niedostrzegalnie skinął głową, nie spuszczać wzroku z Reynolda.

- Dziewka? - krzyknął Hamish. - Jaka dziewczka? Jeździec w czerni zawahał się, po czym strzelił oczami w stronę swojego pana.

- Eee... nałożnica naszego pana. Ślicznotka. Mości pan chciałby odzyskać ją z powrotem.

Krew uderzyła Iainowi do głowy. Bezwiednie chwycił rękojeść sztyletu. Drugą ręką ścisnął łuk tak mocno, że o mało go nie złamał.

- Spokojnie - szepnął Hamish.

- Jaśnie pan chętnie da za nią mały okup - ciągnął przedstawiciel Grantów. - Parę krów albo złoto. Wedle uznania.

Reynold spojrział na niego ostro. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- A ta... dziewczka - rzekł Hamish. - Dlaczego miałyby się znaleźć aż tak daleko od zamku Glenmore?

- Uciekła. Mała sprzeczka kochanków.

Reynold uśmiechnął się zimno. Iain z wielkim trudem zmuszał się do spokoju.

- Tylko nie próbujcie odwracać się do niej tyłem - doradził jeździec w czerni. - Lubi machać sztyletem.

Grant uśmiechnął się z przekąsem. Iain wyraźnie widział krwawą pręgę ciągnącą się przez jego twarz od oka do podbródka. Przypomniawszy sobie Alenę, zakrwawioną, w sukni rozerwanej na piersiach. Jeśli ten łajdak tknął ją chociaż palcem. ..!

Reynold patrzył nań z politowaniem. Iain nigdy w życiu nie pałał większą chęcią mordy.

- Spokojnie - szeptem powtórzył Hamish. Negocjator Grantów uniósł się w strzemionach.

- To co? - spytał. - Dobijemy targu?

- Nie! - krzyknął Iain. - Nie ma u nas tej dziewczki! Wszyscy Grantowie - prócz Reynolda - sięgnęli do rękojeści mieczy. Ludzie Iaina błyskawicznie zrobili to samo.

Trzech na jednego.

Iain zdawał sobie sprawę, że nie może dopuścić do walki. Gdyby zabił Reynolda, całe wojsko Grantów ruszyłoby, żądne zemsty, na Mackintoshów i Davidsonów. Tego wolał uniknąć. Przynajmniej na razie.

Nie. Jeszcze nie zakończył przygotowań. Dopiero wtedy, kiedy będzie pewny wygranej, podniesie rękę i uwolni świat od tego podstępного nędznika. Ale nie wcześniej.

Osiemdziesięciu jeźdźców zamarło w bezruchu, czekając w napięciu na rozkaz swoich panów. Iain stał wsłuchany w bicie swego serca i szmer strumyka w wąwozie.

Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, Reynold Grant uspokajająco uniósł prawicę. Uśmiechnął się. Rzucił przeciągłe spojrzenie na Iaina, dotknął dłonią czoła w kpiącym pozdrowieniu, zawrócił konia i odjechał.

Iain westchnął głęboko. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był spięty. Zbrojni Granta powoli wycofywali się znad wąwozu.

- A niech mnie! - mruknął Hamish. Iain zarzucił łuk na ramię i powiedział:

- Zbierajmy się stąd.

Wiatr rozpędził resztki chmur. Iain ostro popędzał konia, galopując na czele oddziału. Jechali całą noc, a potem dzień bez wytchnienia, w nadziei, że przed zmierzchem dotrą do Braedun Lodge. Prawie nikt nie rozmawiał. Iain milczał jak zaklęty, pogrążony w niewesołych myślach. Co i rusz natrafiał na jakąś tajemnicę.

Choćby Grant. Dlaczego nie podjął walki? Przecież miał wyraźną przewagę. I co robił z licznym oddziałem tak daleko od swojego zamku? Bez wątpienia nie wiedział, że na skraju wąwozu natknie się na ludzi Iaina. Spotkanie było zupełnie przypadkowe.

Iain odrzucił głowę i głęboko wciągnął powietrze. Myśl, człowieku! Jedyne trakt, jaki przebiegał przez te strony, łączył domenę Davidsonów i włościami Macgillivrayów. Wuj Alistair jeździł tędy do swoich sąsiadów.

Właśnie!

Iain ściągnął wodze. Alistair i Margaret, wraz z grupką zbrojnych, będą tędy wracać do Braedun Lodge. Ich eskorta liczyła niespełna dwudziestu ludzi. Pytanie brzmiało: czy Grant był tego świadom?

Hamish wstrzymał konia i podjechał do Iaina.

- Co się stało?

- Nic - mruknął zapytany i ruszył w dalszą drogę.

Słońce zapadło za horyzont i na granatowym niebie zapłonęły pierwsze gwiazdy. Braedun Lodge było bardzo blisko. Koń Iaina odruchowo przyspieszył, jakby wyczuwając kres długiej podróży. Wracał do domu.

Iain otrzepał pled i przeczesał palcami włosy. Zdążył wyschnąć po ulewie. Potarł gołe przedramię. Po trzech dniach ciągłej jazdy cały był pokryty grubą warstwą kurzu. Koszulę też miał brudną i pomiętą.

Przypomniawszy sobie, że w bok od traktu znajduje się niewielki staw. Wstrzymał konia i skręcił.

- Iain! - krzyknął za nim Hamish. - A ty dokąd, człowieku? Dom jest prosto przed nami!

- Mam ochotę popływać.

Hamish ryknął śmiechem. Iain tylko pokręcił głową. Śmiech przyjaciela jeszcze długo dźwięczał mu w uszach. Rzeczywiście, co go nagle skłoniło do wzięcia kąpeli przed powrotem w domowe pielesze? Reszta oddziału podążyła dalej.

Iain wciąż myślał o Alenie. Święty Sebastianie, co mam z nią teraz począć? Przecież bez wątpienia to ta sama „dziewka”, o której mówili Grantowie. Ale dlaczego jej szukali? Po co była potrzebna Reynoldowi? Iain zanurzył się razem z głową w lodowatej wodzie. Prześladował go obraz Aleny w ramionach zawziętego wroga.

Nie, ten pokurcz spowity w czerń na pewno kłamał. Alena była niewinna. Była dziewczcą. To, że Grant próbował ją napastować, też nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wyrwała mu się i uciekła.

Kim była? Dlaczego swoją tożsamość trzymała w tajemnicy? Dlaczego mu nie zaufała?

Zimna kąpiel orzeźwiła go trochę. Iain wyskoczył ze stawu i otrząsnął się niczym mokry pies. Ubrał się w ciągu kilku minut.

Wsiadł na konia i pogalopował w kierunku warowni. Na kamiennym murze stało zaledwie paru wartowników. Gdy przejeżdżał przez bramę, unieśli broń w milczącym pozdrowieniu.

Coś było nie tak.

Dziedziniec świecił pustkami. Zza domów dobiegały śmiechy i głośnie dźwięki muzyki. Wierzchowiec Iaina instynktownie skierował się do stajni. Wjechali w jasny krąg światła. Olbrzymi stos płonął pośrodku podwórka. Tuzin par tańczyło dookoła ognia, a reszta - wojownicy i czeladź pospołu - pili i ucztowali, bawiąc się wesoło.

- Co do...

I wtedy ją zobaczył.

Alena wirowała w tańcu. Długie złociste włosy powiewały w powietrzu. Miała na sobie ciemnozieloną suknię. Iain od razu

rozpoznał, że to strój jego matki. Suknia leżała na niej idealnie, podkreślając wszystkie apetyczne krągłości.

Iain poczuł mrowienie w lędźwiach. Serce waliło mu jak młotem.

Zatrzymał konia tuż za ogrodzeniem. Zsiadł, odpiął broń i zawiesił ją przy siodle. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się Jamie, złapał konia za uzdę i odprowadził do stajni..

Iain powoli, niczym w transie, wkroczył na podwórko. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od Aleny. Wydawała mu się zjawiskiem nie z tego świata.

Muzyka ucichła i taniec dobiegł końca. Alena zatrzymała się, zdyszana i poczerwieniała z wysiłku i od żaru bijącego od ognia. Odwróciła się i w jej kocich, zielonych oczach błysnęła nieklamana radość na widok Iaina. Uśmiechnęła się, a Iain wiedział już, że nigdy jej nie odda. Nikomu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Alena stała jak wrośnięta w ziemię, zniewolona spojrzeniem Iaina. Jej plany i postanowienia obróciły się wniwecz w jednej krótkiej chwili. Ulotniły się jak zdmuchnięte silnym powiewem wiatru.

Iain zatrzymał się parę kroków dalej. Z kasztanowych włosów, niemal rudych w świetle ogniska, kapąły kropelki wody.

Nie miał broni, z wyjątkiem dwóch krótkich sztyletów, jak zawsze zatkniętych za pasem. Był wojownikiem. Więcej - zdobywcą.

Była mu przeznaczona. To przecież właśnie dlatego do tej pory nie wyszła za męża. Kochała go, i to od dawna. Zawsze będzie go kochać.

- Iain - szepnęła.

Postąpił krok w jej stronę, ale uciekła w tłum. Kątem oka spostrzegła roześmianego Gilchrista. Chwycił ją w ramiona i porwał do następnego tańca. Zawirowali w takt skocznej muzyki. Na krótką chwilę straciła Iaina z pola widzenia.

W pewnym momencie znalazł się tuż przy niej.

Jednym ruchem odepchnął brata i zabrał mu partnerkę. Tańczył wolniej niż Gilchrist, jakby z rozwagą, kierując się w stronę bramy.

Wreszcie przystanął, ale nie wypuścił Aleny z objęć. Patrzyli sobie prosto w oczy. Alena poczuła nagle, że dłoń Iaina wędruje w górę jej pleców. Zamierzał ją pocałować! Tu, na oczach całego klanu!

Wyśliznęła się z jego ramion i wpadła do stajni. Duncan, Gavin i reszta stajennych zajęci byli rozkulbaczaniem koni, które przyprowadzili zbrojni Iaina.

Alena pobiegła dalej. Przystanąła dopiero w ostatniej szopie, przy zagrodzie źrebięcia i klaczy. Z trudem łapała oddech.

Wnętrze szopy było oświetlone tylko rudą poświatą ogniska, wpadającą przez niewielkie okno. Alena rozejrzała się. Pusto. Na dzisiejszą noc Duncan przeniósł konie gdzie indziej.

Dlaczego uciekam, zastanawiała się Alena gorączkowo. Przecież na dobrą sprawę czekałam na pocałunek Iaina. Bardziej niż kiedyś.

Rozległo się echo szybkich kroków. To on. Alena wstrzymała oddech. Chciała, żeby Iain odezwał się pierwszy. Wyczuwała, że stanął blisko, tuż za jej plecami.

- Aleno - szepnął. Odwróciła się twarzą do niego.

- Wróciłeś.

- A myślałaś, że będzie inaczej? - Uśmiechnął się.

- Nie wiedziałam, czy zechcesz.

Wziął ją pod brodę i delikatnie pocałował w usta.

- Chciałem uciec, ale nie mogłem. - Znów musnął jej wargi. -
Gnałem jak oszalały, żeby tu dzisiaj wrócić.

- Ale Grant...

- Cicho. Nie musisz się go obawiać. Teraz jesteś pod moją opieką.

Zdumiały ją te słowa. Skąd wiedział? Może od Duncana? Nie, stary masztalerz też nie znał całej prawdy. Żołdacy Reynolda w lesie! To możliwe.

Nie potrafiła zebrać myśli. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby natychmiast zapomniała o całym bożym świecie. Pocałował ją niespiesznie i czule, a ona jęknęła na znak poddania. I znów, tak jak kiedyś, poczuła jego ręce na swoich pośladkach. Tym razem nie miała mu tego za złe, ogarnięta falą namiętności. Niemal wbrew sobie przerwała długi pocałunek.

- Chcesz, żebym przestał? - spytał Iain.

- Nie - odpowiedziała, kładąc mu dłoń na piersi. Przygarnął ją jeszcze bliżej.

- Nie dbam, o to, kim naprawdę jesteś. Pragnę cię.

- Iain! - szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Chcesz mnie? - spytał, przypatrując jej się uważnie.

- Tak.

- Powiedz to. Powiedz sama. Tak długo czekała na tę chwilę.

- Chcę cię.

Zamknął ją w ramionach. Zanim się zorientowała, uniósł ją, zarzucił sobie na ramię niczym worek mąki i wspiął się po drabinie na strych. Tam złożył swoje brzemię.

Alena leżała bez ruchu. Iain patrzył na nią pytająco. W odpowiedzi, milcząc, przyciągnęła go do siebie.

Iain drżał na całym ciele, z trudem hamując pożądanie. Lekko zdyszany po kolejnym gorącym pocałunku, szepnął:

- Powstrzymaj mnie teraz, bo potem na pewno nie zdołasz. Wcale nie chciała go powstrzymywać. Zamknęła oczy.

Poczuła jego rękę na swoich piersiach. Pozwoliła mu rozsznurować stanik. Westchnęła gwałtownie, kiedy zbliżył usta do jej piersi, a potem wstrzymała oddech.

- Jesteś piękniejsza, niż mógłbym to sobie wymarzyć. Zanurzyła dłoń w jego mokrych włosach.

- Och, Iainie! - jęknęła, ogarnięta namiętnością.

W tym momencie drzwi szopy rozwarły się z głośnym trzaskiem.

Iain zerwał się na równe nogi i wsparł dłoń na rękojeści sztyletu. Drugą ręką przycisnął Alenę i dał jej znak, by leżała bez ruchu.

Z dołu dobiegł ich głos stajennego.

- Iainie! - To był Jamie. - To znaczy, mości panie! Gilchrist cię woła! Mówi, że to bardzo ważne!

Iain zastanawiał się tylko przez chwilę.

Przerzucił nogi przez krawędź, łobuzersko mrugnął okiem do Aleny i zręcznie zeskoczył na ziemię.

Trzasnęły drzwi. Kroki ucichły w oddali. Alena głęboko zaczerpnęła tchu i powoli zawiązała tasiemki sukni.

Iain poprawił pled i przecisnął się przez rozbawiony tłum, biegnąc w ślad za stajennym. Co i rusz potraçał któregoś z bardziej podchmielonych biesiadników. Uśmiechem odpowiedział na głośny toast dwóch zbrojnych i przemknął się do domu.

Jamie stał już w dużej grupie żołnierzy zgromadzonych przed drzwiami, przy kamiennych schodach, wiodących do wnętrza budynku. Był wśród nich Gilchrist. Przywitał Iaina ponurym spojrzeniem.

- Zwiadowcy wrócili znad północnej granicy - oznajmił.

Iain przepchnął się przez zbrojnych. Dwaj strudzeni wojownicy siedzieli na szczycie schodów, opierając się o futrynę. Koni nie było widać. Ktoś podał zmęczonym zwiadowcom kubki z pianistym piwem. Iain cierpliwie czekał, aż zaspokoili pierwsze pragnienie.

- Co się stało, Drake? - zapytał wreszcie.

- Mości panie! - wychrypiał Drake, Mówienie przychodziło mu z trudem, bo od dawna nie miał nic w ustach i omal nie zakrztusił się pierwszym łykiem piwa. - Sam Grant. Naczelnik rodu.

- I MacBain - dorzucił drugi ze zwiadowców. - Na północ od zamku Findhorn.

- Na ziemiach Mackintoshów? - Iain kucnął przed nimi i spojrzał im prosto w oczy.

- Nie - odparł Drake. - Dalej na północ. Na włościach MacBainów.

- Byliście tam? - spytał Gilchrist.

- Tak. Natknęliśmy się na spory oddział Grantów w pełnym uzbrojeniu. Było ich pewnie ze sześć dziesiątek.

- Dowodził nimi sam Reynold - dodał drugi. - Wprawdzie widziałem go tylko raz, wtedy... - Mówił o nocy, podczas której zginął dawny naczelnik klanu Mackintoshów. - Ale go nigdy nie zapomnę..

Iain głośno przełknął ślinę. Czyjaś dłoń spoczęła mu na ramieniu. Tuż nad nim zamajaczyła ogromna postać Hamisha. Przez chwilę patrzyli na siebie, potem Iain znów zajął się zwiadowcami.

- Kiedy ich zobaczyliście?

- Cztery dni temu - odpowiedział Drake. - Opuścili swoją domenę i przez pewien czas jechali przez nasze ziemie. Pół dnia ciągnęli wzdłuż granicy z MacBainami. Śledziliśmy ich do czasu, aż skręcili na północ. Tam też spotkali się z MacBainem.

- Z samym wodzem? - zapytał Iain. Obaj zwiadowcy skinęli głowami.

- Hm. - Iain podniósł się i powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go zbrojnych. Nagle sobie coś przypomniał.

- A gdzie wasze konie?

Zwiadowcy spojrzeli po sobie, a potem wbili spojrzenie w kamienne schody.

- Zniknęły - cicho odparł Drake. - Zostawiliśmy je z dala od miejsca spotkania. Dalej poszliśmy na piechotę. Po lesie kręciło się wielu zbrojnych z obu klanów, więc długo trwało, zanim wróciliśmy. Koni już tam nie było.

- Zatem Grantowie wiedzą, że byli śledzeni - orzekł Iain.

- Tak.

- Ale ich nie złapali - nieco zbyt pośpiesznie wyrwał się Gilchrist.

Iain skarcił go ostrym spojrzeniem. W grupie zbrojnych zapadło milczenie. Wszyscy czekali na słowa wodza. Iain dobrze wiedział, że od miejsca, w którym Grant spotkał się z MacBainem, do Braedun Lodge były dwa dni jazdy. Zwiadowcy zatem biegli przez całą drogę, aby dotrzeć na czas z ważnymi wieściami. Uśmiechnął się do nich.

- Dzielnie się spisaliście - powiedział. Westchnęli z ulgą i na nowo przyssali się do piwa.

- Muszę to sobie przemyśleć - oznajmił Iain. - Gilchrist, Hamish. Chodźcie ze mną. Pogadamy na osobności.

Poszli w stronę ogniska, ale Iain zatrzymał się przy stajennym ogrodzeniu, z dala od biesiadujących. Gilchrist i Hamish stanęli tuż przy nim. Iain z namysłem spoglądał przed siebie, analizując wydarzenia kilku ostatnich dni.

- Co o tym myślicie? - spytał w końcu.

Hamish powoli pogładził się po brodzie.

- Coś mi się zdaje, że Grant próbuje przeciągnąć MacBaina na swoją stronę.

- Może tak, może nie - mruknął Iain.

Cztery dni. Wystarczająco dużo, by po rozmowie z MacBainem podjechać do granicy z Macgillivrayami.

- Boję się, że zamierza napaść na powracającego wuja Alistaira - dodał.

- Co takiego? - Gilchrist pochwycił go za rękę.

Iain opowiedział mu o niedawnym spotkaniu z Reynoldem i o swoich obawach związanych z Aleną i Davidsonami.

- Niech to piekło pochłonie! - wykrzyknął młodzieniec. - Co w takim razie robimy?

Iain przyjrzał się bratu. Wciąż jeszcze myślał o nim jak o dziecku, a przecież miał przed sobą krzepkiego młodzieńca, mającego bez mała osiemnaście wiosen. To był już mężczyzna, wojownik Mackintoshów. Wszyscy go szanowali. Cięty w dowcipie i szybki we władaniu mieczem, zapewnił sobie posłuch wśród podwładnych.

- A co ty byś zrobił? - zagadnął Iain.

- Ja?! - zawołał Gilchrist.

- Nie, święty Mikołaj. Gilchrist zgarbił się lekko.

- Wziąłbym dziś wieczór czterdziestu zbrojnych i ruszył na południe, żeby spotkać wuja na granicy, jak tylko odstąpi go eskorta Macgillivrayów.

Iain pokiwał głową.

- Zatem zrób to. Zabierz ze sobą Hamisha. Dobrze zna leśne szlaki i tę przełęcz, przez którą muszą przejeżdżać Alistair i Margaret.

Gilchrist momentalnie odwrócił się, żeby odejść, ale Iain przytrzymał go za koszulę.

- Tylko poczekaj do rana. Niektórzy zbrojni wrócili wraz ze mną, więc daj im trochę odpocząć.

Hamish uśmiechnął się z ulgą.

- A teraz, przyjacielu - powiedział do niego Iain - pozwól, że porozmawiam z bratem w cztery oczy.

- Tak, mości panie - odparł olbrzym. - Idę spać. To była ciężka podróż.

Oddalił się w stronę koszar po drugiej stronie dziedzińca.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Gilchrist, opierając się o ogrodzenie.

- Na początek, co to, do diabła, znaczy? - Iain niecierpliwie machnął ręką w stronę ogniska i biesiadników, coraz bardziej pogrążających się w pijaństwie.

- To? To taka nasza mała uroczystość.

- Widzę! Ale z jakiej okazji i dlaczego teraz?

- Z okazji narodzin ogiera Conalla - oznajmił Gilchrist i wzruszył ramionami, jakby to wyjaśniało całą sprawę.

- Przyjęcie dla konia?! I tylko dlatego kazalesz otworzyć beczki z piwem z piwnicy wuja Alistaira? Dlatego rozpalilesz stos wielkości domu?

Gilchrist spochmurniał nieco.

- Tak naprawdę, to uczta na cześć lady Aleny. Cały klan chciał jej podziękować za to, co dla nas zrobiła.

Iain popatrzył na tańczących. Już od dawna nie widział swoich ludzi w tak dobrym nastroju.

- Niezły pomysł - powiedział.

- Alena też jest tego zdania. Była nam wdzięczna. Alena? - pomyślał Iain. Rzeczywiście, niedawno tańczyła z Gilchristem.

- Zdaje się, że miałes jej pilnować, a nie brać się do zalecanek - rzekł i poczęstował brata solidnym kuksańcem.

- Nie chciałem, by pod twoją nieobecność czuła się samotna - odciął się Gilchrist.

Iain spojrział na niego spode łba.

- To właściwie który z Mackintoshów bierze się do zalecanek? - z uśmiechem spytał Gilchrist i wyjął z włosów Iaina długie źdźbło trawy.

Iain popatrzył na ucztujących i nagle straszliwe podejrzenie przyszło mu do głowy. Chwycił brata za rękę.

- Który? Jak ma na imię?

Gilchrist ryknął niepohamowanym śmiechem.

- Och, braciszku - powiedział Gilchrist, kiedy wreszcie przestał się zaśmiewać. - Szkoda, że nasza matka, niech spoczywa w spokoju, nie może cię dzisiaj widzieć. Uśmiełaby się z całego serca.

Iain przesunął ręką po twarzy.

- Idź - powiedział do brata. - Zbierz oddział i ruszaj z samego rana.

Zmrużył oczy, gdy koło studni wypatrzył Willa. Była z nim Hetty. Stali blisko siebie, trzymając się za ręce, obojętni na cały świat. Iain prychnął gniewnie.

- Jego też zabierz - mruknął do Gilchrista i wskazał głową na Willa. - Uroczystość! Znosi się na wojnę, a oni urządzają tańce!

Gilchrist ruszył w stronę zabudowań, a Iain oparł się o płot i wbił niewidzące spojrzenie w ziemię. Myślał o Alenie.

Co ja właściwie sobie wyobrażam? - przemknęło mu przez głowę. Chciałem ją uwieść na strychu, w szopie, jak jakąś sługę? Przecież nie chodzi mi tylko o jedną noc! Przez całe życie chcę ją mieć przy sobie!

Westchnął ciężko i ruszył w kierunku ogniska. Ledwo jednak postąpił dwa kroki, ktoś pociągnął go z tyłu za pasek. Odwrócił się i zobaczył pomarszczoną twarz Edwiny. Stara służąca łypnęła na niego spod oka.

Wepchnęła mu w garść czystą koszulę.

- Masz. Przebierz się - powiedziała, po czym zniknęła w mroku nocy, zanim zdążył się do niej odezwać.

Wciągnął koszulę przez głowę, zatknął ją za kilt i srebrną broszą spiął pled na lewym ramieniu. Popatrzył w kierunku ogniska i widocznej z tyłu niewielkiej szopy, przyległej do stajni.

Modlił się w duchu, żeby Alena wciąż tam była. Przebiegł przez tłum, otworzył drzwi i w trzech susach wspiął się po drabinie. Przysiadł na piętach i długo wpatrywał się w puste posłanie.

Chciała mu wszystko powiedzieć.

Gavin pomógł jej dosiąść czarnego ogiera. Powoli objechała zwęglone resztki wczorajszego ogniska i wydostała się za bramę. Niebo było błękitne; zapowiadał się piękny, ciepły dzień. W powietrzu wyczuwało się już zapach lata.

Na dziedzińcu panowała niespotykana cisza. Alena zauważyła, że w stajniach brakowało wielu dobrych koni. Spytała o to Gavina, ale chłopak nie chciał jej nic powiedzieć.

Tuż przed świtem, przez sen, słyszała jakieś zamieszanie, lecz była świecie przekonana, że to biesiadnicy, więc odwróciła się na drugi bok i głębiej zagrzebała w futra. Porozmawiam o tym rano z Iainem, pomyślała, jak już mu odpowiem na wszystkie pytania dotyczące mnie i Reynolda.

Teraz uniosła twarz do słońca. Miała na sobie zwykły roboczy strój, którego używała podczas pracy w stajni - stare nogawice i lekką wełnianą koszulę. Dlaczego nie upięła włosów i nie włożyła sukni?

Iain nazwał ją piękną.

Odruchowo przyłożyła rękę do szyi, jakby szukała siadów wczorajszych pocałunków. Popędziła ogiera. Gavin powiedział jej, że Iain wyjechał rankiem na patrol wokół zewnętrznego muru. Chciała, nie, musiała porozmawiać z nim jak najszybciej.

Za pięć dni wypadało świętego Jana. Czas uciekał.

Minęła zbrojownię. Tu przynajmniej trwało ożywienie. Trzej rzemieślnicy rychtowali strzały. Setki pierzastych pocisków leżało w równych stosach pod ścianą warsztatu. Dalej dziesiątki mieczy, różnej długości sztyletów i ciężkich bojowych toporów o podwójnym ostrzu.

Trwały przygotowania.

Alena uśmiechnęła się do rzemieślników, ale żaden z nich nawet nie podniósł głowy znad roboty. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy pomyślała, co oznacza wojna Mackintoshów i Davidsonów z całą potęgą Grantów.

Czyste szaleństwo. Musiała to jakoś powstrzymać.

Iain nie miał szans. Chyba że chował w zanadrzu jakiś fortel albo Uczył na wsparcie bitnego sojusznika.

Dojechała do głównych wrót. Były zamknięte. Gruba belka, leżąca zazwyczaj na trawie, teraz skutecznie blokowała podwójne wierzeje. Sześciu strażników stało na wałach, patrząc uważnie w stronę lasu.

Jeden z nich, znany Alenie, spojrzał na nią przez ramię.

- Chcę wyjechać! - zawołała. - Możecie otworzyć bramę?

Odwrócili się jeszcze dwaj inni.

Może jej nie usłyszeli?

- Chcę... - powtórzyła głośniej.

- Nie, pani - krzyknął ten, który odwrócił się pierwszy. - Nie wolno. Rozkaz Mackintosha.

- Ale ja właśnie z nim mam się spotkać. Z Mackintoshem. Gdybyście otworzyli bramę...

- Przykro mi, pani, ale nie mogę. Mości pan powiedział, żeby cię nie wypuszczać pod żadnym pozorem.

Wokół nich zebrał się niewielki tłumek, zwabiony głośną rozmową. Zdenerwowało to Alenę bardziej niż sprzeczką z upartym wartownikiem.

- Zobaczmy! - burknęła. Przypomniała sobie, że po drugiej stronie domostwa mur opadał gwałtownie. Karosz bez większego trudu pokonałby tę przeszkodę. Zawróciła więc, lecz niemal w tej samej chwili usłyszała za sobą jakieś zamieszanie.

Odwróciła się. Trzej strażnicy zeszli z posterunku, żeby odsunąć belkę zamykającą bramę.

Zmienili zdanie? Alena szepnęła koniowi coś na ucho i podjechała tak blisko bramy, że karosz niemal nosem dotykał wierzei. Musiał się cofnąć, kiedy oba skrzydła rozwarły się z głośnym zgrzytem i...

...tuż przed sobą zobaczył pysk innego konia.

Alena zdążyła dostrzec gniewny błysk zaskoczenia w oczach Iaina, który z drugiej strony zbliżył się do bramy. Oba konie stanęły dęba. Dziewczyna wpiła palce w gęstą grzywę karosza, żeby nie spaść.

Iain miał mniej szczęścia. Kilku zbrojnych podbiegło do niego, kiedy z głuchym łoskotem zwałił się na ziemię. Odprawił ich niecierpliwym ruchem i powoli dźwignął się na nogi.

Alena siedziała na karoszu, zaciskając zęby, by się nie roześmiać. Zrobiła niewinną minkę. Iain chwycił ogiera za uzdę. Koń szarpnął się niecierpliwie.

- Zsiadaj. Natychmiast.

Nie mogła pozwolić, by Iain na nią krzyczał, i to w obecności świadków. Zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie zsiadę. To mój koń i mogę na nim jeździć, gdzie mi się podoba. - Pożałowała swoich słów, zanim skończyła mówić.

Iain spojrzał na nią wściekle. Widać było, że zмага się ze sobą, aby nie wybuchnąć niepohamowaną złością. W takich chwilach był niebezpieczny.

Przez ciżbę przepchnął się wysoki wojownik Davidsonów, jeden z tych, którzy przed paroma dniami siedzieli w wielkiej sali przy stole z Gilchristem i Willem.

- Prawdę mówi, mości panie - zawołał. - Koń jest jej. Iain spojrział na niego, groźnie mrużąc oczy.

- Co takiego?!

- Powtarzam: mówi prawdę. To prezent od Gilchrista. Dał jej go, kiedy ty byłeś na południu, panie.

Iain zaklął pod nosem i wetknął trzymane wodze w dłoń wojownika.

- Dobrze - warknął. Wyciągnął ręce, jakby chciał ściągnąć Alenę na ziemię, lecz nie odważył się jej dotknąć. - Pójdiesz ze mną, dziewczyno.

Westchnęła z ulgą i zsunęła się z grzbietu ogiera. Iain stanowczym ruchem zapędził czeladź do pracy. Zbrojny zabrał oba wierzchowce i odszedł z nimi do stajni. Iain pociągnął Alenę za sobą.

- Nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj - powiedział zduszonym głosem, w którym pobrzękiwała nuta niekłamanej złości.

- Ale...

- Słyszałaś?! - Potrząsnął ją za ramię. Zachwiała się gwałtownie.

Natychmiast ją podtrzymał. Ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy sama nie widzisz, że ten karosz jest niebezpieczny? - spytał z przejęciem. - Chcę cię chronić od złego, a ty mi na to ciągle nie pozwalasz!

Pocałował ją lekko i puścił.

- Naprawdę nic mi nie groziło - powiedziała z pełnym przekonaniem. - On mnie słucha.

Iain znów złapał ją za rękę i poszedł do domu. Sadził tak ogromne kroki, że Alena musiała biec, aby za nim nadążyć.

- Nawet Duncan wie o tym! - zawołała. - Ten koń mnie słucha, chociaż innych po prostu nie znosi! - Zmusiła Iaina, żeby się zatrzymał. - Daj mi go. Potrzebny mi dobry wierzchowiec.

Popatrzył na nią i to wystarczyło. Nie miał serca jej odmówić. Zamruczał jak zraniony niedźwiedź. Alena już wiedziała, że zwyciężyła.

- No dobrze, ale nie wolno ci jeździć samej. Rozumiesz? Z entuzjazmem pokiwała głową.

- I nie opuszczaj murów warowni. - Zmarszczyła brwi, więc dodał: - To dla twojego dobra.

Miał rację. Nic nie wiedziała o jego pertraktacjach z sąsiednimi klanami, lecz coś niecoś słyszała o Grantach i MacBainach. Musiała być mu posłuszna.

- Tak, rozumiem.

- To dobrze. Jak go nazwiesz?

- Karosza? - Zastanawiała się przez chwilę. - Destiny (Destiny - przeznaczenie, j. ang. (przyp. red.)).

- Destiny - powtórzył.

- Tak.

- Dziwne imię dla konia.

Obdarzyła go uśmiechem, choć czuła dziwny ucisk w piersiach.

- Dla mnie nie dziwne. Iain pogładził ją po policzku.

- Muszę z tobą porozmawiać o ostatniej nocy. Zaczerwieniła się.

- Ja też chciałam z tobą pomówić - wtrąciła szybko. Zamierzała wyznać mu wszystko o sobie i Grancie. Miała niewiele czasu.

- Chodź. - Pociągnął ją w kierunku kamiennych schodów. Postawił ją na drugim stopniu, a sam stanął nieco niżej. Ich oczy znajdowały się teraz na jednej linii.

- Przyznaję, źle się zachowałem - zaczął. - Tam, w szopie.

- Ale...

Przyłożył palec do jej ust,

- Cicho. Daj mi skończyć. Źle postąpiłem i nie chcę, byś myślała...

Stuk kopyt przerwał mu w pół zdania. Odwrócił się z ręką na mieczu, ale zaraz na jego ogorzałej twarzy pojawił się radosny uśmiech.

Co najmniej pięćdziesięciu konnych wjeżdżało przez główną bramę. Wszyscy pod bronią. Kierowali się w stronę stajni.

- Davidson! Davidson! - rozległy się krzyki wśród służby uwijającej się na dziedzińcu. Wartownicy przy bramie unieśli miecze w pozdrowieniu.

Prowadził Gilchrist. Wyglądał znakomicie, z gołą głową i w skórzanej, nabijanej ćwiekami zbroi. Wiatr rozwiewał jego długie włosy.

Tuż za nim jechali Hamish, Will i jakaś para, nieznana Alenie. Dziewczyna domyśliła się, że to Alistair i Margaret Davidsonowie,

pan i pani na Braedun Lodge. Dosiadali dwóch białych wierzchowców.

- Milordzie, wuju! - z radością zawołał Iain. - Nie spodziewaliśmy się ciebie już dzisiaj!

Gilchrist podjechał bliżej.

- Spotkaliśmy się na leśnym trakcie, niecałe dwie godziny drogi stąd, na południe. Przeszli przez góry, omijając wąwóz.

- Mądra decyzja - powiedział Iain.

- Owszem. - Alistair skinął głową i, z uśmiechem popatrzył na siostrzeńca. - Porozmawiamy o tym później. O tym i o innych sprawach.

Alena nie dostrzegając między nimi wielkiego podobieństwa. Alistair Davidson miał długie jasne włosy, siwiejące na skroniach, i ciepłe spojrzenie. Na pewno nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Wyglądał na krzepkiego, bitnego wojownika, chociaż trochę brakowało mu zaciętości, tak wyraźnie widocznej u Iaina.

Iain tymczasem skłonił się z godnością przed lady Margaret.

- Pozwól, że powitam cię w twym domu, pani.

Dziedziczka Braedun Lodge wydała się Alenie najelegantszą kobietą na świecie. Na zamku Glenmore przebywało niewiele szlachcianek. Alena nie pamiętała dawno zmarłej żony Johna Granta. Jedynym źródłem jej wiedzy były opowieści matki, z czasów, gdy Madeleine Todd, z domu Fouret, przebywała na francuskim dworze, zanim poznała Roberta Todda i osiedliła się w Szkocji.

Alabastrowa cera Margaret Davidson kontrastowała z jej szkarłatną suknią. Ciemne włosy, gdzieś przetykane siwizną, były upięte w dwa grube i ciasno skręcone warkocze. Alena poczuła się nagle bardzo zawstydzona swoim wyglądem. Wytarła rękę o nogawicę i z obawą spojrzała na damę.

Drgnęła, kiedy Iain wziął ją za rękę i podprowadził do wujostwa.

- Wuju, ciotko, to jest lady Alena.

Powiedział to takim tonem, że dziewczyna zrobiła się czerwona jak burak. Ona, córka masztalerza, została przedstawiona, jakby była udzielną panią.

Alistair i Margaret wymienili zdumione spojrzenia. Przez chwilę panowała cisza. Iain ścisnął dłoń Aleny, by dodać jej otuchy.

- Bardzo nam przyjemnie - odezwała się Margaret melodyjnym głosem.

Alena uśmiechnęła się do niej.

- Jest tutaj pod moją opieką - dodał Iain tonem wyjaśnienia.

Alistair przypatrywał jej się uważnie.

- Witaj w naszym domostwie, dziewczyno - powiedział z dziwnym błyskiem w oczach. Czyżby mnie poznał? - zastanawiała się Alena. Szybko umknęła wzrokiem przed jego badawczym spojrzeniem.

Will i Hamish zjechali na bok, żeby dać miejsce nowym jeźdźcom.

Och, nie! - jęknęła Alena w duchu.

Brat Ambrose siedział na zgarbionej klaczy i ocierał spocone czoło mocno spłowiałą chusteczką. Skinął głową Iainowi i zmarszczył brwi na widok Aleny. Nie wiedziała, czy ją rozpoznał, czy nie pochwalał jej ubioru. Był młodym mnichem, przysłanym tu niedawno, i pełnił swoje posłannictwo w wielu różnych klanach. Alena spotkała go tylko raz, więc miała cichą nadzieję, że jej nie zapamiętał.

Popatrzyła na drugiego jeźdźca - drobną, piękną dziewczynę, o delikatnej białej cerze i włosach czarnych jak skrzydło kruka. Miała ciemne, szeroko rozstawione oczy i usta niczym płatek róży. Nie była starsza od Aleny. W jej spojrzeniu, gdy skierowała je na Iaina, czaiło się coś niepokojącego. Alena mimo woli puściła rękę ukochanego.

Iain z zaciekawieniem popatrzył na Gilchrista.

- A któż to taki, drogi bracie?

Gilchrist uśmiechnął się od ucha do ucha i łobuzerskie błyski zamigotały w jego niebieskich oczach.

- Iainie, pozwól, że ci przedstawię Elizabeth Macgillivray. Twoją narzeczoną.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tym razem Alistair posunął się za daleko.

Iain krążył po komnacie wuja niczym dziki zwierzę w klatce. Z premedytacją kopał brzeg dywanu rozłożonego na podłodze.

- Tak, chcę sojuszu - przyznał - ale nie za cenę małżeństwa z jego córką!

Alistair Davidson siedział w swoim ulubionym, bogato rzeźbionym fotelu i lekko bębnił palcami w blat dębowego stołu. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy, ale Iain doskonale znał myśli wuja.

Przelotnie zerknął na lady Margaret, zajmującą miejsce naprzeciwko Alistaira. Zauważył, że patrzyła na męża, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Upewniło go to, że ciotka sprzeciwiała się tym planom.

- Wydeptujesz podłogę, chłopcze. - Wuj wskazał na wyściełany stołek, stojący przy kominku. - Usiądź.

Iain nadal krążył.

- Po co ją tu sprowadziłeś, wuju? Przecież wiedziałeś, że się z nią nie ożenię.

- Alistair był zdania, że jak ją zobaczysz, zakochasz się od pierwszego wejrzenia - wtrąciła się Margaret.

Iain parsknął lekceważąco.

- Posłuchaj, chłopcze - powiedział Alistair. - Nie zwracaj uwagi na to, że do tej pory lady Elizabeth otaczała się lizusami. Lubi pochlebstwa, to prawda, ale któż tego nie lubi? Najważniejsze, że Macgillivray zgodził się oddać ci córkę. Zależy ci na sojuszu, prawda?

- Wyjął z zanadru zwój pergaminu. - Oto jest kontrakt małżeński. Zobacz sam, że Macgillivray okazał wielką hojność. Ofiaruje ci ziemię, dwa małe sioła i złoto.

- Tak mu pilno wydać ją znowu za męża? - Iain machnął ręką, nawet nie zerknąwszy na treść dokumentu.

Alistair na pozór nie zwracał uwagi na zachowanie siostrzeńca.

- Nie możesz tak o niej mówić. Wprawdzie jest wdową, ale ciągle młodą i powabną. Wszyscy to widzą. To nie jej wina, że ten czy ów zerka na nią łakomym wzrokiem.

- Ten czy ów? Przez jej łóżę przewinęli się wodzowie co najmniej sześciu klanów!

Alistair łypnął groźnie.

Margaret spojrzała nań i wydeła usta.

- Hm - zamruczał Alistair i poprawił się w fotelu.

Iain podszedł do okna i popatrzył na niewielki ogród, wciśnięty pomiędzy kamienny mur a ścianę domu. To, co tam zobaczył, zupełnie go nie zdziwiło. Wśród bujnych kwiatów, rozkwitłych po ostatniej ulewie, Gilchrist przechadzał się ręka w rękę z lady Elizabeth.

Iain skrzywił się pogardliwie.

- Spójrzcie tam, na tych dwoje - mruknął. - Nie czekali długo.

- Co takiego? - spytał Alistair i podniósł się z fotela. Siostrzeniec uśmiechnął się do niego z przekąsem.

- Córka Macgillivraya - odparł. - Cenna wdówka na spacerze z Gilchristem. Mój brat nigdy nie zaniedba okazji do nowych podbojów.

Alistair wyrzwał przez okno.

- Hm.

Iain podszedł do kominka i zajął miejsce obok ciotki, na wyściełanym stołku. Alistair wrócił na fotel.

- No dobrze - westchnął Iain. - Co dalej?

Margaret delikatnie położyła wypielegnowaną dłoń na jego ramieniu.

- Opowiedz nam o Alenie - poprosiła. Alena...

Chciała uciec już na sam widok dumnej i eleganckiej Elizabeth Macgillivray, siedzącej na grubej klaczy niczym królowa Saba. A kiedy jeszcze usłyszała to, co powiedział Gilchrist...

Iain miał szczerą ochotę udusić swojego brata. Gilchrist miał już, co prawda, osiemnaście lat, lecz w dalszym ciągu zasługiwał na porządne lanie. Iain przycisnął ręce do skroni.

Wyrwała mu się i uciekła, zanim zdołał cokolwiek jej wytłumaczyć. Od tamtej pory, chociaż szukał, nie mógł jej nigdzie znaleźć.

- Do diabła! - szepnął.

- Kochasz ją - powiedziała ciotka.

- Słucham? - Iain uniósł głowę.

- A ona kocha ciebie.

- Skąd!

Margaret poklepała go po ręce, uciszając dalsze protesty.

- To widać na pierwszy rzut oka.

- To prawda - dorzucił Alistair.

Iain spojrział na niego, a potem przeniósł wzrok na Margaret.

- Nawet nie wiem, jak się nazywa!

Alistair i Margaret zamarli, z osłupieniem patrząc na młodzieńca. Potem, niemal jednocześnie zaczęli coś mówić, ale Iain zrobił niecierpliwy ruch ręką.

Wstał i znów niespokojnie krążąc po komnacie, opowiedział o swoim spotkaniu z Aleną, o pościgu Grantów i o ucieczce do Braedun Lodge. Kiedy dotarł do miejsca, w którym Reynold zażądał zwrotu Aleny w zamian za niewielki okup, Margaret popatrzyła na niego z przestrawieniem.

- Iainie, takie rzeczy...

- Dość, Margaret! - huknął Alistair. - Nie będziemy o tym więcej mówić.

- Ale...

- Ta zabawa trwa już zbyt długo.

- Jaka zabawa? - Iain zmrużył oczy i uważnie popatrzył na wuja. O co naprawdę tu chodzi?

- Chłopcze, kiedy zmarł twój ojciec...

- Został zamordowany - sprostował Iain.

- Niech ci będzie. A zatem, od tamtego dnia wziąłem cię na wychowanie. Patrzyłem, jak wyrastasz na dzielnego wojownika i przywódcę klanu.

Iain mruknął coś pod nosem.

- Tak, jesteś wodzem. Prawdziwym Mackintoshem. Słusznie też domagasz się swojej własności. Ale musisz działać rozsądnie. Czas po temu. Macgillivrayowie i MacBainowie są gotowi do układów. Wyjdź im naprzeciw.

- Wyjść mogę, lecz nie poślubię tej kobiety. Margaret zerknęła na męża.

- Alistairze, Macgillivray jest moim krewnym. Łączą nas zatem ściśle więzy, bez względu na to, czy nakłonisz Iaina do tego małżeństwa.

- Być może. Gdyby jednak uległ, nasz sojusz stałby się o wiele trwalszy.

- Ale małżeństwo nie jest koniecznym warunkiem. Iain zerknął na pergamin podpisany przez Macgillivraya.

Zwinął go w ciasny rulon i schował za pazuchą.

- A co z MacBainem? - spytał. - Gilchrist bez wątpienia wspominał ci, wuju, o jego konszachtach z Grantem.

- Owszem - odparł Alistair. - Wiedziałem o tym już przedtem. Spotkaliśmy się z nim przed kilkoma dniami. Dał nam wyraźnie do zrozumienia, że póki co, nie opowiada się po żadnej stronie. Jeszcze nie teraz. To człowiek, który niezbyt chętnie nawiązuje przyjaźń.

- Z tym się zgadzam.

Iain przypomniał sobie oschłe zachowanie MacBaina podczas spotkania na zamku Findhorn, zwołanego przez Columa Mackintosha. „Są ludzie, którzy chętnie wbiją ci sztylet w plecy, nazywając cię przyjacielem”. W świetle późniejszych wypadków słowa MacBaina nabrały podwójnego znaczenia.

- Chyba pamiętasz sprawę z jego siostrą?

- Pamiętam - przytaknął Iain. Siostra MacBaina była przyrzeczona Henry'emu Grantowi. Ten związek miał stać się podstawą potężnego sojuszu.

- Kiedy Henry zginął - ciągnął Alistair - MacBain musiał ją oddać przywódcy jednego z mniej znaczących klanów. Do tej pory uważa, że winni nieszczęściu są Mackintoshowie.

- Wróci do nas - zapewnił Iain. - Mam coś, co go przekona o niewinności ojca. - Machinalnie wsunął rękę do sakwy u pasa i wyjął kosmyk włosów. W tym chowała się prawdziwa siła. Moc przysięgi.

Tamta dziewczynka już dawno wyrosła na kobietę. Kto wie, czy zachowała bogato zdobiony sztylet? A jeśli tak, to w jaki sposób miałyby ją teraz odszukać? Uśmiechnął się na wspomnienie jej umorusanej buzi i wiecznie rozczochranych włosów. Kochał ją. Była ładna, dzielna i...

Nagle stanęła mu przed oczami twarz Aleny. Nie, to szaleństwo. .. Ruszył do drzwi. Wuj odprowadził go aż do progu.

- Jesteś zupełnie pewny, że chcesz wojny z Grantem? To niepotrzebne, chłopcze. Tu masz swój prawdziwy dom. Zostań z nami.

Iain uśmiechnął się. Popatrzył na ogorzałą, przyjazną twarz Alistaira.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, wuju, lecz zrobię to, co muszę. Dla ojca i dla całego klanu. Dla Gilchrista i dla Conalla. - Mocniej ścisnął w dłoni „węzeł miłości”. - I dla samego siebie.

Alena z zadumą patrzyła przez okno na stajennych szcnotkujących konie. Tak mocno zaciskała pięści, że paznokcie wbijały jej się w ciało. Łzy spływały jej po policzkach. Nie potrafiła ich powstrzymać.

Narieczona. Narieczona Iaina.

Słowa Gilchrista uderzyły ją niczym smagnięcie bicia. Uciekła, aby Iain nie widział jej łez. Dopiero po pewnym czasie odważyła się wrócić tylnymi drzwiami do domu i przez kuchnię bezpiecznie dotarła do swojej komnaty.

Hetty i Edwina bezskutecznie ją namawiały, żeby w południe zeszła do wielkiej sali na posiłek. Iain dwukrotnie pukał do jej drzwi. Nie odpowiadała. Na wszelki wypadek zabarykadowała wejście ciężką ławą.

Była głupia.

Jak mogła choćby przez chwilę myśleć, że Iain Mackintosh naprawdę ją kocha? Och, święta naiwności! Owszem, pożądał jej, ale na tym koniec. A ona? Niewiele brakowało, a dałaby się uwieść jak pierwsza lepsza ładaczka.

Odeszła od okna i oparła się plecami o chłodną kamienną ścianę.

Iain na pewno wiedział o Elizabeth. Przez cały czas ją oszukiwał. Nawet dziś rano usiłował się usprawiedliwiać. Mówił, że to, co zaszło w szopie, to błąd. „Źle postąpiłem i nie chcę, byś myślała...” Co chciał przez to powiedzieć? Że nic dla niego nie znaczą? - zadawała sobie w duchu pytania. Bo on jest naczelnikiem rodu, a ja córką masztalerza?

Stojąc przy oknie, słyszała strzępy rozmowy prowadzonej gdzieś na podwórzu. O spodziewanym układzie z Macgillivrayem, o sojuszu, o sile, którą da Mackintoshom małżeństwo Iaina. Nie mówiąc już o nowych ziemiach i bogactwie. Przypomniała sobie, że jej wybranek już jako dziecko właśnie o tym marzył.

Gdzie tu miejsce dla niej?

O co ją zwykle prosił, kiedy byli dziećmi? „Narychtuj mi strzałę do łuku, dziewczyno”. Albo: „Zajmij się moim rumakiem”. I bądź posłuszna innym żądaniom, pomyślała z goryczą.

Usiadła na łóżku i machinalnie zmięła w dłoni rąbek pożyczonej sukni. Pod palcami poczuła miękką wełnianą tkaninę. To Hetty namówiła ją, żeby się przebrała. Alena była tak zdruzgotana widokiem narzeczonej Iaina, że bez oporu poddała się zabiegom sługi. Na dobrą sprawę, nawet nie zauważyła, że Hetty ją uczesała.

Popatrzyła na swoje dłonie zniszczone latami ciężkiej pracy. Parsknęła urywanym śmiechem. Wszystkie suknie Szkocji nie uczynią ze mnie prawdziwej damy pokroju Elizabeth Macgillivray, pomyślała.

Jej rywalka była bogata i piękna. W sam raz dla Iaina. Dawała mu poczucie siły, potrzebnej choćby po to, by odbić zamek Findhorn i pokonać Reynolda Granta.

Iain potrzebował potężnych sojuszników. Bez nich przegrałby każdą wojnę. Mimo to zamierzał ruszyć na Reynolda nawet i bez pomocy wojsk Macgillivraya. Przynajmniej tego była pewna.

Zamknęła oczy, przełknęła łzy i setny razy powtórzyła sobie, że musi być bardzo dzielna. Iain powinien poślubić Elizabeth i zapewnić sobie pomoc jej klanu. Ja zaś, myślała Alena, powinnam wrócić do swoich i poślubić Reynolda Granta. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

Jako żona Reynolda i pani na zamku Glenmore będę miała pewien wpływ na dalsze działania męża. Może go skłonię, aby po dobroci oddał Mackintoshom ruiny zamku Findhorn? Wszak Iain, wchodząc w unię ze wszystkimi klanami Chattan, zdobędzie niemałą siłę. Reynold pomyśli ze dwa razy, zanim podejmie rękawicę.

W tej samej chwili przypomniała sobie zimne i złe spojrzenie Granta. Nie. Ten człowiek nie zwykł przed nikim ustępować. Nie oddałby ani piędy bezprawnie zagarniętej ziemi.

Ale przecież Iain też nie dążyłby do ugody. Nie spocząłby, dopóki nie skapałby miecza we krwi znenawidzonego wroga. Jakie więc jest wyjście z tej skomplikowanej sytuacji?! Dobrze chociaż, że mój ojciec z matką znajdą chwilę wytchnienia, gdy zostanę żoną Reynolda, pomyślała. Wzięła głęboki oddech i przycisnęła rękę do rozpalonego czoła.

- Weź się w garść - powiedziała na głos. - Gra idzie o dużo większą stawkę niż twoje uczucia.

Wiedziała już, co musi zrobić. Uciec. Ale jak?

Na dziedzińcu kłębił się tłum zbrojnych, Mackintoshów i Davidsonów. Gdyby tylko dopadła karosza, żadna pogoń by jej nie pochwyciła. Nie chciała jednak odchodzić w taki sposób.

Nie. Musiała się wymknąć ukradkiem, najlepiej nocą, po cichu, nie zwracając uwagi strażników patrolujących mury.

Ktoś zapukał do drzwi komnaty. Alena zamarła w bezruchu. Nie było to natarczywe pukanie Iaina ani też niespokojne szarpanie klamką, co wskazywałoby na Hetty. To był ktoś inny.

- Kto tam? - zapytała.

- Margaret Davidson - odpowiedział jej spokojny i melodyjny głos. - Mogę z tobą pomówić, dziecko?

Zawahała się chwilę, a potem odsunęła ławę barykadującą wejście. Otworzyła dębowe drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Pani na Braedun Lodge stała zupełnie sama, z naręczem ubrań.

Alena otworzyła drzwi. Po prawdzie, nie pozostawało jej nic innego. Cofnęła się. Margaret giętkim ruchem przepląnęła koło niej i podeszła do łóżka. Zrzuciła brzemień na pościel. Alena w tym samym czasie zamknęła drzwi.

Na pięknej, pozbawionej zmarszczek twarzy Margaret pojawił się promienny uśmiech.

- Pozwól mi się obejrzeć - powiedziała ciepłym, niemal czułym tonem. Wzięła Alenę za rękę.

Dziewczyna nagle zateśniła za własną matką. Łzy napłynęły jej do oczu.

Margaret przyglądała jej się z zainteresowaniem. Wreszcie lekko ścisnęła jej palce.

- Jesteś piękna - oznajmiła bez ogródek. - A strój Ellen leży na tobie znakomicie.

Alena z zakłopotaniem wygładziła fałdy zielonej sukni.

- Och. Wcale nie miałam zamiaru dzisiaj jej wkładać. Ale Edwina i Hetty nalegały.

- Miały zupełną rację. Podobnie zresztą jak Iain. - Margaret wskazała ręką na stos ubrań leżący na łożu. - Tu są jeszcze inne stroje z kufra jego matki. Wybierz, co chcesz. Już widzę, że będą na ciebie pasować.

Alena spojrzała jej przez ramię.

- Nie, dziękuję. To byłoby nie na miejscu. Być może... narzeczona Iaina - słowa więzły jej w gardle - chciałyby je zatrzymać?

Margaret zbyła to przypuszczenie lekceważącym ruchem dłoni. Z gracją podeszła do łóżka i zaczęła rozkładać suknie.

- Nonsens. Elizabeth ma tyle strojów, że ubrałaby całą Szkocję.

Alena przypomniała sobie tuzin juczych koni, przybyłych w orszaku, z ładunkiem skrzyń i kufrów.

- Oczywiście - bąknęła przepraszającym tonem. - Gadam bzdury.

Poczuła, że rumieniec wypełza jej na policzki. Przysunęła się bliżej Margaret.

- A poza tym, ja sama wolę, by nosił je ktoś inny - ciągnęła ciotka Iaina. - Ellen była moją przyjaciółką. Nie chcę, żeby jej stroje traktowano jak zwykłe szmaty.

- Ależ nie! - zapewniła ją Alena. - Są tak piękne i drogocenne. Za dobre dla mnie.

- Znów gadasz bzdury - uśmiechnęła się Margaret, przedrzeźniając jej wcześniejsze słowa. W wyciągniętych rękach uniosła kolejne odzienie.

Alena jęknęła z zachwytu. Zobaczyła koszulę nocną z najczystszonego jedwabiu, z długimi przezroczystymi rękawami i głęboko wyciętym dekoltem, obszytym cienką koronką.

- Cudo! - szepnęła. - Zwiewna jak skrzydła gołębia. Oczy Margaret załśniły.

- Ellen wybrała ją na noc poślubną. To było udane małżeństwo - Ellen i Colum Mackintoshowie. - Uśmiech przygasł i na czole Margaret pojawiła się pionowa zmarszczka. - Była dla mnie jak siostra, lecz... po śmierci Columa bardzo się zmieniła... - urwała i przez chwilę panowało głucho milczenie.

- Miała ją na sobie tylko raz. - Wskazała na koszulę. - I to chyba niezbyt długo - dokończyła ze skrywanym śmiechem.

Alena była czerwona jak piwonia. Niewiele wiedziała o tych sprawach. Wiedziałyby zapewne więcej, gdyby wczorajszej nocy Iaina nie wywołano z szopy.

- Ta, która ją założy, znajdzie szczęście w małżeństwie i pociechę z synów - zawyrokowała Margaret i wepchnęła koszulę w ręce Aleny. - Będzie pasowała na ciebie jak ulał.

- O, nie! - zaprotestowała Alena, lecz zamilkła, kiedy dotknęła delikatnej tkaniny. Odruchowo przycisnęła koszulę do piersi. Z rozpaczą pomyślała o niedostępnych dla niej rozkoszach małżeńskiego łóżka i o synach, których zapewne nigdy nie będzie miała.

O synach Iaina.

Margaret położyła jej rękę na ramieniu. Alena drgnęła, jak obudzona ze snu. Ciotka Iaina znacząco spojrzała na otwarty kufer, stojący w nogach łóżka. Kufer był pełen pożyczonych ubrań. Na samym wierzchu leżała starannie pozszywana przez Hetty, żółta suknia, którą Alena dostała od matki.

- Och. Chciałam to wynieść do stajni. Tam chyba się przeniosę, żeby zrobić miejsce dla lady Elizabeth. - I żeby mieć lepszą szansę ucieczki, dodała w myślach. - W warowni nie ma zbyt wielu gościnnych pokoi, a przecież... narzeczonej Iaina należą się jakieś względy.

- Do stajni?

- Tak.

Margaret spojrzała na nią spod oka.

- Wiele dobrego słyszałam o twoich zdolnościach. Wszyscy cię tu chwalą. Masz rękę do koni. To dobrze. - Uśmiechnęła się. - Niektórzy mężowie lubią, gdy ich żony nie poprzestają tylko na gotowaniu.

Alena nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W oczach Margaret połyskiwały wesołe ogniki. W jej spojrzeniu było coś kojącego. Alena odpowiedziała jej uśmiechem i odłożyła koszulę na łóżko.

- Możesz doglądać koni, moje dziecko, ale nie będziesz z nimi mieszkać - powiedziała Margaret. - Zostaniesz tutaj.

Elizabeth już się wprowadziła do niewielkiej izby pod schodami. To jej wystarczy.

- Ale...

- A poza tym, chcę cię mieć blisko siebie... i Iaina. Alena uniosła głowę i spojrzała jej prosto w oczy.

- Wiele mi opowiadał o waszym spotkaniu, tam w lesie, nad strumieniem - dodała Margaret.

Alena odwróciła wzrok i z zakłopotaniem poprawiła suknie leżące na łóżku. Musiała się czymś zająć, bo ręce drżały jej jak w febrze.

- Doprawdy miałam wiele szczęścia, że tam się znalazłam - bąknęła.

- Iain także. Przynajmniej moim zdaniem.

Czas zmienić temat, pomyślała. Pomówić o czymś, co nie ma nic wspólnego z Iainem.

- Twój akcent, pani - zaczęła - nigdy takiego nie słyszałam.

- Urodziłam się tu, w górach, w klanie Macgillivrayów, lecz dorastałam na pograniczu, w rodzinie mojej matki - wyjaśniła Margaret. - Po ślubie z Alistatrem przyjechałam do twierdzy Davidsonów. W pewnym sensie wróciłam w rodzinne strony.

Alena skinęła głową. Macgillivray. A zatem, wszystko wskazywało na to, że Margaret też pokłada niemałe nadzieje w małżeństwie Iaina i Elizabeth. W końcu chodziło o dziewczynę z jej własnego klanu.

- Ty także mówisz z dziwnym akcentem - zauważyła Margaret.

- O, tak - bezwiednie odparła Alena, wciąż myśląc o sojuszu Mackintoshów i Macgillivrayów. - Moja matka pochodzi z Francji i...

Niewiele brakowało, żeby się wygadała! Popatrzyła z przestraszeniem na swoją rozmówczynię.

Nie. Margaret Davidson była szlachetnie urodzoną damą i na pewno nie miała okazji usłyszeć o Robercie i Madeleine Toddach ani, tym bardziej, się z nimi zetknąć. Alena odetchnęła z ulgą.

- To wszystko wyjaśnia - spokojnym głosem stwierdziła ciotka Iaina. Skończyła układać suknie i splotła wąskie dłonie. - Brakowało nam ciebie przy stole. Zjesz z nami kolację. - To było polecenie, nie prośba.

Jak mam zasiąść razem z Iainem i Elizabeth? - z rozpaczą pomyślała Alena. Nie potrafiła jednak znaleźć żadnej sensownej wymówki. Zrezygnowana, pokornie skinęła głową i westchnęła:

- Czuję się zaszczycona, pani.

- Mów mi po imieniu.

Margaret delikatnie pogładziła Alenę po policzku.

Zna mnie! - pomyślała Alena.

Ale skąd? Może rozmawiała z Duncanem? Nie, przecież stary masztalerz przyrzekł dochować tajemnicy. Na pewno dotrzymał słowa.

Brat Ambrose? Ten mógł ją rozpoznać i poinformować Davidsonów. Zatem wszyscy już wiedzą o Toddach... i Grantach. Lecz to nie tłumaczyło zachowania Margaret.

- Hm... Czy brat Ambrose będzie na wieczery?

- Oczywiście. Rzadko go widzimy. Cieszymy się, gdy służa boży siada z nami przy jednym stole.

- Tak, tak. - Wtem wpadło jej do głowy, że wizyta zakonnika może mieć jeszcze inny powód. Odwróciła się i oburącz chwyciła za rzeźbioną poręcz łóżka.

- Czy - musiała chrząknąć, bo nagle zaschło jej w gardle - czy przybył tu także po to, aby udzielić ślubu?

Margaret nie odpowiedziała.

- Chodzi mi o ślub Iaina.

- Och, rzeczywiście - rozległ się rzeński, niemal wesoły głos Margaret. - Powinniśmy to wykorzystać.

Alena już trzeci raz dzisiaj desperacko walczyła ze łzami.

- To znaczy, że Iain chce się żenić?

- Z tego, co dziś widziałam i słyszałam, wnoszę, że wprost nie może się doczekać, aby stanąć na ślubnym kobiercu.

Alena głęboko zaczerpnęła tchu i zamknęła oczy. Z całej siły ścisnęła poręcz.

Za sobą usłyszała cichnące kroki. Margaret podeszła do drzwi.

- Tylko na jedno pytanie wciąż nie ma odpowiedzi - dodała. - Kto będzie panną młodą?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Spóźniała się.

Iain zacisnął zęby i nerwowo zabębnił palcami w blat ogromnego dębowego stołu. W wielkiej sali panował zgiełk i hałas. Zebrani raczyli się piwem i opowiadali sobie nawzajem o wydarzeniach minionych tygodni.

Alistair na powrót zajął należne sobie miejsce u szczytu stołu, na podwyższeniu, przy kominku. Trzaskający ogień rzucał krwawą poświatę na biesiadników. Margaret zasiadała po lewicy męża, a Iain wiercił się niecierpliwie po prawej stronie, skąd miał dobry widok na schody.

Był zły, że tuż przy nim posadzono Elizabeth Macgillivray. Nadobna wdówka już od kwadransa próbowała go wciągnąć w rozmowę. Miała na sobie szkarłatną suknię, do przesady podkreślającą jej kobiece wdzięki i przyciągającą wzrok niemal wszystkich mężczyzn obecnych na sali. Dobrze chociaż, że naprzeciwko siedział Gilchrist, który z przyjemnością wziął na siebie cały ciężar rozmowy z Elizabeth.

Iain spod oka popatrzył na brata Ambrose'a, wciśniętego pomiędzy Hamisha i Willa. Biedny zakonnik nie miał gdzie uciec, by nie słuchać rubasznym żartów i przechwałek. Iain na ten widok uśmiechnął się z rozbawieniem i wziął do ręki kubek piwa. Pił dzisiaj wyjątkowo mało.

Przez cały dzień usiłował, bezskutecznie zresztą, porozmawiać w cztery oczy z Aleną. Kilkakrotnie dobijał się do jej komnaty - za trzecim razem był już tak wzburzony, że zamierzał utorować sobie drogę siłą. Alena mu nie otwierała. Nie wiedziała zatem, że domniemany ślub z Elizabeth to wierutna bzdura.

Spojrzał na swoją „narzeczoną”. Pewnie, że była ładna, ale nie dla niego. Nie podobały mu się jej włosy. Zbyt ciemne, podobnie jak oczy.

On wolał złote, zwichrzone loki koloru żyta i pszenicy i oczy jak wiosenny mech. I opaloną twarz, z piegami na zgrabnym nosku, Nie jakąś wątlą damę, ale dziewczynę, z którą - nomen omen - można by „konie kraść”. Taką jak Alena.

Boże dopomóż! - westchnął w duchu. Nie chcę nikogo więcej.

Westchnął z głębi piersi i znów spojrzał na schody. Gdzie ona się podziewała? Już miał po nią posłać Edwinę, gdy zauważył jakiś ruch

w głębi korytarza. Alena weszła do sali. Wyglądała zjawiskowo. Nie tylko on to zauważył.

Włosy swobodnie opadały jej na ramiona, połyskując rudawym złotem w blasku ognia płonącego na kominku. Szła do stołu, wdzięcznie skłaniając głowę w stronę pozdrawiających ją biesiadników. Ani razu nie spojrzała na Iaina. Ubrana była w tę samą jedwabną suknię, którą miała na sobie podczas ich pierwszego spotkania w lesie. Prostą i elegancką. Całkowicie odmienną od wyzywających strojów Elizabeth Macgillivray.

Suknia była wyprana i naprawiona. Iain wzdrygnął się na wspomnienie krwawych śladów, pozostawionych na niej przez palce Reynolda Granta. Chryste, zabiłbym go natychmiast, gdyby znalazł się gdzieś w pobliżu! - pomyślał.

Wściekle błysnął oczami, usłyszawszy lubieżne pomruki przy niżej rozlokowanych stołach. Większość wojowników przerwała rozmowy i wpatrywała się na Alenę.

Iain niezgrabnie zerwał się z miejsca. Potrącił lady Elizabeth i niechcący wylał jej wino. Alena minęła go i przeszła na drugi koniec stołu.

Gilchrist wstał śpiesznie.

- Lady Aleno. Uczynisz mi ten zaszczyt? - wskazał miejsce na ławie, pomiędzy nim i Margaret.

Alena zawahała się, lecz tak ją ujął swoim szczerym uśmiechem, że przyjęła jego propozycję. W ten sposób, mimo woli, znalazła się naprzeciwko Iaina i Elizabeth. Zaczzerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Bardzo się cieszę, że do nas dołączyłaś, drogie dziecko - powiedziała Margaret i z uczuciem poklepała ją po rękę.

Alena zdobyła się na blady uśmiech.

- Dziękuję, milady.

Alistair nic nie powiedział, ale patrzył na nią z wyraźnym zaciekawieniem. Potem zerknął na siostrzeńca i znacząco zmarszczył czoło.

- Hm! - Iain spojrzał na niego spode łba i jednym haustem wychylił kubek piwa.

- Aleno? - odezwał się Gilchrist. - Poznałaś już lady Elizabeth Macgillivray?

Iain zmrużył oczy i poprzysiągł sobie, że zabije brata zaraz po wieczerzy.

- Bardzo mi miło, pani - powiedziała uprzejmym tonem Alena.

Elizabeth nie odpowiedziała na jej pozdrowienie. Przysunęła się bliżej Iaina.

- To ta amazonka? To o niej mówią w całym Braedun Lodge?

Iain nie spuszczał wzroku z Aleny.

- Tak. To wspaniała dziewczyna. Poradzi sobie z każdym zwierzęciem.

Alena spąsowiała lekko i nieco zbyt gorliwie zajęła się jedzeniem. Usta Elizabeth znalazły się tuż przy uchu Iaina.

- A z mężczyznami? - szepnęła.

Młodzieniec poczuł nagle, że nogą ociera się o jego nogę. Postanowił nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Przede wszystkim chciał porozmawiać z Aleną. Bez świadków. Dla zachowania pozorów musiał jednak dotrwać do końca wieczery.

Elizabeth wyniośle spojrzała na Alenę. Chrząknęła delikatnie, jak prawdziwa dama.

- Alena? To niezwykle imię jak na Szkotkę. Z jakiego pochodzisz klanu?

Ręka Aleny, w której trzymała kubek, nieruchomo zawisała nad stołem. Iain bezwiednie pochylił się w przód, czekając na odpowiedź. To samo uczynili inni jej sąsiedzi.

Alena pociągnęła łyk wina i spokojnie popatrzyła na rywalkę.

- Z bardzo daleka.

- No tak, to wiele wyjaśnia - westchnęła Elizabeth. - Twój strój i tak dalej. - Błysnęła ciemnymi oczami w stronę Iaina. - To prawdziwy relikwiarz przeszłości. - Zachichotała cicho, zakrywając usta ręką.

Alena wolno odstawiała kubek. Iain patrzył z zachwytem, jak jej piersi poruszają się pod obcisłą suknią przy każdym oddechu.

- Relikwiarz? Owszem - odparła. - Dostałam ją bowiem od osoby niezwykle drogiej mojemu sercu - odpowiedziała chłodno i ze spokojem. Budziła podziw swoim zachowaniem.

- Od kochanka? - roześmiała się Elizabeth.

Ucichły rozmowy przy stole. Wszyscy, nie wyłączając Iaina, czekali na następne słowa Aleny.

- Nie - odparła. - Od matki.

Iain westchnął z ulgą. Uśmiechnął się głupkowato, słysząc tę odpowiedź. Zerknął na wujka i ciotkę, którzy znowu, tak jak przy

pierwszym spotkaniu z Aleną, popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Ona zaś ze spokojem zajęła się mięsiwem.

- To najpiękniejsza suknia, jaką widziałem - cicho odezwał się Iain. Za wszelką cenę chciał zmusić Alenę, żeby nań spojrziała.

Udało mu się. Uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

Nie musiał nic więcej mówić.

Już wiedział, że go zrozumiała. Widział to w jej twarzy, okolonej złocistą aureolą włosów.

Kochała go.

Spoglądali na siebie w milczeniu, pochłonięci sobą, nie zważając na to, co się wokół nich dzieje.

Chwilę później Alena odwróciła wzrok i czar przysł. Ale nie mogła cofnąć tego, co już zaszło.

Ukradkiem zerknęła na drugą stronę stołu, tam, gdzie siedzieli Will, Hamish i brat Ambrose. Iain także popatrzył w tym kierunku, nie zwracając uwagi na nadąsaną Elizabeth.

Dwaj wojownicy z zapalem pałaszowali ogromne kawały pieczeni, raz po raz przepijając to kuflami piwa. Brat Ambrose kulił się po cichu. Z napięciem obserwował Alenę.

Iain spotkał go przedtem zaledwie parę razy. Brat Ambrose dopiero niedawno złożył śluby i przyjechał do Szkocji. Był jeszcze bardzo młody. Wędrował od klanu do klanu, udzielał ślubów, chrzczył i namaszczał na ostatnią drogę. Iain postanowił, że musi z nim porozmawiać. Mógłby pewnie niejedno powiedzieć o tym, co działo się w zamku Glenmore.

Zauważył, że Alena zachowywała się tak, jakby obawiała się zakonnika. Było w tym coś zastanawiającego.

- Hamishu - niespodziewanie odezwał się Ambrose. - Powiadają, że Reynold Grant chciał dobić targu z twoim panem. Chodziło o jakąś dziewczynę. Ponoć o jego kochankę.

Iain zakrztusił się piwem.

- Powiadają też, że dawał złoto, byle do niego wróciła. Hamish uniósł głowę znad półmiska i podchwycił ostrzegawcze spojrzenie Iaina.

- To prawda. Iain powiedział mu - znaczy, Grantowi - że nikogo takiego u nas nigdy nie było i nie ma.

Alena zamarła. Niczego nie można było wyczytać z jej twarzy, tylko z jej oczu wyczytało przerażenie. Iain miał ochotę pochwycić ją w ramiona, utulić, uspokoić... i dowiedzieć się całej prawdy.

Hamish uśmiechnął się, nie przerywając żucia, i czubkiem noża wskazał na mnicha.

- Po co wchodzić w układy z największym wrogiem? Ambrose obrzucił Iaina taksującym spojrzeniem.

- No właśnie, po co? - powtórzył i upił łyk wina. - Więc będzie wojna - westchnął.

Przy stole zapanowała głucha cisza. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę mnicha.

- A gdzie to usłyszałeś, braciszku?

Ambrose poczerwieniał, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

- No, krążą różne plotki. Mówi się o tym w zamku Glenmore.

- Życzę sobie porozmawiać z tobą, Ambrose - z kamienną twarzą przemówił Alistair. - Tuż po wieczery.

- I drogi bracie - zimno dorzucił Iain - choć cieszymy się z towarzystwa tak świątobliwego męża, to lepiej będzie, jeśli wkrótce ruszysz nieść Słowo pośród innych klanów. Na pewno na ciebie czekają.

Elizabeth Macgillivray powiedziała coś cicho. Zakonnik popatrzył na nią, a potem przeniósł spojrzenie na Margaret i Alistaira. Wreszcie zerknął na Iaina.

- Ale...

- Coś mi się zdaje, że jutro będzie dobry dzień na podróż. Mój brat, Gilchrist, wraz z oddziałem wojowników, odprowadzą cię do granicy.

Elizabeth niespokojnie poruszyła się na ławie i wydeła karminowe usteczka

- Ale...

- Jutro. - Iain wyciągnął rękę w stronę przechodzącej służącej, żeby mu dołała piwa.

Zdawał sobie sprawę, że Aleną wstrząsnęły wieści o Reynoldzie Grancie. Próbował dodać jej ducha ciepłym, przyjaznym spojrzeniem, lecz mu się to nie udało. Nie chciał jednak rozmawiać z nią otwarcie przy świadkach.

Nie. Musiał poczekać, aż będą zupełnie sami. Wtedy otworzę przed nią serce, pomyślał.

Znalazła się w tarapatach. To już wiedział. Musiał ją przekonać, aby mu zaufała, lecz domyślał się, że niczego nie osiągnie siłą. Za bardzo ją kochał, by próbować mniej łagodnych metod.

Nie minie tydzień, a większość tu obecnych, nie wyłączając mnie, może spocząć w grobie, myślał. Wojownicy Mackintoshów i Davidsonów wprost rwali się do bitwy, było ich jednak zbyt mało, by zdołali pokonać Grantów. Potrzebowali wsparcia wszystkich klanów Chattan. Jednak Macgillivrayowie i MacBainowie nie do końca wierzyli w winę Reynolda Granta. Konieczny był jakiś dowód, aby ich ostatecznie przekonać, że Colum Mackintosh nie zamordował Henry'ego.

Istniał taki dowód. Sztylet.

Iain musiał go odzyskać. Ale jak?

- Kiedy się zdecydujesz, chłopcze? - szepnął Alistair. Iain popatrzył na wuja.

- Za dwa lub trzy dni - odparł. - Wpierw muszę coś wyjaśnić.

Oczami wyobraźni ujrzał dziewczynkę ściskającą sztylet zawinięty w skrawek pledu. Odwrócił się i napotkał spojrzenie Aleny.

Chryste Panie, co miał teraz zrobić?

- Iainie! - Alistair pociągnął go za rękaw. - Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Jutro - odparł z roztargnieniem.

- Jak chcesz.

Alena podniosła się zza stołu.

- Panie, pani - zwróciła się do Alistaira i Margaret. - Wybaczcie mi, proszę. Jestem bardzo zmęczona i chciałabym się położyć.

- Drogie dziecko, ledwie tknęłaś strawę - zauważyła z uśmiechem Margaret. - Może zostaniesz jeszcze trochę?

- Dziękuję, milady, ale wolałabym nie. Odwróciła się, żeby odejść, i w tej samej chwili Iain dostrzegł swoją szansę.

Zerwał się z miejsca.

- Odprowadzę cię do komnaty - zaproponował. Obszedł stół, lecz Alena o wiele szybciej położyła rękę na ramieniu Gilchrista.

- Och nie, mości panie. Nie kłopotcz się moją osobą. Zresztą twój brat już zaoferował mi swoje towarzystwo.

Gilchrist uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Oczywiście - powiedział, wstając z ławy. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt, lady.

Podał jej ramię.

Iain zrobił to samo, ale Alena udawała, że tego nie widzi. Wzięła Gilchrista pod rękę i poszła w stronę schodów.

Iain ze ściśniętym sercem patrzył za nią, póki nie zniknęła w głębi korytarza.

Została zaledwie godzina do świtu. Pora ruszać.

Słowa Iaina, jego pocałunki, zaklęcia miłosne - wszystko to wydawało jej się zamierzchną przeszłością, przygasłą w świetle nowych, okrutnych wydarzeń.

Zadrzała z zimna i odruchowo zatarła dłonie. Hetty pomogła jej się rozebrać i nakłoniła ją do włożenia nocnej koszuli przyniesionej wcześniej przez Margaret. Alena początkowo się opierała, ale potem uległa, zdając sobie sprawę, że już nigdy nie będzie miała okazji jej nosić. Przesunęła dłonią po gładkim jedwabiu.

- Jezu, daj mi siłę, bym mogła go opuścić. Przypomniała sobie dziwne zachowania Iaina podczas

wieczery. Jawnie nie zwracał uwagi na umizgi Elizabeth. Kiedy Alena unosiła głowę, widziała, że wciąż patrzył na nią, nie zaś na drobną brunetkę, którą wkrótce miał pojąć za żonę.

Lady Elizabeth Macgillivray. Piękna i bogata, ale także zepsuta i złośliwa. Z jaką pogardą wyrażała się o mojej sukni! - pomyślała Alena. Nieważne. Zaraz mnie tu nie będzie. Iain może spokojnie planować małżeństwo i sojusz.

Łzy napłynęły jej do oczu, lecz energicznie potrząsnęła głową. Nie chciała myśleć o przyszłości, zwłaszcza o takiej, w której nie było miejsca dla Iaina. Musiała skupić się na ucieczce.

Wokół murów stały zbrojne warty, lecz Alena była przekonana, że uda jej się niepostrzeżenie wymknąć z tyłu stajni. Przede wszystkim wierzyła w czarnego ogiera. W Przeznaczenie. W myślach przypominała sobie drogę, która zawiodłaby ją do ziem Grantów.

- Jakoś trafię - powiedziała na głos.

Podeszła do łóżka. Przez całą noc nie mogła zasnąć, chociaż zdawała sobie sprawę, że przez najbliższe dni nie dane jej będzie porządnie wypocząć.

Któryś raz z rzędu sprawdziła swoje bagaże. Postanowiła, że włoży nogawice, wełnianą koszulę, którą jej pożyczył Jamie i pled dla

ochrony przed chłodem. Niebezpiecznie jednak byłoby jechać przez włości Grantów w barwach Mackintoshów. Nie chciała przypadkowo zginać z ręki jakiegoś krewniaka. Wybrała zatem pled Davidsonów.

Ciasno zwinęła matczyną suknię i położyła ją obok.

- Teraz już tylko garstka stawy i bukłak piwa. Czystym szaleństwem byłoby wybierać się w tak długą podróż bez zapasów.

Wcześniej udało jej się zabrać z kuchni nieco chleba i sera. Wzięła też w połowie pusty bukłak piwa, znaleziony przy siodle jednego z Davidsonów. Ukryła to wszystko pod łóżkiem, ale wścibska Hetty oczywiście musiała i tam zajrzeć.

- Nieznośna dziewczyna!

No cóż, trzeba było zacząć od początku. Alena pomyślała, że przemknie się do kuchni w nocy, w samej tylko koszuli i pledzie zarzuconym na ramiona. W ten sposób, gdyby ktoś ją zobaczył, łatwiej mogła wytłumaczyć swoje zachowanie.

Cicho podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Na korytarzu nie było nikogo.

Uczta trwała do późna. Wszyscy się cieszyli z powrotu pana i pani. Niektórzy z biesiadników ciągle chrapali na stołach w wielkiej sali. Inni powlekli się do szopy. Na pewno mocno spali.

Mimo wszystko, nie chciała ryzykować. Po wyjściu na korytarz, zamiast iść w lewo, do głównych schodów, wiodących do wielkiej sali, skręciła w prawo, do wąskiego przejścia, którymi służący chodzili z kuchni do pokoiów na piętrze.

Przekradała się po cichu, idąc tuż przy ścianie. Jedyne źródłem światła była samotna świeca, stojąca w końcu korytarza. Chwilę trwało, zanim oczy Aleny przywykły do półmroku.

Przystanąła przy drzwiach po prawej stronie i nasłuchiwała. To była komnata Iaina. Widziała kilkakroć, jak wchodził tu i wychodził. Mocniej naciągnęła pled na ramiona. Miała wielką ochotę otworzyć drzwi, obudzić go i rzucić mu się w ramiona.

Zmusiła się, żeby pójść dalej. Dotarła do schodów i wsparła się ręką o ścianę, żeby utrzymać równowagę.

Coraz wyraźniej czuła ciepło bijące od żaru w kuchennym palenisku. Czerwona łuna rozświetlała wnętrze obszernej izby. Alena ostrożnie wyjrzała zza rogu.

Kuchnia była pusta.

Jeden z psów Davidsonów spał przy palenisku, otoczony wianuszkami białych, starannie obgryzionych kości. Alena wyminęła go na palcach i podeszła w stronę spizami.

Owionął ją zimny prąd powietrza. Zatrzymała się i potoczyła wzrokiem wokoło. Nie zobaczyła niczego podejrzanego. Dała krok w przód i znów poczuła na plecach chłód nocy.

Tym razem obeszła kuchnię dookoła. Och, to stąd! - pomyślała, widząc maleńkie, uchylone drzwi do ogrodu. Lepiej je zamknąć.

Wyciągnęła rękę do klamki i zamarła w pół ruchu.

Nie dalej niż dwadzieścia stóp od niej, na kamiennej ławce, siedział Iain, oparty o mur ogrodu. Otaczały go wonne kwiaty i górskie zioła. W widmowej poświacie księżycy przypominał bardziej elfa niż człowieka.

W dłoniach trzymał mały warkoczyk. Dziecięcy prezent: dwa kosmyki włosów, splecione razem i owinięte spłowiałym strzępkiem pledu.

Alena musiała oburącz przytrzymać się futryny, aby nie upaść. Długo powstrzymywane łzy pociekły jej po policzkach.

- Jezu, daj mi siłę.

W tej samej chwili Iain uniósł głowę i spojrzał na nią szklanym wzrokiem. Na jego twarzy malował się ból. To była twarz chłopca, który płakał nad zamordowanym ojcem i który od tamtej pory nie zaznał spokoju.

Kochała go tak bardzo, że całkiem zapomniała o planowanej ucieczce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Była tam. Naprawdę była.

Kobieta - anioł - nieziemska istota w złocie i bieli posrebrzanej księżycowym blaskiem. Łagodny podmuch rozwiewał jej włosy. Wzięła głębszy oddech i jej piersi zarysowały się pod cienkim jedwabiem koszuli.

Była niczym Wenus zrodzona z morskiej piany.

Iain ścisnął kosmyki w dłoni. Zanim wstał, ona dobiegła doń pierwsza. Szeroko otworzył ramiona.

Płakała. Widział jej łzy, toczące się po policzkach. Próbowwała rozgiąć mu palce. Bronił się przed tym, przestraszony, że zechce mu odebrać to, co było dla niego najcenniejsze. Ona jednak nie ustępowała. Wreszcie, niemal wbrew sobie, poddał się. Otworzył dłoń i pokazał jej „węzeł miłości”. Przez chwilę przyglądała mu się w nabożnym milczeniu, a potem uniosła głowę. Jej oczy błysnęły w bladym świetle księżyca.

Kochał ją. Wziął ją w ramiona. Czy potrafiła zrozumieć, co się w nim teraz działo? Jak miał jej to powiedzieć? Przecież nie mógł milczeć.

- Aleno! - szepnął i pochylił się, żeby ją pocałować.

- Nie. - Odsunęła się, patrząc nań ogromnymi i wilgotnymi oczami.

Chciał coś powiedzieć, zdradzić największe tajemnice, ale ona położyła mu palec na ustach, zmuszając go do milczenia.

- Nie poznajesz mnie?

- Co takiego? - Wbił wzrok w jej oblicze. Kciukami starł ślady łez.

- Popatrz na mnie! - Drżącą ręką uniosła dwa kosmyki włosów, splątane w małeńki warkoczyk. Trzymała je, jakby były najświętszą relikwią.

Iain poruszył się niespokojnie. Miał wrażenie, że spełniają się jego najskrytsze marzenia. W gruncie rzeczy, gdzieś na dnie serca wiedział to już od dawna. Przesunął palcami po jej włosach.

Spoglądała na niego błagalnym wzrokiem.

Widział. Naprawdę widział.

- Dziewczyno! - szepnął w najwyższym zdumieniu, wodząc wzrokiem od jej włosów, do kosmyka, który trzymała w ręku.

Chwyliła go za przód pledu i pociągnęła w swoją stronę. Czy to naprawdę możliwe? Zachwiała się w jego objęciach. Podtrzymał ją ramieniem, chociaż niewiele brakowało, aby sam stracił równowagę.

Ze łzami w oczach i ze ściągniętą twarzą, niemal bezgłośnie wyszeptała jego imię.

Myślał, że się rozpłacze. Z całej siły ścisnął ją za ramiona.

- To ty! - krzyknął.

- Ja - przytaknęła i wcisnęła mu kosmyk za koszulę, na wysokości serca. - Ja - powtórzyła. Objęła go.

- Ale... jak? Kiedy mnie rozpoznałaś?

- Niemal od pierwszej chwili. - Uśmiechnęła się. - Tak bardzo się nie zmieniłaś.

Tulił ją, wspominając wiecznie umorusaną buzię i rozwichrzone włosy. Taką ją znał w dzieciństwie.

- Za to ty... - westchnął z podziwem. - Nie wierzę, że tak wypiękniałaś. Czulem to, ale...

Nakrył jej usta swoimi. Musiał jej dotknąć, posmakować, musiał sam sobie udowodnić, że ma do czynienia z żywą istotą. Tak, była żywa. I należała do niego. Na zawsze.

Wdychał jej słodki zapach. Słyszał bicie serca. Czuł słony smak łez na języku.

- Nie płacz, kochana.

- Przecież ty też płaczesz.

- To z radości - odparł, sam jeszcze nie w pełni zdając sobie sprawę z ogromu swoich uczuć. Pocałował ją znowu.

Otarła łzy i popatrzyła na niego z uśmiechem. Och, jak bardzo chciałby ten moment zachować na zawsze!

- Powiedz mi, jak masz na imię?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wesoło błysnęła oczami.

- Alena.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- To dobrze - westchnął Iain. - Bo to jedyne imię, które mnie prześladowało we śnie, i jedyne, które wymieniam w modlitwach.

Przygarnął ją, by znów ją pocałować. Klęczeli razem na murawie ogrodu, ale zupełnie im to nie przeszkadzało. Iain wpatrywał się w Alenę, a ona w niego. Drżeli oboje.

Musiał się dowiedzieć.

- Aleno - szepnął, nie odrywając ust od jej policzka. - Jak się nazywasz? Skąd jesteś?

Zwiotczała w jego ramionach. Jej szept był cichszy od oddechu.

- Proszę cię, nie mówmy teraz o tym. Nie dzisiejszej nocy.

W jej oczach dostrzegł strach. Nie chciał jej do niczego zmuszać. Najpierw musiał zdobyć jej zaufanie.

- Och, maleńka! Nie dbam o to, choćbyś była córką samego diabła. Kocham cię.

- A ja cię zawsze kochałam.

Lekko odsunął ją o siebie, by w pełni widzieć jej uroczą postać. Chciał zapamiętać ten widok na wieki.

A potem nadszedł czas na gorączkowe, namiętne pocałunki. Iainowi zakręciło się w głowie, kiedy uświadomił sobie, że zaledwie cienki spłachetek jedwabiu dzieli go od gorącego ciała Aleny. Przywarł do niej i z niepokojem czekał, co dalej.

- Wyjdź za mnie, Aleno. Zostań moją żoną. Zmarszczyła brwi. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Położył rękę na jej kształtnej piersi i wyczuł głośnie bicie serca,

- Powiedz, że mnie poślubisz.

Jej piękne oczy znowu zaszklily się łzami.

- Chciałabym. Tak bardzo jak niczego w świecie.

- Więc załatwione. Weźmiemy ślub, gdy tylko skończę z Grantem.

- Nie! - wpadła mu w słowo. - Obiecuj mi, że nie zaczniesz wojny. Jest zbyt potężny. Boję się o ciebie, Iainie.

- Nie powinnaś myśleć o takich rzeczach.

- Ale...

- Już dobrze - szepnął. - Daj spokój. Spróbuj mi zaufać, moja ukochana.

Chciał bronić jej przed złem tego świata, nawet za cenę własnego życia. Nie pytał więcej, kim jest. Najważniejsze, że miał ją przy sobie.

Musnął ustami jej szyję. Alena jęknęła cicho, kiedy jego wargi dotknęły zagłębienia między jej karkiem i ramieniem.

- Iainie - wyszeptała. - Kochaj mnie.

Och, tak. Miał na to ogromną ochotę. Nie mógł powstrzymać się od głuchego, namiętnego pomruku. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ściągnął koszulę z jej ramienia i lekko wbił zęby w jej skórę.

Śliski jedwab niemal bez oporu zsunął się odrobinę niżej, odsłaniając pierś. Była cudowna - krągła, jędrna i dziewicza. Iain głęboko zaczerpnął tchu na ten widok. Pocałował ją.

- Tak - westchnęła Alena i z całej siły ścisnęła go za ramiona, aż paznokcie wbiły mu się w ciało.

Iain z trudem panował nad sobą. Wiedział, że jeszcze chwila, a zawładnie nim namiętność. Miał ochotę wziąć Alenę tutaj, wśród kwiatów i wonnych ziół, w ogrodzie.

Ogromnym wysiłkiem woli zapanował nad szalejącymi zmysłami. Przetarł ręką rozpalone czoło.

- Nie, kochana. Zaczekaj.

Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. W jej oczach błysnęło coś na kształt rozczarowania. On jednak musiał zadbać o jej cześć i honor. Zbyt wiele dlań znaczyła.

- Powinniśmy poczekać do ślubu. Drżącą ręką poprawił jej koszulę.

- Będiesz moja w łóżu, w którym mnie poczęto i w którym począł się mój ojciec.

Pocałował ją w usta.

Alena przymknęła oczy. W głębi serca dobrze wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie.

Powstrzymała się od płaczu. Na krótką chwilę zamajaczyła przed nią złowieszczą twarz Reynolda Granta, wykrzywiona w groźnym grymasie. Alena przywarta do Iaina, chcąc odepchnąć od siebie złe myśli.

- Nie czekajmy tak długo! - wyszeptała gorączkowo.

- Jesteś tego zupełnie pewna? - spytał nabrzmiałym z podniecenia głosem.

Nigdy w życiu nie była niczego pewniejsza. Popatrzyła mu prosto w oczy. Lekko ujęła go za rękę i położyła ją na swojej piersi.

- Tak.

Padli sobie w objęcia. Strach i zwątpienie ustąpiły miejsca radości i nadziei. Iain obsypał twarz Aleny pocałunkami. Czują, jak jego ręce błądzą po jej ciele, przyprawiając ją o dreszcz rozkoszy.

Iain chwycił ją w ramiona i zerwał się z ziemi tak lekko, jakby niósł piórko. Alenie aż dech zaparło z wrażenia. Wpadł do kuchni i potknął się o psa śpiącego przy palenisku.

- A żeby cię! - burknął pod nosem.

Alena roześmiała się cicho. Iain odzyskał równowagę i wbiegł po schodach na piętro,

- Szybciej - szepnęła Alena.

W milczeniu poniósł ją ciemnym i cichym korytarzem. Stał przed drzwiami swojej komnaty. Przez moment po omacku szukał klamki, wreszcie ją znalazł i nacisnął. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Alena rozejrzała się po izbie. Nigdy tu przedtem nie była. Jaka mała. - pomyślała ze zdziwieniem. Rzeczywiście, komnata Iaina była mniejsza od jej sypialni. Po jednej stronie stało zwykłe łóżko i skrzynia na odzież, po drugiej - drewniane krzesło. Na skrzyni leżało ozdobne puzderko, a obok dzban i kubek. To wszystko. Żadnych dywanów na drewnianej podłodze, żadnych gobelinów na ścianach. Mały ogień tlił się w kominku, rzucając czerwoną poświatę na surowe wnętrze.

Iain postawił ją tuż koło łóżka i popatrzył na nią z napięciem. W półmroku wyglądał pociągająco i tajemniczo. Takim go chciała zapamiętać.

Odłożył na bok dwa sztylety, które zawsze nosił za pasem. Alena patrzyła nań z niemą fascynacją. Nigdy przedtem nie widziała rozbierającego się mężczyzny. Iain ściągnął buty i rzucił je na podłogę.

Serce załomotało jej w piersi, kiedy rozpiął szeroki pas, przytrzymujący pled. Kilt zsunął się na ziemię. Iain został tylko w koszuli.

Alena patrzyła mu prosto w twarz. Noc była cicha - jedynie ogień trzaskał w kominku.

Iain rozwiązał tasiemki koszuli i na chwilę zamarł w bezruchu.

- Jesteś pewna? - zapytał. Alena skinęła głową.

- Wiesz, czego się spodziewać?

- Tak. Widziałam to już wiele razy.

Zaniemówił z wrażenia. Alena parsknęła śmiechem, widząc, że ją źle zrozumiał. Zaczerwieniła się po same uszy.

- U koni - wyjaśniła. Roześmiał się wraz z nią.

- Zapewniam cię, że to coś innego - powiedział. Jednym ruchem ściągnął koszulę i rzucił ją w ślad za butami. Stał teraz zupełnie nagi, skąpany w rudej poświacie.

Alena wstrzymała oddech, zauroczona męską urodą Iaina. Powoli przesunęła spojrzeniem wzdłuż jego muskularnego ciała. Syciła wzrok tym widokiem.

Ogarnęła ją fala gorąca. Odruchowo przycisnęła rękę do piersi.

- Boisz się? - spytał Iain.

- Nie - skłamała. Spięła się, kiedy postąpił ku niej pół kroku. Zauważył to. - No, może trochę - przyznała.

W kącikach ust Iaina zagościł ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Nie musisz. Wszystko będzie dobrze.

Przesunął palcem po jej policzku, wzdłuż szyi i ramienia. Zadrżała z oczekiwania.

Delikatnie zsunął koszulę z jej pleców. Opadła na podłogę z cichym szelestem jedwabiu i koronek. Alenę przebiegł dreszcz. Jęknęła cicho, zaś Iain odpowiedział jej głuchym pomrukiem.

Przyglądał jej się z uwagą. Wreszcie spojrzął jej prosto w oczy.

- Naprawdę - szepnął - jesteś doskonała. Nie wiem, czy sobie na ciebie zasłużyłem.

Rzuciła mu się w objęcia. Pocałował ją, a potem zręcznym ruchem wziął ją na ręce i położył na wznak na łożu. Alena poczuła miękki dotyk futer. Iain ułożył się przy niej, wyciągnął rękę i delikatnie zaczął pieścić jej krągłe piersi.

Alena chwyciła go za szyję i przyciągnęła bliżej do siebie. Wplotła palce w jego długie włosy.

- Tak mi dobrze.

Przez chwilę leżeli nieruchomo. Później Iain sięgnął niżej i położył dłoń na kępcie złotych włosów zakrywających jej kobiecość. Alena patrzyła mu prosto w oczy. Nie odwróciła wzroku, kiedy zacisnął palce, ale westchnęła z głębi piersi. Nie spodziewała się, że jego dotyk sprawi jej tyle rozkoszy.

- Jesteś cała rozpalona - wyszeptał Iain.

Nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i zanurzyła się głębiej w filtra okrywające łoże Iaina. Oddała mu się bez protestu. Reagowała cichym jękiem na każde jego poruszenie.

Niespodziewanie cofnął rękę. Alena gwałtownie otworzyła oczy. Była wręcz oburzona. Jak mógł to zrobić w takiej chwili? Miała ochotę krzyknąć.

- Nie przerywaj - wykrztusiła łamiącym się głosem. Iain uśmiechnął się i skłonił ją, żeby szerzej rozchyliła uda.

- Nawet nie mam zamiaru - powiedział głosem nabrzmiałym namiętnością.

Zniknął jej z pola widzenia. Zanim oprzytomniała, znowu poczuła jego usta na swoim nagim ciele. W najintymniejszym miejscu!

Ogarnęła ją fala rozkoszy. Zacisnęła ręce na pościeli, zamknęła oczy i całkowicie poddała się władzy zmysłów. W pewnej chwili zaczęła krzyczeć, ale jej własny głos docierał do niej gdzieś z oddali, jakby zza grubej kotary.

Iain przesunął się nieco wyżej, lecz rozkoszne uczucie wcale nie ustąpiło. Wręcz przeciwnie, stało się silniejsze i bardziej natarczywe.

- Przytul mnie, kochana - szepnęła Iain.

Otworzyła się dla niego. Szarpnął biodrami i przez jedną krótką chwilę poczuła ból. Krzyknęła głośno, sama nie wiedząc, z cierpienia czy ekstazy. Iain nakrył ją swoim ciałem.

- Spokojnie. Najgorsze masz już za sobą.

Dygotała w jego objęciach, a on obsypywał ją pocałunkami i szeptał do ucha kojące słowa uwielbienia. Ich ciała poruszały się równym, zgodnym rytmem. Iain nagle zrobił krótką pauzę.

- Ciągłe cię boli? - zapytał z niepokojem.

- Nie - odpowiedziała niemal niecierpliwie i poruszyła biodrami.

- Nie przestawaj.

Chwycił ją za nadgarstki i jedną rękę przytrzymał nad jej głową, dociskając ją do poduszki.

- Wiesz, o co prosisz?

Poruszał się coraz szybciej, patrząc jej prosto w oczy. Wyraźnie czuła jego zapach: silny, męski. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

Za każdym pchnięciem odkrywała nowe pokłady rozkoszy. Uwolniła ręce z jego uścisku i ciasno objęła go za szyję. Wbiła mu palce w ramiona. A potem już nie pamiętała nic poza własnym krzykiem i świetlistymi plamami, które wirowały jej pod powiekami.

Ogień w kominku przygasł, lecz w komnacie nadal panował przyjemny półmrok, rozświetlany poświatą bijącą od rozgrzanych węgli. Alena leżała na wznak, z zamkniętymi oczami. Nie spała. Iain delikatnie gładził ją po twarzy i szeptał słowa miłości. Było jej dobrze. Wtuliła się w jego ramiona i poczuła, że zaczął przysypiać. Odczekała bardzo długą chwilę, a potem delikatnie uwolniła się z jego objęć.

- Dokąd idziesz, kochanie? - spytał na wpół przytomny.

Wstała z łóżka i podeszła do sterty ubrań, leżącej na podłodze koło kominka. Z sakiewki wyciągnęła maleńki warkoczyk spleciony ze złoto - kasztanowych włosów. Dziecięcy prezent, ofiarowany zda się całą wieczność temu. Wzdrygnęła się z nagłego chłodu, szybko wróciła do łóżka i wsunęła się pod stos futer. Położyła głowę na piersi Iaina. Oboje spojrzeli na warkoczyk.

- Węzeł miłości - powiedział Iain. - Tak to nazywają.

- Właśnie. - Alena przesunęła palcem po ciasno splecionych włosach i wypłowiałej wstążce. - Przechowywałeś to przez te wszystkie lata?

Odwróciła się, żeby móc widzieć jego ciemne oczy.

- Dlaczego? Uśmiechnął się.

- Żeby pamiętać o tobie. - Roześmiał się. - Chociaż z drugiej strony, jak mógłbym zapomnieć tę umorusaną buzię i wiecznie splątane włosy? - Spowaźniał nagle. - Bo cię kochałem.

W jego spojrzeniu dostrzegła coś niepokojącego.

- O co chodzi? - Pogłaskała go lekko po twarzy. Zamknął oczy i przyciągnął ją bliżej do siebie. - Powiedz.

- Kochałem cię i przyrzekłem wrócić.

- Rzeczywiście - przytaknęła spiesznie, lecz to go nie uspokoiło.

- I wróciłem. Szukałem wszędzie, ale nie mogłem cię odnaleźć.

- Naprawdę?! - Zerwała się jak oparzona, zrzucając część futer na ziemię.

Iain popatrzył na nią, jakby zrobiła coś niestosownego.

- Oczywiście. Połóż się z powrotem. Zimno tutaj. Nie czekając na jej odpowiedź, wziął ją w ramiona.

- Kiedy? - spytała niespokojnie.

- Nie pamiętam. Dziesiątki razy. Nie wiedziałem, kim jesteś.

- Dziesiątki razy? - Przypatrywała mu się ze zdumieniem. - Naprawdę?

- Naprawdę. Dlaczego miałbym...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Niemal szalejąc z radości, obsypała go pocałunkami. Nie był na to przygotowany. Całował ją, lecz spoglądał na nią ze zdziwieniem, zanim coś na kształt zrozumienia nie błysnęło w końcu w jego oczach.

Zmarszczył brwi i odsunął ją na długość ramienia.

- A ty myślałaś, że nie wrócę? To znaczy... do ciebie? Myślałaś... Pokiwała głową.

- Och, dziewczyno - przycisnął ją do szerokiej piersi - gdybym tylko wiedział.

- Teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

- Ależ ma!

- Wróciłeś - powiedziała dobitnym tonem. - To dla mnie najważniejsze. Tylko to się liczy.

Nie mógł mnie znaleźć, pomyślała. Pewnie, że nie mógł! Niby jak? Nie znał nawet jej imienia. A może miał przyjechać do Granta, na zamek Glenmore, i zapytać, czy jej nie widzieli?

Popatrzyła na niego spod oka.

- Mogłeś jednak lepiej mnie szukać - rzekła z udawaną wymówką.

- Przecież szukałem, ale potem wszystko się zmieniło. Nie rozumiesz?

Nie. Tego akurat nie rozumiała.

- Co się zmieniło?

- Spotkałem cię w głębi lasu i z miejsca się zakochałem. - Ujął ją pod brodę. - Zakochałem się w tobie, Aleno, ale jednocześnie wciąż kochałem tamtą dziewczynkę. Tę, której przyrzekłem wierność.

- Ale...

- Nie miałem pojęcia, że ty to ona. Skąd miałem wiedzieć, skoro odgrodziłaś się ode mnie murem tajemnicy? - Teraz on udawał zagniewanego.

Alena uśmiechnęła się.

- Przepraszam.

- Nie masz pojęcia, co się we mnie działo! Kochałem cię, chociaż z drugiej strony byłem przekonany, że nie mam najmniejszego prawa narzucać ci się z moim uczuciem. Nie chciałem cię dodatkowo wciągać w konflikt z Grantem! Chryste Panie, przecież nawet nie wiem, czy dożyję do końca tygodnia.

Alena posmutniała. Chciał czy nie, ona już od dawna była częścią tego konfliktu. Tylko Iain o tym nie wiedział. Wtulila się w jego objęcia.

- Musiałem wrócić - szepnął, gładząc ją po twarzy. - Przecież ci obiecałem.

Spojrzała mu prosto w oczy, ciemne i głębokie jak niebo letnią nocą.

- Bardzo często zaglądałam do naszej dawnej kryjówki.

- Alistair przez całe lata nie pozwalał nam opuszczać ziemi Davidsonów - wyjaśnił Iain. - Byłem młody, porywczy i złościł mnie ten zakaz. Dopiero później zrozumiałem, że mądrze postąpił. Tylko tutaj mogliśmy czuć się całkiem bezpiecznie. Wszędzie indziej nasze nazwisko budziło powszechną niechęć. Nienawidzono Mackintoshów. A mimo to wracałem. Wykradałem się po kryjomu, żeby cię odszukać. Robiłem to mnóstwo razy.

W tej chwili przypominał dawnego siebie - chłopca, który pewnego zimnego poranka, w lesie nad strumieniem, z powagą złożył jej przysięgę. Jego oczy miały ten sam odległy wyraz.

- Teraz znów muszę odejść. Najwyższa pora na rozprawę z Grantem. Chcę zażądać tego, co mi się należy. - Przycisnął ją do siebie i pocałował czule.

- Iainie, nie możesz.

- Mogę, ukochana. Tego już nie da się powstrzymać. Nawet ci z klanu Mackintoshów, którzy wciąż mieszkają koło zamku Findhorn, obiecali, że się przyłączą do walki o wspólną sprawę.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, a on poważnie pokiwał głową.

- Tak, byłem u nich dziesięć dni temu.

- Na zamku Findhorn? Ale... Uśmiechnął się z lekką ironią.

- To było wtedy, kiedy myślałaś, że pociągnąłem do Inverness. Z udawaną złością trzepnęła go w ramię.

- Ty!

Roześmiał się, ale widać było, że wciąż coś go trapi.

Zimny dreszcz przebiegł Alenie po krzyżu.

- Iainie, jest was za mało. Nie pokonacie Granta. Uwierz mi. Wiem, że dysponuje setkami zbrojnych, a z pomocą kuzyna George'a może nawet wystawić około tysiąca.

Iain przyjrzał jej się z nieodgadnioną miną. Zmarszczył brwi.

- Dlatego też zostawiłem ci... Masz to nadal? Usiadła na łóżku.

- Sztylet - dodał tonem wyjaśnienia. - Ten z bogato zdobioną rękojeścią.

- Mam. Złapał ją za rękę.

- Co to znaczy? - spytała. - Do kogo należał?

- Na pewno go masz? Kiwnęła głową.

- Leży w bezpiecznym miejscu. Nikt poza mną go nie znajdzie.

Znowu pochwycił ją w ramiona i sprawił, że zapomniała o zmartwieniach.

- Od tej pory będziemy razem o każdym wschodzie i zachodzie słońca. Moja dzielna żono!

Iain całował ją bez wytchnienia. Przyłgnęła doń i zamknęła oczy, żeby nie wybuchnąć płaczem. Napał na nią delikatnie, jakby pytając, czy jest gotowa do dalszych pieszczot. Natychmiast się otworzyła. Jeszcze przynajmniej na tę chwilę chciała zatracić się w miłości.

Iain głębiej zagrzebał się w stos ciepłych futer. Dobrze mu było w błogim stanie, między snem a jawą. Nie chciał wystawiać głowy na spotkanie groźnego, posepnego świata.

Dobrze pamiętał, że Alena usnęła w jego ramionach. Spoglądał na nią bardzo długo, w duchu dziękując opatrności, że pozwoliła im się znowu spotkać. Cud to prawdziwy, myślał sennie, łut szczęścia. Potem sam zasnął.

Już była jego. Całe wojsko Szkocji by mu jej teraz nie wydarło.

Po omacku wyciągnął rękę, żeby przygarnąć ją do siebie.

Przesunął dłonią po miękkim futrze. Łóżko było puste i zimne, Iain przewrócił się na bok.

- Chodź do mnie, kochanie.

Wciąż macał dookoła siebie, aż wreszcie jego palce trafiły na coś znajomego. Uśmiechnął się, nie otwierając oczu. Węzeł miłości, zapomniany w szale miłosnych uniesień.

Ziewnął, przeciągnął się i rozwarł powieki. Za oknem było jeszcze ciemno, tuż przed świtem.

Alena wyszła. Wyczuł to od razu, jak tylko oprzytomniał.

Usiadł na łóżku i przetarł oczy. Rozejrzał się po izbie. Tak, wyszła. Już za nią tęsknił. Już chciał potwierdzenia, że minioną noc była prawdziwa. Że mu się nie przyśniła.

Na pewno wróciła do swojej komnaty, pomyślał, ponieważ obawiała się, że rano ktoś ich tu zastanie. Taka kochana i wciąż niewinna. Nie musiała się jednak niczego obawiać. Wkrótce zostanie żoną wodza klanu. Wszyscy ją będą czcić i poważać. Po prawdzie, to już ją kochali - tak jak on, z całego serca.

Odrzucił futra i wstał z łóżka. Postanowił, że po cichu przejdzie do Aleny, wsunie się pod jej kołdrę i weźmie ją w ramiona. Nim słońce wstanie, jeszcze zdążą zażyć choć trochę przyjemności.

Sięgnął po pled i w tej samej chwili zauważył, że ktoś poprzekładał rzeczy leżące na wieku skrzyni, która stała przy łóżku. Ogień wygasł, więc dokładnie nie widział, co się stało.

Gdzie ta przeklęta świeca? Przesunął ręką po kufrze. Jest. Podeszedł do kominka, rozgrzebał węgle, wygarnął nieco żaru, dmuchnął nań i zapalił świecę. Izba pojaśniała żółtym światłem.

Iain odwrócił się do skrzyni i zamarł. Ozdobne puzdro było otwarte, a jego zawartość rozrzucona wokół.

- A niech to wszyscy diabli!

Bizuteria matki, pierścień ojca, kilka ładnych kamyków, które zebrał, gdy był jeszcze chłopcem. Niczego nie brakowało, z wyjątkiem...

Kontraktu.

Zniknął dokument, podpisany przez Macgilliwaya, dotyczący ślubu z Elizabeth.

Iain stał z ogłupiałą miną i wpatrywał się w puste puzdro. Kto mógł to zabrać? Komu to potrzebne? Przecież dla nikogo to nie miało wartości.

Z wyjątkiem Granta.

- Granta - powiedział na głos.

Kopnął na bok koszulę i narzucił pled na gołe ciało.

Iain nie podpisał kontraktu, ale mimo wszystko był to dowód umowy między dwoma klanami. Grant zyskałby pewność, że Mackintoshowie na powrót szykują się do powołania Chattan Davidson, Macgillivray. Tylko MacBain, jak na razie, nie dał odpowiedzi.

Ów dokument zdradzał zamiary Iaina. Ale kto z Davidsonów albo Mackintoshów dopuściłby się tej kradzieży? Kto był sprzedawczykiem? Iain z powątpiewaniem pokręcił głową. Ufał swoim ludziom. Chyba że...

Strach chwycił go za gardło. Wepchnął za pas dwa sztylety i porwał miecz ze stojaka. Nie, to niemożliwe, pomyślał, w głowie się nie mieści.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi na oścież i pognał w głąb ciemnego korytarza. Po chwili dopadł jej komnaty. Zamarł na moment z ręką na klamce. Mocno zacisnął oczy. Nie chciał uwierzyć w to, co już podświadomie wiedział.

Nigdy mu nie wyjawiała swojego nazwiska. Nie żądał tego, bo w głębi serca znał odpowiedź.

Otworzył oczy. Drżącą dłonią nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Zobaczył samotną świecę, stojącą na stole. Pokój był pusty.

Dzisiejszej nocy Alena w ogóle w nim nie spała. Nocna koszula leżała, starannie złożona, na stosie sukien, na łóżku.

Alena zniknęła.

Iain zbliżył się do łoża i przesunął dłonią po śliskim jedwabiu.

Może poszła do stajni? Ależ tak! Na pewno. Zawsze wstawiała jako jedna z pierwszych, żeby zajrzeć do koni. Iain odwrócił się, wyskoczył z izby i czym prędzej zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Spieszył się, chociaż wiedział, że jej tam nie zastanie.

Minął kilku biesiadników, wciąż śpiących w wielkiej sali, otworzył frontowe drzwi i popędził do stajni. Zimny powiew poranka owionął mu twarz i ramiona.

Wokół było zupełnie cicho. Iain zwolnił kroku i niemal na palcach dotarł do stajni. W szarym świetle wstającego dnia wszystko wokół wyglądało jak z upiornej baśni. Iain wsparł dłoń na rękojeści sztyletu, wpadł do ciemnego wnętrza i zamarł.

- Co do...

Duncan siedział na klepisku, przywiązany do słupa kawałkiem surowego rzemienia. W ustach miał knebel ze strzępu pledu.

- Święty Sebastianie, pogromco piekielnych mocy! - zaklął Iain. Wyszarpnął miecz z pochwy i rozejrzał się w poszukiwaniu wroga.

Duncan szeroko otworzył oczy i kilkakrotnie uderzył głową w słup. Zamruczał coś przez knebel. Iain, upewniwszy się, że w poza nimi w stajni nikogo nie ma, przyklęknął obok masztalerza, wyjął mu szmatę z ust i uwolnił z więzów.

Stary zakrztusił się i splunął.

- Gdzie ona jest? - Iain chwycił go za koszulę.

- Od... odjechała.

Chryste, więc jednak! Mocnym szarpnięciem postawił Duncana na nogi.

- Dokąd? Jak? Mówże, człowieku!

- Na czarnym ogierze, niecałe trzy godziny temu.

- Ale...

- Nazywa się Alena Todd. Jest córką masztalerza ze stajni Grantów.

- Co takiego?! - Iain miał ochotę zawyć z rozpacz i bólu. Wbił miecz w twarde klepisko stajni i chwycił starego za ramiona.

- Nie...

- To prawda.

Kolana się pod nim ugięły i musiał dać krok w tył, żeby odzyskać równowagę.

Zdradziła go.

Przypomniał sobie słowa Hamisha, wypowiedziane przed wieloma dniami. „Może jest szpiegiem Grantów?”

Z uporem pokręcił głową i tępo wpatrywał się w Duncana. Gniew przywrócił mu siły i kazał zapomnieć o innych uczuciach.

- Nie! - Doskoczył do najbliższej ściany i z całej siły wyrzucił w nią pięścią, aż się posypały drzazgi. Ból przeszył mu całą rękę, aż do ramienia.

- Mości panie! - zawołał Duncan. - Iainie... To jeszcze nie koniec.

Nie słuchał go.

- Musisz ją powstrzymać.

- Nie - odparł przez zaciśnięte zęby. Zaciskał pięści tak mocno, aż mu pobieły kostki. - Niech jedzie. Niech wraca do swoich.

- Nic nie rozumiesz, Iainie, Grant zamierza...

- Dość! - ryknął, bijąc głową w ścianę.

Nie zwracając uwagi na Duncana, powlókł się w głąb budynku, objając się o zagrody i kopiąc napotkane sprzęty. Konie stawały dęba, rżały, parskały i tłukły kopytami w ziemię. Iain zatrzymał się dopiero przed pustą zagrodą karosza.

Nazwała go Destiny, pomyślał z goryczą. Ha! Co za kpina! Z premedytacją bawiła się moim kosztem! Kopnął w drewnianą przegrodę i poszedł dalej.

W ostatnim boksie zobaczył swojego wierzchowca, szarpiącego się na uwięzi. Koń wyraźnie wyczuwał zły nastrój pana. Iain chwycił uzdę wiszącą na kołku i zarzucił ją na łeb zwierzęcia. Odczepił rzemień, na którym koń był uwiązany i na oklep przejechał przez stajnię.

Duncan bezskutecznie próbował go powstrzymać. Iain nie zwracał nań najmniejszej uwagi. Głupi starzec! Pozwolił wywinąć się tej oszustce! Wszystkich nas wykołowała!

- Powstrzymaj ją! Zamierzała...

- Nie! Wiem już wystarczająco dużo, by domyślać się, co zamierzała! Ani mi w głowie za nią gonić! Potrzeba mi wszystkich ludzi, żeby stawić czoło Grantowi! Pora ruszać!

Pochylił się i wyrwał miecz z ziemi. Przejeżdżając przez wrota stajni, zamknął je kopniakiem, aby na dobre uciszyć głośnie protesty Duncana.

Niedostrzeżony przez strażę na wałach, pojechał na tył budynku, tam, gdzie mur opadał najniżej. Alena bez wątpienia zrobiła to samo. Po chwili już galopował w górę zbocza, do lasu. Musiał to wszystko przemyśleć w samotności. Musiał się uspokoić.

Gnał bez wytchnienia ponad godzinę, aż koń pokrył się potem. Rozpamiętywał każdą chwilę spędzoną z Aleną w ciągu ostatnich tygodni. Przypominał sobie jej słowa, uniki, zachowanie.

Wszystko zrozumiał. Była bezwzględna, wyrachowaną wiedźmą. Pionkiem w rękach Reynolda Granta. Oszustką, szpiegiem i kłamczuchą. Od początku do końca mijala się z prawdą.

Iain dojechał do poczerniałych ruin dawnej twierdzy i zatrzymał konia. Wstawał świt. Na jaśniejącym niebie połyskiwały już tylko pojedyncze gwiazdy. Głęboko wciągnął w płuca zimne powietrze poranka i rozejrzał się po cichej okolicy. Zmrużył powieki, oślepiony pierwszymi promieniami słońca.

Zeskoczył z konia. Ugięły się pod nim kolana i siadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

Pokochałem ją, a ona... myślał z rozpaczą. Do tej pory nie mógł do końca uwierzyć w zdradę Aleny.

- Ty głupcze! Ty przeklęty, bezrozumny głupcze! - krzyknął na całe gardło. Jego głos zadudnił echem wśród drzew, strasząc skowronki i zające.

Uwierzył jej. Odrzucił wszelkie uprzedzenia i dał się omamić. Karmiła go kłamstwami, a on wodził za nią rozkochanym wzrokiem. Jak mógł być tak naiwny? On, wojownik, wódz i naczelnik klanu, odpowiedzialny za dziesiątki istnień.

Na nic zdały się długie lata ciężkich i wyczerpujących ćwiczeń. Co z tego, że potrafił wychować zastępy żołnierzy? Co z tego, że stworzył może małą, lecz bitną i dobrze wyszkoloną armię? Co z tego, że latami układał plan zemsty, wyczekując na odpowiedni moment do podjęcia działań?

Sam zawiódł na całej linii, na kilka dni przed atakiem. Został sromotnie pokonany - i to nie przez zbrojnego wroga, lecz przez kobietę. Córkę masztalerza.

- Święty Sebastianie!

Nigdy sobie tego nie wybaczę, pomyślał. Nigdy. Ale się zemszczę. Klnę się na Boga, że wody Spey staną się czerwone od krwi moich nieprzyjaciół!

Spojrzał na jaśniejące niebo i ścisnął w dłoniach garść ziemi. Głęboko zaczerpnął tchu, próbując uspokoić skołatane nerwy. Musiał pomyśleć.

Alena na pewno oddała sztylet Grantowi. Tym sposobem przepadł jedyny dowód niewinności Columa Mackintosha, a wraz z nim - nadzieja na ponowną unię klanów Chattan. W dodatku w ręce Reynolda wpadnie dokument mówiący o sojuszu Mackintoshów i Macgillivrayów. Tym samym odpadnie element zaskoczenia. Alena bez wątplenia poda Reynoldowi liczbę zbrojnych, wierzchowców i broni.

Zresztą, nieważne. Pora działać. Czas wreszcie pomścić śmierć ojca i upadek klanu, odzyskać zamek i rodzinne ziemie. To moje przeznaczenie, pomyślał Iain. Nikt mi nie przeszkodzi w jego spełnieniu.

Co dalej? Już wiedział, co robić.

Przesunął dłonią po ziemi. Jeszcze dziś poślubię Elizabeth Macgillivray, zdecydował.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wcale nie chciała go porzucić. To była najtrudniejsza decyzja w jej młodym życiu.

Wierzchem dłoni otarła piekące łzy i skierowała konia na ścieżkę wiodącą do zamku Glenmore. Całą noc i poranek gnała bez wytchnienia. Zatrzymała się tylko raz, nad strumieniem, żeby napić ogiera.

Bładym świtem przekroczyła niewidzialną granicę, dzielącą ziemię Grantów i Davidsonów. Ciemny pled, który miała na sobie, zlewał się z dem lasu, a karosz biegł niemal bezszelestnie, jakby wyczuwał zagrożenie.

W tym tempie do zamku Glenmore dotrze następnego ranka. To wystarczy. Będzie przynajmniej miała jeden dzień dla siebie.

Już tęskniła za Iainem. Próbowwała o nim nie myśleć. Nic z tego. Bała się, że w pewnej chwili ulegnie uczuciom i zawróci do Braedun Lodge. Łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach.

Największy ból sprawiło jej wyznanie Iaina. Nie była na to przygotowana.

„Żono” - powiedział do niej. Żono! Chciałaby, żeby tak było.

Zanim wymknęła się z komnaty, długo spoglądała na jego nagą postać, spokojnie spoczywającą na pokrytym futrami łożu. Kochała go tak mocno, że oddałaby własne życie za jego bezpieczeństwo. To byłoby najłatwiejsze, pomyślała gorzko. Nie musiałabym patrzeć, jak mój ukochany dzieli łożę z inną.

W tej samej chwili przypomniała sobie o ślubnym kontrakcie. Zabrała go pod wpływem nagłego impulsu. Dobrze wiedziała, że z samego rana Duncan opowie o niej wszystko Iainowi. Na to nie było rady.

A co potem?

Ona sama musiała ulec woli Reynolda Granta i poślubić go już pojutrze, w dzień świętego Jana, dla dobra własnych rodziców i własnego klanu. Tytuł pani na zamku Glenmore dawał jej pewną władzę - przynajmniej nominalnie.

Wciąż jednak zachodziła w głowę, co sprawiło, że Reynold wybrał ją na żonę? Tysiące razy zadawała sobie to pytanie i nie znajdowała żadnej odpowiedzi. Była córką prostego masztalerza. Nie mogła wnieść w posagu dóbr ani tytułów, ani innych doczesnych bogactw.

Miała przeczucie, że Reynold coś knuje. Nawet próbował ją odkupić! Jezu, przypomniała sobie, przecież niemal zemdlął przy stole, kiedy wspomniał o tym brat Ambrose.

A może w gruncie rzeczy chodziło o Iaina? Może Reynold wiedział o ich dawnej przyjaźni? Ale skąd miałby się o tym dowiedzieć? Przecież nie od Duncana. A jeśli nawet, to co z tego?

Zaraz, zaraz. Prawda!

Alena pacnęła się otwartą dłonią w czoło. Przecież mam coś, co należy do Iaina!

Zdobiony sztylet.

Odruchowo napięła wszystkie mięśnie. Karosz zarył się kopytami w ziemię. Sierść parowała mu na porannym chłodzie. Nie wiedząc, co się dzieje, parsknął głośno i grzebał nogą.

Tak! Reynold musiał usłyszeć o sztylcie. Ale co to za tajemnica? Iain nigdy nie chciał jej tego powiedzieć. Nieważne. Sztylet nie może wpaść w ręce Granta.

Ciekawe, co zrobiłby Iain, gdyby go teraz odzyskał?

Alena trąciła piętami boki konia i ruszyła w dalszą drogę. W zadumie zmarszczyła brwi. Iain mówił, że nie poprzestanie na odzyskaniu majątku i zamku. Nie po to gromadził broń w Braedun Lodge.

Nie chodziło mu tylko o Reynolda. Chciał poprowadzić klany Chattan przeciwko wszystkim Grantom. Przeciw jej ludziom,

„Póki ostatni z nich nie spocznie w grobie”.

Iain skręcił w dół zbocza, w stronę Braedun Lodge. Było ciepło, więc odrzucił pled, wystawiając do słońca pierś i ramiona.

Trochę się uspokoił. Dobrze chociaż, że mógł już racjonalnie myśleć, że pohamował emocje. Nauczył się tego od ojca, niech spoczywa w spokoju, i tej samej umiejętności próbował nauczyć braci. Dzisiaj się jednak nie spisał. Dlaczego nie wysłuchał do końca Duncana?

Koń ostrożnie kluczył wśród gęstego poszycia. Iain swobodnie puścił wodze i oddał się rozmyśleniom. Na swój sposób podziwiał przemyślność Reynolda Granta. Podesłać mu dziewczkę. Niezły koncept.

Niecierpliwym ruchem odgarnął włosy z twarzy. Pełną pierśią odetchnął świeżym zapachem lasu. Mimo oczywistych faktów, wciąż nie mógł jeszcze dopasować wszystkich elementów układanki.

Dlaczego Alena tak długo zwlekała, zanim ujawniła mu swoją tożsamość? Gdyby zrobiła to już na początku, o wiele łatwiej zdobyłaby jego zaufanie. Po co ta maskarada? Gdyby od razu wiedział, że to właśnie ona jest jego dawną towarzyszką zabaw, dopuściłby ją do każdej tajemnicy. Powiedziałby jej nawet o swoich dalszych planach. A tak, on sam milczał i kazał milczeć zbrojnym.

Zmarszczył brwi. Odruchowo przynaglił konia do szybszego biegu. Przypomniawszy sobie kilka zdarzeń, które przeczyły temu, że Alena Todd była szpiegiem Granta.

Choćby tego dnia, kiedy uratował ją przed pościgiem. Widział wówczas jej oczy zaszczutego zwierzęcia, niemal cudem uratowanego. A przy stole, gdy brat Ambrose wspomniawszy o Reynoldzie?

Nie! W tych dwóch przypadkach na pewno nie udawała. Chryste Panie, co to wszystko znaczy?!

A jej twarz pełna niepokoju, kiedy siedzieli we dwoje w ogrodzie? Drżące usta. Łzy na policzkach. Też były prawdziwe. Tak jak jego.

Iain jechał coraz szybciej. Wracali do niego strzępki słów, rozmów, przedziwne obrazy. Sporo rzeczy pozostało niedopowiedzianych.

Kiedy ją spytał, czy za niego wyjdzie, odparła: „Chciałabym z całego serca, ale...”. Właśnie - co „ale”? Przecież go kochała. W łóżu zachowywali się, jakby ich ciała miały to samo serce i tę samą duszę. Nigdy dotąd nie przeżył czegoś podobnego.

Kochał ją.

Alena też go kochała, a jednak wróciła do Grantów. Dlaczego?

Wbił pięty w boki konia i okrzykiem przynaglił go do galopu. Niczym burza pomknęli przez rzedniejący las, porastający zbocze wzgórza.

Iain spojrzał na słońce, prześwitujące przez gałęzie.

- A niech mnie - burknął pod nosem. Tak, był głupcem. Setny raz pytał sam siebie, dlaczego nie porozmawiał z Duncanem. Stary wyraźnie chciał mu coś powiedzieć. Wręcz błagał o posłuchanie.

To moja wina, myślał Iain, że pozwoliłem jej odjechać. Chryste, nie daruję sobie, jeśli teraz coś jej się stanie! Jeśli Reynold...

- Prędeż! Prędeż! - ponagłał konia, pochylając się nisko nad grzywą. Wydostali się już na równinę, ale grunt wciąż był rozmokły po ostatnich ulewnych deszczach.

Gdzieś przed sobą usłyszał jakieś głosy. Wyteżył wzrok. Trzech jeźdźców! Instynktownie sięgnął po łuk. Znow rozległ się głośny okrzyk. Iain westchnął z ulgą. W porządku: to Hamish z dwoma zbrojnymi.

Niemal wpadli na siebie, bowiem Iain nie zwolnił ani odrobinę. Koń Hamish a stanął dęba, dwa pozostałe w ostatniej chwili odskoczyły na bok. Iain obejrzał się przez ramię i dał im znak, żeby ruszyli za nim.

Hamish dopędził go pierwszy.

- Uciekła! - krzyknął.

- Wiem, że uciekła! - zawołał Iain.

- Musimy...

- Nie ma czasu na próżne gadanie!

Konie przeszły w cwał. Do Braedun Lodge było już niedaleko.

Godzinę później dopadli wałów. Iain przesadził mur w najniższym miejscu i wyładował na podwórku stajni. Niemal mu dech zaparło. Hamish i zbrojni wstrzymali konie, popatrzyli za nim z powątpiewaniem i odjechali w stronę bramy.

Iain spojrzął przed siebie. Jakieś dwadzieścia kroków dalej, na grubej kobyle, siedział brat Ambrose w podróżnym habicie. Do siodła miał przytroczone juki. Duncan udzielał mu ostatnich porad. Obaj z przerażeniem odwrócili głowy w stronę rozpędzonego jeźdźca.

Iain ściągnął wodze i zręcznie zeskoczył na ziemię. Odrzucił łuk i strzały, poklepał zmęczonego wierzchowca i podszedł do Duncana.

Masztalerz zdążył już odzyskać rezon. Dał krok w kierunku Iaina i wsparł się pod boki

- Najwyższa pora... - zaczął.

Młodzieniec rzucił mu niechętne spojrzenie, przeszedł obok i zatrzymał się dopiero przed klaczą. Popatrzył zakonnikowi w oczy i dojrzał w nich przerażenie. I nic dziwnego. Brat Ambrose miał się czego obawiać.

Iain bezceremonialnie złapał go za habit, ściągnął z siodła i rzucił na ziemię. Wystraszony mnich czołgał się piachu. Iain pochylił się i silnym szarpnięciem postawił go na nogi.

- No dobrze, klecho, gadaj prawdę!

Brat Ambrose zerknął na Duncana, jakby u niego szukając pomocy, ale masztalerz stał bez ruchu i gładził się po siwej brodzie.

- Alena! - ryknął Iain i stuknął mnicha palcem w pierś tak mocno, że tamten zatoczył się do tyłu. - Alena Todd z klanu Grantów! Córka masztalerza.

Hamish i Will wpadli na podwórko stajni. Chcieli podbiec do Iaina, ale odprawił ich ruchem dłoni. Nie spuszczał wzroku z zakonnika.

Brat Ambrose drżał jak osika.

- Nie... nie znam jej.

Iain chwycił go za kark i pociągnął ku sobie. Stali teraz twarzą w twarz. Młodzieniec wycedził groźnym tonem, z trudem panując nad wściekłością:

- Mów, nieszczęsny, bo inaczej spotkasz się ze swoim Stwórcą.

Brat Ambrose niemal zemdlał, kiedy Iain położył dłoń na rękojeści sztyletu.

- Dobrze! Dobrze! - zapał. - Wszystko ci powiem! Hamish i Will podeszli bliżej i stanęli obok Duncana. Gavin, który miał odprowadzić konia Iaina do stajni, puścił wodze i dołączył do grupy słuchaczy.

- Za... zaniósłem wieści jej rodzicom. Zrobiłem to na prośbę Gavina. Powiedziałem im, że jest bezpieczna... tu - taj... z wami. - Brat Ambrose rzucił okiem na syna masztalerza i szybko spojrzał w ziemię.

- To nie wszystko - nie ustępował Iain. - Wiem, że coś jeszcze przede mną ukrywasz. O co chodzi?

- Grant zamierza żenić się wbrew woli oblubienicy. Wybrał dziewczynę ze swojego klanu. Ślub wyznaczono na dzień świętego Jana. Nie wiem, ale może to właśnie Alena?

Iain szeroko otworzył usta.

- W dzień świętego Jana? Przecież to już jutro!

- Pewnie, że jutro, ty tępaku! - Duncan splunął przez zęby. Jego oczy ciskały błyskawice. - Próbowałem ci o tym powiedzieć, ale zachowałeś się jak szaleniec! Przez swój głupi upór straciłeś następne trzy godziny! Iain odwrócił się do niego.

- Wiedziałeś! Wiedziałeś, że jej rodzice pochodzą z klanu Grantów! Dlaczego mnie oszukiwałeś? - Rzucił mordercze spojrzenie na Gavina. - A ty?

Chłopak wzruszył ramionami i uciekł spojrzeniem w bok.

- Znałem ją - przytaknął Duncan, mierząc wzrokiem Iaina. - Błagała jednak, żebym jej nie zdradził. Chciała ci to powiedzieć sama, na swój sposób i w odpowiednim czasie. Na jej prośbę przesłałem wiadomość jej rodzicom. Aż do wczoraj nic nie wiedziałem o nieuczynnych planach Granta. A potem było już za późno. Wszystko się potoczyło w tak błyskawicznym tempie - urwał, spuścił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ziemię. - Zawiodłem cię, mości panie. Powinienem od razu przyjść z tym do ciebie.

Iain zacisnął pięści. Z trudem nad sobą panował. Wreszcie klepnął Duncana w ramię.

- Było, minęło - powiedział cicho. - Sam sobie jestem winny. A teraz idź. Znajdź mi świeżego konia. Najszybszego, jaki jest w stajni.

Odwrócił się do Hamisha i Willa, ale Duncan chwycił go za rękę.

- To jeszcze nie wszystko, mości panie.

- Jak to nie wszystko?!

Duncan zawahał się. Wszyscy patrzyli na niego.

- Mówże, człowieku!

Stary sięgnął za pazuchę i wyjął zwinięty pergamin. Wcisnął go w dłoń Iaina.

- Widziałem, jak to schowała w stercie siana.

Iain nie musiał nawet patrzeć do środka. To był ślubny kontrakt, na mocy którego mógł zostać mężem Elizabeth Macgillivray. Zmiał pergamin w garści i rzucił na ziemię.

- Will! - warknął. - Idź i znajdź mojego wuja. Hamish! Zbierz ludzi. Wszystkich, jacy są pod bronią. Mackintoshów i Davidsonów. Pora ruszać,

- Tak jest, mości panie - odpowiedzieli chórem i biegiem popędzili wykonać rozkazy.

Iain zawrócił w stronę domu.

- Mości panie! - zawołał za nim Hamish. - Dokąd jedziemy?

Iain obejrzał się przez ramię.

- Do zamku Glenmore - rzucił krótko.

Na pomarszczonej twarzy Hamisha zagościł niemal chłopięcy uśmiech. Olbrzym wyrwał miecz z pochwy i wysoko uniósł go nad głowę.

- Cudownie! - ryknął i pognał do koszar.

Iain wpadł do domu i pobiegł po schodach na górę, do swojej komnaty. Drzwi były otwarte. W progu niemal zderzył się z Hetty.

Dziewczyna odskoczyła z krzykiem. W jej oczach błysnęło przerażenie. W głębi sypialni stała Edwina, gniewnie podparta pod boki, łypiąc ponuro na swojego pana.

- Co tu się dzieje, do diabła? - burknął Iain.

Dopiero teraz zauważył, że ktoś zdjął pościel z łóżka. Hetty kulila się z naręczem futer. Edwina spojrzała wymownie na plamy krwi, wyraźnie widoczne na lnianym prześcieradle.

- Wynocha! - krzyknął Iain.

Hetty zniknęła jak zdmuchnięta. Edwina z lekką pogardą popatrzyła na Iaina i powoli, niemal dostojnie opuściła komnatę.

Iain klęknął przy skrzyni. Z rzeczy wyrzuconych z puzderka wyłuskał ojcowski złoty pierścień. Patrzył na niego przez chwilę, po czym wsunął pierścień na palec. Jednym szybkim ruchem zgarnął na podłogę resztę przedmiotów leżących na kufrze.

Od jedenastu lat nikt nie podnosił wieka.

Odsunął skobel i otworzył kufer. Zajrzał do środka. Na samym wierzchu leżał zakrwawiony pled - ten sam, który miał na sobie Colum Mackintosh w dniu, w którym zginął z ręki Reynolda Granta. Iain przesunął ręką po szorstkiej wełnianej tkaninie, poczemniałej i sztywnej. Odłożył ją na bok.

Na dnie skrzyni błysnęło coś metalicznie. Iain zacisnął dłoń na rękojeści ojcowskiego miecza, z namysłem zważył go w dłoni i wyjął z kufra.

Na ten dzień czekał całe dorosłe życie.

Z miłości do matki i młodszych braci musiał zapomnieć o dumie i przyjąć gościnę u wuja. Żył więc pod dachem Davidsonów, czekając na odpowiednią chwilę. Były to lata ciężkiego treningu, poświęceń i wyrzeczeń.

Był Mackintoshem. Teraz przyszła pora, ażeby zebrać rozproszone niedobitki klanu i zniszczyć wroga. Pora, by odzyskać zamek Findhorn, ojcowiznę i dzielną dziewczynę, która miała zadatki na równie dzielną żonę.

Moją żonę, pomyślał Iain.

Ścisnął miecz i poczuł, że krew burzy mu się w żyłach.

- Na Boga! - powiedział na głos. - Odzyskam ją i niech nikt, kto choć trochę dba o swoją głowę, nie próbuje wchodzić mi w drogę!

W drzwiach komnaty stanął zdyszany Alistair.

- Uciekła?

- Tak. - Iain wyciągnął miecz z pochwy i rzucił go na łóżko. Na jego miejsce przypasał ojcowski.

Alistair poważnie popatrzył na siostrzeńca.

- W takim razie, chodź ze mną. Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Przez gęstą zasłonę liści prześwitywały pierwsze promienie, wstającego słońca. Jasne plamki tańczyły na poszyciu lasu. Miniona doba wydała się Alenie najdłuższą w jej dotychczasowym życiu. Dziewczyna gnała dzień i noc w stronę zamku Glenmore. Teraz była już blisko celu.

Brak snu i długa jazda dały jej się we znaki. Karosz też był zmęczony, chociaż nadal szedł równym i sprężystym krokiem.

Od godziny Alenie towarzyszył oddział zbrojnych jeźdźców. Rozpoznała w nich ludzi ze swojego klanu. Jechali w zasięgu wzroku, nie próbując się zbliżyć. Kierowali nią jednak jak zagubioną owcą. Nie pozwolili jej skrócić do stajni, do rodziców. Niespiesznie, ale z uporem spychali ją ku zamkowi -

Do Reynolda Granta.

Teraz potrzebowała całej odwagi i siły, która jej jeszcze pozostała. Nie mogła sobie pozwolić nawet na odrobinę słabości. Nie wolno jej okazać strachu. Mam coś, czego pragnie Grant, pomyślała. Nie wiem co, ale to daje mi nad nim przewagę. Dzięki temu ocaleję rodziców.

Oraz Iaina.

W gruncie rzeczy to właśnie dla niego przejechała przez bramy piekła, aby stanąć przed obliczem diabła. Roześmiała się niewesoło.

Przed nią zamajaczyła ponura baszta zamku Glenmore. Na długo przed spotkaniem z oddziałem zbrojnych Alena zatrzymała się nad strumieniem, żeby napić karosza i zmienić strój do konnej jazdy na żółtą suknię - tę samą, w której niegdyś uciekała przed Grantem.

W pobliżu zamku zbrojni podjechali bliżej. Stali się jakby jej eskortą. Znała ich, więc nieśmiało uśmiechnęła się na powitanie. Tylko jeden odpowiedział jej uśmiechem. Pozostali, o twarzach zastygłych w nieruchome maski, tępo patrzyli przed siebie.

Wjechała na podzamcze. Wszędzie widziała przygnębione miny i posępne spojrzenia. Dawny naczelnik klanu, John Grant, zmarł zaledwie przed kilkoma miesiącami, lecz ludzie już odczuwali ciężar tyrańskich rządów Reynolda.

Raz, przypadkiem, podsłuchiwała rozmowę Gavina z Duncanem na ten temat. Wieści przynieśli wędrowcy, podróżujący leśnym traktem. Duncan nie wspomniał jej o tym, więc go nie wypytywała. Wolała wszystkiego nie wiedzieć.

O wiele lepiej tu się żyło za starego Johna, lecz teraz nie było czasu na próżne żale. Nadeszła godzina próby.

Gdzieś w pobliżu zadźwięczała stal. Alena drgnęła, wyrwana z niewesołych rozmyślań. Zauważyła, że tuż pod basztą, w rogu dziedzińca, zgromadził się spory tłumek. Uderzyła piętami w boki konia i przecisnęła się przez ciżbę. Ze względu na porę dnia nie była przygotowana na to, co zobaczyła.

- Jezu - szepnęła ze zgrozą.

Reynold Grant stał z mieczem w ręce, zdyszany, nagi do pasa i ociekający potem. W drugiej dłoni ścisnął sztylet. Jasne włosy opadały mu na ramiona, z wyjątkiem kilku mokrych, przyklepionych do czoła kosmyków. Wyglądał teraz jak ucieleśnienie groźnego wojownika. Gdyby Alena go nie znała lepiej, mogłaby uznać go nawet za przystojnego.

Kilka kroków za Reynoldem leżał w pyłe jakiś starszy człowiek - nawet nie zbrojny, ale zwykły kmieć. W rękach trzymał potrzaskaną drewnianą tarczę. Z jego oczu wyzierało bezgraniczne przerażenie.

Alena zebrała się na odwagę i ściągnęła wodze. Karosz stanął. Reynold uśmiechnął się złośliwie na jej widok. Dziewczyna przesunęła spojrzeniem po ciemnoczerwonej bliźnie na jego twarzy. Przypomniała sobie ich poprzednie spotkanie i odruchowo położyła rękę na wiszącym u pasa sztylecie.

Z tłumy wyłonił się Perkins.

- Brać ją! - krzyknął. Konni podjechali bliżej.

- Nie! - zawołał Reynold. Schował miecz i rzucił sztylet na ziemię. - Niech sama podjedzie.

Alena z trudem zapanowała nad wstrętem i zdenerwowaniem. Zręcznie manewrując koniem, podjechała do Reynolda.

Przechylił głowę i przyjrzał jej się z zimną satysfakcją.

- A więc wróciłaś?

- Owszem - odparła.

- Wiedziałem, że to zrobisz. Mądra z ciebie dziewczyna. Jak im uciekłaś?

Wśród gapiów zapadła cisza jak makiem zasiał. Słysząc było jedynie śpiew ptaków i odległe szczekanie psa. Alena pominęła milczeniem pytanie Granta.

Reynold uśmiechnął się złośliwie. Podeszedł do niej. Śmierdział krwią i potem. Alenie zebralo się na mdłości.

- Nieważne - rzekł. - Wystarczy, że jesteś tutaj. Będzie z ciebie urocza panna młoda. - Zerknął na ogiera i przesunął ręką po jego boku. Koń parsknął niecierpliwie. - Wspaniałe zwierzę - zauważył Reynold. - To prezent ślubny? Może od samego Iaina Mackintosha?

Alena ściągnęła wodze i o mało nie zakłęła. Reynold spojrzał jej prosto w oczy.

- Ślub jest dzisiaj.

Zacisnęła zęby, kiedy wsunął spoconą dłoń pod jej spódnicę i pogłaskał ją po nagiej łydce. Nie poruszyła się. Chociaż była naprawdę przerażona, nie chciała okazywać strachu.

- Co z moimi rodzicami? - spytała. - Nic im się nie stało?

- Ależ skąd! - roześmiał się Reynold. - Można powiedzieć, że porastają w tłuszcz i piórka. Pewnie nic się nie zmieni, skoro jesteś tutaj.

Dzięki Bogu! Uspokoila się nieco.

- Chciałabym spędzić z nimi dzisiejsze popołudnie. Oczywiście, za twoim przyzwoleniem. Potem możesz uczynić ze mną, co ci się podoba.

- Nie omieszkam.

Tym razem Alena nie zdołała zapanować nad zdenerwowaniem. Z przerażeniem spojrzała na Reynolda. Musiał to zauważyć, bo zaśmiał się diabolicznie.

- Nie jestem potworem. Milczała.

- Proszę bardzo. Jedź do rodziców. Bądź u mnie o zmierzchu. Pewien kapłan przybędzie z Inverness, by udzielić nam błogosławieństwa i ślubu. Przyślę ci odpowiednią suknię.

- Mam suknię - Pokazała na siebie.

- Tę szmatę? Nie próbuj mnie obrażać. Włóżysz to, co ci wybrałem. A teraz jedź już.

Odwrócił się i dobył miecza. Zimna stal błysnęła w słońcu. Popatrzył na skulonego kmiecia, opartego o kamienny mur baszty i osłaniającego się potrzaskaną tarczą.

- Muszę poćwiczyć.

Alena pochyliła się nad końskim grzbietem i oburącz chwyciła gęstą grzywę ogiera. Nie chciała być świadkiem „ćwiczeń”, ale przedtem musiała się jeszcze dowiedzieć czegoś ważnego dla niej i dla Iaina.

- Chwileczkę! - krzyknęła. - Wciąż czegoś nie rozumiem.

Reynold zatrzymał się, odwrócił głowę i popatrzył na nią z rozbawieniem zmieszonym z politowaniem.

- Pytaj zatem. Nie będę tu sterczał godzinami. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego ja? - zapytała.

Wyraźnie go to zaskoczyło. Oddał broń Perkinsowi i wrócił do Aleny. Stał tak blisko, jakby chciał pokazać, że nie kłamie.

- Nie udawaj. Na pewno znasz już całą prawdę. Wszystko się wydało.

Zatem słusznie podejrzewała! Sztylet z wykładaną klejnotami rękojeścią był jej atutem. Teraz musiała mądrze rozegrać tę partię.

- Chodzi o to, co mam?

Reynold zmarszczył brwi.

- Co masz? Nie, dziewczyno. Chodzi o to, kim jesteś. Kim jestem? - powtórzyła w myślach. O czym on mówił?

- Nie rozumiem.

Roześmiał się, widząc jej zmieszanie.

- Pochodzisz z rodu Angouleme, najszlodsza. Jesteś szlachetnie urodzoną córą Francji.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTO

- Angouleme? - Alena z niepokojem popatrzyła na sterane życiem twarze rodziców, to znaczy ludzi, których zawsze uważała za swoich rodziców.

Robert Todd wyjrzał przez okno chaty na strażników, przybyłych tu z Aleną. O zachodzie słońca mieli ją zabrać z powrotem do zamku. Burknął coś pod nosem i zaciągnął zasłonę.

- To, to prawda - westchnął. - Twoje prawdziwe imię brzmi Alena Angouleme, córka Beatrix. Nie uciekniesz przed tym, dziewczyno.

Alena pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Przecież to ty jesteś moim ojcem! - zawołała bezradnie.

- Nie, ma petite - odezwała się Madeleine Todd. - Twój ojciec, to znaczy Robert, na pewno nie kłamie.

A jeśli nawet, to co z tego? Nie wiedziała nic o polityce. Niewiele poznała świata poza ziemiami swojego klanu, no i ostatnio Davidsonów. Spojrzała na obszywaną złotem fioletową suknię, starannie rozwieszoną przy kominku, prezent od Reynolda.

- W gruncie rzeczy to nie ma najmniejszego znaczenia - powiedziała. - Wiecie, dlaczego wróciłam. - Wskazała na suknię.

- Nie wolno ci! - Piękne oczy Madeleine zaszkliły się łzami. - To potwór!

- Muszę - odparła Alena i przeniosła spojrzenie z zatroskanej twarzy matki na posępne oblicze ojca. - Tylko w ten sposób mogę zapewnić wam bezpieczeństwo.

- Już jesteśmy bezpieczni - powiedział Robert. - Nie musisz się poświęcać.

Alena wyciągnęła dłoń nad stołem i ujęła jego spracowaną rękę.

- Nic nie rozumiesz, ojcze. Muszę poślubić Reynolda. Jeśli tego nie zrobię - dokończyła, z trudem panując nad drzeniem głosu - to wyrzuci was z klanu Grantów. Ciebie i mamę. Poza tym... są jeszcze inne powody, dla których nie zmienię decyzji.

Przed oczami na moment mignęła jej twarz Iaina i poczuła ukłucie w sercu. Boże, daj siły, błagała w duchu.

Robert Todd trząśnięt jak osika. Puścił dłoń Aleny i uderzył w stół mocno zaciśniętą pięścią.

- Wyrzuci? Nas? Od czterdziestu lat jestem masztalerzem, a dużo dłużej zaliczałem się do przyjaciół jego zmarłego wuja. Ma nas wyrzucić?!

Alena pokiwała głową.

- Tym ci zagroził? - Oczy Roberta pałały ogniem. - I dlatego właśnie wróciłaś?

- Tak. Prawdę mówiąc, moglibyśmy stąd wyjechać i zamieszkać gdzie indziej. - Pomyślała o Iainie i dobroci, jakiej zaznała od Mackintoshów i Davidsonów. - Lecz teraz także z pewnych innych względów muszę przystać na to małżeństwo.

Wstała od stołu.

Matka popatrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami. Czegoś się bała. Chwyciła męża za rękę i spojrzała na niego. Porozumieli się wzrokiem, jakby w milczeniu podejmowali jakąś ważną decyzję.

W przeszłości zdarzały już się takie sytuacje. Alena z niepokojem czekała na to, co będzie dalej. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Robert Todd przemówił pierwszy, cichym, ale stanowczym głosem.

- Nie musisz za niego wychodzić. W rzeczy samej, jesteś córką rodu Angouleme, lecz to jeszcze nie wszystko.

- Chodzi ci o mojego ojca?

Skinął głową.

Alena nie miała odwagi zapytać o to wcześniej. I tak z trudem przyjęła wiadomość o matce. Jedna tajemnica wystarczy, pomyślała. Teraz, widząc pobladłe twarze swoich przybranych rodziców, jeszcze bardziej bała się prawdy.

- Kto to?

Robert namyślał się przez chwilę.

- John Grant - powiedział w końcu.

Niewielka izba zawirowała przed oczami Aleny. Dziewczyna szybko wsparła ręce na stole, żeby nie opaść na podłogę.

- Jak to możliwe?

Robert Todd wyglądał tak, jakby w ciągu kilku sekund postarzał się o całe lata.

- Siadaj - rzekł do Aleny. - Chyba najwyższa pora, abyś poznała całą prawdę.

Madeleine podniosła się z ławy i podprowadziła Alenę do krzesła. Pomogła jej usiąść. Potem podeszła szybko do kominka. Z niemałym

wysiłkiem wyjęła szósty, licząc od dołu, kamień z obramowania paleniska i odsłoniła czerniejący schowek.

Alena z rosnącym przerażeniem obserwowała te zabiegi. Madeleine zaś podała jej wyciągnięty ze skrytki pożółkły pergamin. Alena drżącą ręką rozwinęła rulon.

- Czytaj - polecił Robert.

- To są dwa dokumenty, ma petite - dodała Madeleine tonem wyjaśnienia. - Zwinięte razem.

Alena rozpostarła oba pergaminy na stole. Jeden został spisany po francusku, drugi po gaelicku. Zaczęła czytać ten drugi.

Ledwie jednak dojrzała do drugiego zdania, łzy napłynęły jej do oczu. Ogarnęło ją wzruszenie.

- To dokument pisany ręką Johna Granta! - zawołała z niekłamanym zdumieniem. - Pod spodem figuruje jego podpis i pieczęć!

Otarła łzy i uniosła głowę. Ze zmieszaniem spojrzała na Roberta i Madeleine.

- Tutaj wyraźnie stoi, czarno na białym, że John Grant był moim ojcem. - Ciągle nie chciała w to uwierzyć. - Nie, to niemożliwe.

Robert Todd także miał łzy w oczach. Zacisnął pomarszczoną dłoń na ręce przybranej córki.

- To wszystko prawda. John Grant był twoim ojcem i moim przyjacielem. Sporządził ów dokument w dniu, w którym sam poznał całą prawdę. Tak na wszelki wypadek, powiedział. Jako zabezpieczenie. Sama wiesz, co się stało potem.

- Ale... - Cofnęła rękę i odwróciła się do kobiety, którą przez całe życie uznawała za rodzoną matkę. - Co to znaczy? - Dostała mdłości ze zdenerwowania. - Mamo? Madeleine dzielnie walczyła z płaczem.

- Przeczytaj drugi dokument, ma petite - powiedziała cichym, roztrzęsionym głosem.

Alena szybko przejrzała treść drugiego pergaminu. Spojrzała na podpis i pieczęć.

- Beatrix d'Angouleme - szepnęła. - A więc to prawda.

- Twoja maman - również szeptem dodała Madeleine. Słowo po słowie przeczytała cały dokument, tłumacząc go z francuskiego.

- „córka, Alena, jest jedyną spadkobierczynią całego mojego majątku i wszystkich posiadłości". To ty, ma petite. Twoja maman

napisała to na łożu śmierci, niecałą godzinę po twoim narodzeniu. Byłam jej pokojówką, przyjaciółką i powiernicą.

Alena przez dłuższą chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Uparcie kręciła głową, lecz nie dało się przecież zaprzeczyć oczywistej prawdzie.

- Opowiedzcie mi o niej - poprosiła. - Opowiedzcie mi o... mojej matce.

- Była bardzo piękna - odparła Madeleine. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- O, tak - natychmiast potwierdził Robert. - A twój ojciec, John, pokochał ją od pierwszego wejrzenia. To było ponad dwadzieścia lat temu, w czasie naszej wspólnej podróży do Francji, na dwór Filipa Drugiego. Pierwsza żona Johna, czyli matka Henry'ego, zmarła w rok po urodzeniu syna.

Alena słyszała już tę historię, kiedy była małą dziewczynką. Nieraz zastanawiała się, dlaczego John Grant nigdy nie ożenił się po raz drugi. Dopiero teraz miała poznać odpowiedź.

- John zabrał mnie ze sobą. Chcieliśmy kupić stado koni, hiszpańskich arabów, sprzedawanych przez kupców z Angouleme.

- Tam także po raz pierwszy spotkałam twojego ojca - dorzuciła Madeleine. - To znaczy Roberta.

- A John Grant poznał Beatrix d'Angouleme. Od lat służyłem na jego zamku. Dorastaliśmy razem. Mój ojciec był masztalerzem u jego ojca i prowadził tutejszą stajnię. A John... Cóż, nigdy przedtem nie widziałem go tak zakochanego. Nawet we własnej żonie. Miał już po trzydziestce, gdy spotkał twoją matkę. Ona liczyła wówczas dziewiętnaście wiosen.

- Tak jak ja - szepnęła Alena.

- Owszem, ale ty chyba jesteś od niej jeszcze piękniejsza. Masz jej włosy, koloru złota i sięgające niemal do pasa, ale oczy, zielone jak u kota, odziedziczyłaś po Johnie.

Alena odruchowo przesunęła pomiędzy palcami kosmyk swoich włosów. Rzeczywiście, wcale nie była podobna do Roberta i Madeleine. Dawno zauważyła tę różnicę. Jej przybrani rodzice byli drobnej budowy i ciemnowłosi. Ona o wiele bardziej przypominała Johna Granta... albo Reynolda. Kuzyna.

Wzdrygnęła się.

Madeleine przysunęła się bliżej do Aleny, jakby chcąc jak najszybciej podzielić się z nią resztą wiadomości.

- Twoi rodzice bardzo się kochali. Ona jednak była narzeczoną bogatego hrabiego, człowieka, który miał dużą władzę i wpływy w całej Francji. Choć miała tytuł i rozliczne dobra, nie mogła się sprzeciwiać woli własnego ojca. Wymykała się zatem na potajemne schadzki z Johnem Grantem. Robert i ja nieraz przynosiliśmy ich miłosne listy.

- Właśnie - uśmiechnął się Robert. - I w końcu sam cię pokochałem, Maddy.

Madeleine zaczerwieniła się.

- Beatrix postanowiła posłuchać ojca i wyjść za hrabiego. Potem jednak okazało się, że jest w ciąży. Wysłano ją na prowincję, aby w tajemnicy urodziła dziecko. Towarzyszyłam jej na tym wygnaniu. Jej rodzice bardzo się na nią gniewali, bo nie chciała zdradzić, kto jest ojcem. Przyszłaś na świat parę miesięcy później.

- A... moja matka?

- Zmarła zaraz po porodzie. - Madeleine zrobiła krótką przerwę, aby dać Alenie nieco czasu do zastanowienia. - Bałam się o ciebie, ma petite. O to, co się z tobą stanie. Wiem, że postąpiłam głupio.

- Nie do końca - sprzeciwił się Robert.

- Zabrałam cię i uciekłam. Przeprowadziłam się przez Kanał i już z Anglii wysłałam list do Roberta. On zaś powiedział o tym Johnowi i tak przybyłam właśnie tutaj!

Alena głośno westchnęła. Dobrze przynajmniej, że się mnie nie wyparł, pomyślała. To sprawiło jej niewielką ulgę.

- Nie - sprostował Robert. - John niemal do końca nic o tobie nie wiedział. Powiedziałem mu to dopiero kilka miesięcy temu.

- Co takiego?! - Alena miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Kręciło jej się w głowie.

- Utrzymałam to wszystko w tajemnicy. - Madeleine znowu chwyciła ją za rękę. - Obawiałam się, że cię stracę, ma petite. Przrzekłam twojej matce, że do końca życia nie dam ci zrobić krzywdy i że zawsze będę się tobą opiekować. Alena z uczuciem pogłaskała ją po policzku.

- I tak było.

- W liście, który nadszedł z Anglii, Madeleine skłamała, że jesteś jej dzieckiem - dodał Robert - Od razu sobie pomyślałem...

- ...że jestem twoją córką! Skinał głową.
- I przez te wszystkie minione lata?
- Nie mówiłam o tym nikomu - przyznała Madeleine. - To było...
- To dopiero było niemądre, Maddy - wpadł jej w słowo Robert. - Bardzo niemądre. Ale nie można cię za to winić.
- Kochałam cię - rozplakała się Madeleine. Alena chwyciła ją w ramiona.
- A ja ciebie. Was oboje.
- Robert przyjechał do Anglii i zabrał nas - mnie i ciebie - do Szkocji. Ślub odbył się jeszcze tego samego dnia, w którym przybyliśmy do zamku Glenmore.
- A ty opowiadałaś mi tysiące razy, że mogłaś wyjść za najznamienitszych parów Francji. - Alena uśmiechnęła się przez łzy.
- To szczerą prawdą, ma petite, ale żaden z nich nie zawładnął moim sercem tak bardzo jak Robert Todd, masztalerz szkockiej stajni Grantów. A ty? Ty jesteś jak moje własne dziecko... kość z mojej kości. Zawsze myślałam o tobie jak o własnej córce.
- A John Grant? - zapytała Alena. - Przez te wszystkie lata o niczym nie wiedział - nawet o tym, że jest moim ojcem.
- John Grant był naprawdę dobrym człowiekiem. Toddowie nigdy nie zaznali od niego nic złego. Wręcz przeciwnie, uważał ich za przyjaciół. Na moment zatopiła się we wspomnieniach.
- Dowiedział się, dowiedział - ciężko westchnął Robert.
- W dniu twoich dziewiętnastych urodzin, Maddie przyszła do mnie i wyznała mi wszystko. Ja z kolei zaraz pobiegłem do Johna z kopią dokumentu, który masz przed sobą. - Wskazał na pergamin spisany po francusku. - Tej samej nocy John Grant zginął.
- Alena przypominała sobie niejasne okoliczności zbrodni. Zaraz, zaraz... W gruncie rzeczy istniało tylko jedno rozsądne wytłumaczenie.
- Reynold wiedział! Podszluchał was i potem...
- Zabił własnego wuja. - Robert pokiwał głową. - Niestety, nie ma na to wyraźnych dowodów. Możemy się tylko domyślać. Podejrzewam, że po prostu nie chciał, aby wuj stał mu na drodze do ślubu z tobą.
- Zabił go? Zamordował z zimną krwią swojego...
- Twojego ojca - wtrącił Robert. To było zbyt okropne.

- Sama widzisz, ma petite, że nie powinnaś za niego wychodzić. -
Madeleine otarła łzy i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie teraz.

- Tak, to prawda.

- Trzeba stanąć przed radą starszych - podsumował Robert i podniósł się od stołu. - Opowiemy im o wszystkim i pokażemy dokumenty. Oni już zdecydują, co począć z tym fantem.

Alena zwinęła oba pergaminy i ukryła je w fałdach sukni.

Dzisiaj wypadało świętego Jana. Do zmierzchu pozostało kilka godzin. Mimo zmęczenia i niewyspania, nie zamierzała tracić czasu na próżny wypoczynek.

Wcale nie chciała być szlachcianką, ani francuską, ani szkocką. O wiele bardziej wolałaby nie wiedzieć o niczym i żyć spokojnie w stajniach, u boku ludzi, których zawsze uważała za swoich rodziców. Wolałaby trenować konie i czuć się przydatna rodzinie i członkom klanu. I tylko w najgłębszym zakątku serca pragnęła czegoś więcej - ale wiedziała, że to niemożliwe.

Iain znienawidziłby ją, gdyby poznał prawdę! Co za ironia losu. Alena roześmiała się przez łzy. Przecież gdyby ją poślubił, wszedłby w trwałą sojusz z dumnym i potężnym klanem, którego wojsko liczyło bez mała tysiąc wojowników.

Z klanem Grantów.

Poślubiłby Alenę Grant, kuzynkę swego największego wroga.

Oczywiście, jak to się zdarza w podobnych przypadkach, nic nie poszło zgodnie z planem. Godzinę później Alena jechała na czarnym ogierze w stronę zamku Glenmore, otoczona przez ludzi Reynolda. Robertowi i Madeleine Todd nie pozwolono towarzyszyć córce.

Dzień był pogodny i chłodny. W leśnej gęstwinie unosił się mocny zapach wrzosu. Alena miała na sobie prostą, wełnianą suknię. Wyglądała w niej bardzo skromnie. Włosy, splecione w luźny warkocz, opadały jej na jedno ramię. Odruchowo poprawiła mały sztylet, zawieszony w pochwie u pasa, i dotknęła pergaminów, ukrytych w fałdach sukni.

Przez pewien czas jechali w zupełnym milczeniu. Wreszcie dowódca oddziału zbliżył się do niej i powiedział:

- Pani, nie włożyłaś sukni przysłanej ci przez naczelnika klanu.

- Nie - odparła krótko.

Zbrojny uśmiechnął się pod wąsem.

- Nie będzie zadowolony.

- W to nie wątpię. Ale to nieistotne, bo ślub się nie odbędzie.

Uniósł brwi w geście zdziwienia, ale nie pytał o nic więcej.

Jej zachowanie było zuchwałe, lecz wynikało z potrzeby chwili. Przecież musiała znaleźć kogoś, kto stanąłby po jej stronie. Znała tego człowieka. Był kapitanem w gwardii Reynolda. A może on by się nadawał?

- Zwą cię Owen, prawda? - zapytała. - Jesteś kapitanem. W jego oczach błysnęło zaskoczenie, ale uśmiechnął się z zadowoleniem, że go rozpoznała.

- Tak, pani.

- Od jak dawna służysz naczelnikowi?

- To znaczy Reynoldowi? Przytaknęła.

- Niezbyt długo. Od śmierci dawnego pana. Żal mi go, niech spoczywa w pokoju. To był wspaniały człowiek.

- To prawda.

- Zanim umarł, należałem do jego gwardii przybocznej. Teraz służę siostrzeńcowi.

Alenie wydawało się, że wyczuła w jego głosie odcień niechęci wobec Reynolda. Postanowiła dążyć dalej.

- A co myślisz o nowym panu? - Spojrzała mu prosto w oczy, oczekując szczerzej odpowiedzi.

Owen przysunął się jeszcze bliżej.

- Sama go widziałas dzisiaj podczas „ćwiczeń”, pani. Jak mamy go kochać, czcić i podziwiać?

Lekki uśmiech zadrgał w kącikach ust Aleny. Owen nie spuszczał z niej wzroku.

- A gdyby ktoś podważył jego pozycję w rodzie i uzyskał poparcie rady starszych? - spytała. - Przystałbyś na tę zamianę?

Spojrzał po twarzach swoich podkomendnych. Żaden z nich nawet nie zerknął w ich stronę. Jechali w zupełnym milczeniu. Na pewno słyszeli ich rozmowę, ale Owenowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Przystałbym bez wahania - oznajmił stanowczo. - Sporo się o tym mówi wśród członków naszego klanu.

- Naprawdę? - ucieszyła się Alena. Ośmielona słowami Owena, wyjęła dokumenty. - A gdyby tak John Grant miał jeszcze jedno dziecko oprócz Henry'ego? Stanąłbyś po stronie pretendenci?

Owen zmrużył oczy.

- Tak.

Alena podała mu pergamin spisany po gaelicku. Francuską wersję schowała z powrotem. Owen powoli rozwinął dokument.

Czytał przez dłuższą chwilę. Kiedy spojrzął na podpis i pieczęć, zachwiał się i omal nie spadł z konia. Ze zdumieniem popatrzył na Alenę.

Podjechała do niego i złapała go za ramię.

- Pomożesz mi?

Jego silna ręka, okryta rękawicą, spoczęła na jej małej dłoni.

- Będę cię bronił, milady, nawet za cenę życia - odparł poważnym tonem. - Lecz co zamierzasz uczynić?

Alena zmarszczyła brwi i starannie ukryła pergamin.

- Jeszcze nie wiem. Nie bardzo umiem przewidzieć, co się stanie, gdy powiem Reynoldowi prawdę o moim pochodzeniu.

- Moim zdaniem, nie będzie tym zachwycony.

- Muszę dotrzeć do rady starszych. Oni już będą wiedzieli, co w tej sytuacji należy zrobić.

- Zwołali spotkanie na dzisiaj, w wielkiej sali!

Alena przynagliła ogiera do szybszego biegu. Owen i jego ludzie pogonili w ślad za nią.

- Znasz George'a Granta? - krzyknęła przez ramię. Owen popatrzył na nią z uwagą.

- Kuzyna Reynolda? - spytał. - W świetle ostatnich wydarzeń, to przecież także twój kuzyn, pani.

Pokiwała głową.

- Jest jeszcze młody - ciągnął Owen - ale po śmierci ojca, przed dwoma laty, przejął rodzinne dobra i wojsko złożone z co najmniej pięciuset wojowników. Prawdę mówiąc, od dawna myślał, żeby usunąć Reynolda.

- Myślisz, że stanąłby po mojej stronie? Owen spoważniał jeszcze bardziej.

- Myślę, że tak, pani. Nie musisz się niczego obawiać. Póki żyję, nie pozwolę zrobić ci krzywdy.

- Dzięki, Owenie. Jesteś dobrym człowiekiem.

Wieść o zamiarach George'a natchnęła ją otuchą. Resztę drogi przebyli w milczeniu. Alena czuła się o wiele pewniej w towarzystwie

Owena i jego zbrojnych. Chociaż z ust kapitana nie padł żaden rozkaz, zrozumiała, że ze strażników stali się jej obrońcami.

Główna brania zamku była szeroko otwarta. Wjechali na dziedziniec, kierując się w stronę wieży. Wkoło panowała przeraźliwa cisza. Na dziedzińcu kręciło się tylko kilku ludzi. Dwaj stajenni podbiegli do oddziału, żeby przytrzymać konie. Alena zeskoczyła z siodła, Owen uczynił to w ślad za nią.

- Nie rozkulbaczajcie ich! - zawołał do stajennych. - Mogą być nam potrzebne. - Chodźmy - zwrócił się do Aleny. - Pójdziemy razem.

Po kamiennych schodach weszli do zamkowej wieży. Przy drzwiach natknęli się na Perkinsa i ze dwa tuziny zbrojnych ze straży Reynolda.

- Pan jest na górze, w swoich komnatach - oświadczył Perkins. Podejrzliwie spojrzął na Owena. - Zaprowadzę cię - powiedział do Aleny.

- Ale...

Owen zerknął na nią.

- Świetnie - mruknął. - Pójdę tam z wami.

Ludzie Reynolda mieli przewagę nad jego małym oddziałem. W razie starcia, zwyciężyliby bez większego trudu. Jezu! - z przerażeniem pomyślała Alena. Jak ja się dostanę na posiedzenie rady?

Perkins szedł pierwszy po długich i krętych schodach, za nim Alena, a dalej Owen ze swoimi ludźmi i reszta strażników. Dziewczyna pamiętała tę drogę. Korytarz na górnym piętrze wiódł wprost do komnaty Reynolda.

- Może powinnam tam pójść sama? - spytała z udawaną bez troską.

- Nie, pani - natychmiast odpowiedział Owen. - Będę ci towarzyszył. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Wy zostaniecie tutaj. Miejcie oczy i uszy otwarte.

Zasalutowali słuźbiście. Perkins wyczuł, że dzieje się coś dziwnego. Zmrużył oczy i przez dłuższą chwilę spoglądał na Alenę, zanim zapukał w ogromne dębowe drzwi.

- Wejść! - zabrzmiał ze środka głos Reynolda.

Alena nacisnęła klamkę i weszła do komnaty. Perkins i Owen podążyli jej śladem.

Reynold siedział za stołem z kielichem w ręku. Trzech rostrych wojowników, nieznanych Alenie, stało nonszalancko opartych o przeciwległą ścianę. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę wchodzących.

Reynold wstał i wyszedł z za stołu. Zbliżył się do Aleny.

- Widzę, Owenie, że przyprowadziłeś moją narzeczoną - powiedział, obrzucając ją przeciągłym, niezbyt przyjaznym spojrzeniem.

- Tak, jaśnie panie - potwierdził Owen.

- Przybyliście o wiele wcześniej, niż się spodziewałem, ale to nic nie szkodzi - ciągnął Reynold. Uśmiechnął się. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Aleny. - Będę miał okazję lepiej poznać małżonkę, zanim jeszcze staniemy przed ołtarzem.

Alena spokojnie wytrzymała jego kpiące spojrzenie.

Reynold uniósł dłoń. Dziewczyna usłyszała za sobą ciche brzęknięcie stali. To pewnie Owen, pomyślała. Poza tym nikt się nie poruszył. Reynold przejechał palcem po jej policzku. Alena aż pobladała z gniewu i obrzydzenia.

- Dlaczego nie włożyłaś sukni, którą ci przysłałem? - spytał. Na chwilę groźnie zmarszczył brwi, lecz zaraz potem poweselał. - Zresztą nieważne. Mamy dość czasu, żebyś się przebrała. Natychmiast kogoś po nią poślę.

Przysunął się nieco bliżej. Alena dała krok do tyłu. Niemal w tej samej chwili drzwi rozwarły się z głośnym trzaskiem.

Do komnaty wpadł jakiś żołnierz. Od razu było widać, że jest prosto z drogi. Prawdopodobnie całą noc gnał do zamku.

- Jaśnie panie! - wydyszał z trudem. - Ktoś napadł na nasz patrol na zachodniej granicy. Wszyscy zginęli. Wczoraj w południe znaleźliśmy trupy dwunastu ludzi.

Reynold doskoczył do niego i chwycił go za kaftan.

- Kto to zrobił? - ryknął, mieniając się na twarzy.

- Nie wiemy, jaśnie panie. Po śladach można poznać, że napastników było co najmniej ze czterdziestu. Przybyli konno.

Reynold puścił go. Wystraszony żołnierz odstał o parę kroków.

- Znaleźliśmy też to.

Sięgnął do sakwy wiszącej u pasa i wyjął srebrną broszę z wizerunkiem kota wspiętego na tylne łapy.

Alena jak urzeczona wpatrywała się w znajome godło. Reynold odwrócił się do niej.

- Nasi sąsiedzi - warknął. - Mackintoshowie. Przypomnij mi, kochana żono, abym im podziękował za gościnę, jakiej ci udzielili.

Zawołał Perkinsa, który natychmiast się zjawił.

- Wszystko gotowe?

Perkins znacząco popatrzył na Alenę.

- Tak, jaśnie panie. Czterystu konnych zmierza do zamku Findhorn. Będą tam dużo wcześniej niż Mackintoshowie.

Serce zamarło w piersi Aleny.

- A cóż to za podstęp? - zapytała głucho.

Reynold parsknął złym śmiechem i stanął tuż przed nią, biorąc się pod boki.

- Chcesz mnie skarcić? - spytał kpiącym tonem. - Wiedz zatem, że przygotowałem gorące przyjęcie na cześć naszych sąsiadów. Zarezerwowałem im miejsce w piekle! - Roześmiał się na całe gardło. Zawtórował mu Perkins i wszyscy pozostali, łącznie z Owenem.

Alena poczuła, że rumieniec wypełza jej na policzki. Mocno zacisnęła pięści.

Reynold położył jej dłoń na ramieniu. Stała sztywno i zimnym wzrokiem popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak, tak - wycedził. - Słyszałem o ich zamiarach. Mackintosh chce odzyskać zamek Findhorn. Proszę bardzo. Ośmielił się rzucić mi wyzwanie? Przecież to czysta farsa. Swoich ludzi ma zaledwie garstkę, a gdyby nawet wziął zbrojnych wuja - zawiesił głos - ... i tak nas nie pokona.

Mieli zginąć. Iain, Hamish, Will i wszyscy pozostali. Widziała to po mściwym wyrazie jego twarzy. Jak go powstrzymać?

- Muszę... muszę na krótko wrócić do rodziców - wyjąkała. Odwróciła się, żeby odejść. - Jest jeszcze parę spraw...

Reynold chwycił ją za rękę.

- Nie, moja droga. Zostaniesz tutaj. Jeszcze się tobą nie nacieszyłem.

Szybko przyciągnął ją do siebie i zanim zdała sobie sprawę z jego zamiarów, wycisnął brutalny pocałunek na jej ustach.

Wyrwała się z jego ramion i zatoczyła do tyłu, prosto w ręce Owena. Poczzerwieniała z gniewu. Owen podtrzymał ją, żeby nie upadła, lecz poza tym nie dał żadnego znaku, że zamierza przyjść jej z

pomocą. Popatrzyła na niego. Odpowiedział jej chłodnym, beznamiętnym spojrzeniem. Nic nie umiała wyczytać z jego twarzy.

Reynold roześmiał się. Błyskawicznie wyciągnął rękę i wyrwał jej sztylet z za pasa. Rzucił go na podłogę.

- Tym razem nie będzie powtórki z naszego ostatniego spotkania, kochana żono - powiedział.

- Nie nazywaj mnie tak.

- A to dlaczego? Przecież zaledwie kilka minut dzieli nas od ślubu. - Odwrócił się do jednego ze zbrojnych podpierających ścianę.

- Sprowadź księdza.

Alena dumnie uniosła głowę, chociaż w głębi serca była śmiertelnie przerażona.

- W całej Szkocji nie znajdziesz duchownego, który połączyłby nas węzłem małżeńskim wbrew mej woli. Ani dziś, ani kiedykolwiek.

Obrzucił ją złym spojrzeniem.

- A to dlaczego, moja najmilsza? - Pogłaskał ją po włosach i ścisnął w dłoni gruby warkocz.

Alena popatrzyła mu prosto w twarz. Rzeczywiście, był do niej podobny. Miał te same wysokie kości policzkowe i prosty nos. Przypatrywała mu się z narastającym wstrętem. Lekko pociągnął ją za włosy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Bo jestem córką Johna Granta.

Przez kilka sekund jedynym dźwiękiem słyszalnym w komnacie było trzaskanie ognia na kominku i ciche pobrząkiwanie zbroi.

Reynold zamrugał oczami. Uśmiech zgasł mu na ustach.

Tu cię mam, pomyślała Alena. Reynold powoli zabrał rękę z jej włosów. Alena skorzystała z jego zmieszania i wyjęła ukryte w fałdach sukni pergaminy. Rzuciła mu je w pierś.

- To prawda, kuzynie.

Chwycił dokumenty, rozwinął je i przeczytał. Francuski tylko przebiegł oczami i odrzucił na bok. Przecież od dawna wiedział o jej francuskim pochodzeniu i koneksjach z dworem Filipa Drugiego. Właśnie dlatego chciał ją poślubić.

Nie wiedział jednak, że była córką jego własnego wuja.

Reynold czytał z pobladłą twarzą. Szeroko rozwartymi oczami spojrzał na podpis i jeszcze raz zabrał się do czytania. Teraz uczynił to już nieco wolniej. Potem podniósł wzrok na Alenę. Patrzył na nią z

gniewem i niekłamana zgrozą. Niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Nie - wyszeptał. - To wierutne kłamstwo.

- To szczerą prawdą. Przypatrz mi się uważnie. Zabrała mu oba pergaminy. Nie stawiał oporu. Szybko zwinęła je, schowała i spod oka zerknęła na Perkinsa. On już także znał treść dokumentu, bo czytał Reynoldowi przez ramię. Na jego kostropatej twarzy zajaśniał złośliwy uśmieszek.

- Teraz idę na zebranie rady - oświadczyła Alena. Odwróciła się, żeby odejść, ale Reynold znów chwycił ją za włosy i szarpnął ku sobie. Skrzywiła się z bólu. Rozpaczliwie spojrzała na Owena, szukając u niego pomocy. Kapitan zbrojnych błysnął oczami, dał krok w przód i ostrzegawczym ruchem położył dłoń na rękojeści miecza.

- To niczego nie zmienia - powiedział Reynold. Pociągnął ją w stronę stołu i rzucił na podłogę przed kominkiem. Alena upadła ciężko, aż jęknęła.

- Perkins! - warknął Reynold. - Znajdź tego przekłętą klechę! Reszta wynocha! Wszyscy z wyjątkiem ciebie. - Wskazał na Owena. - Chodź tu. Przytrzymaj ją. Nie chcę, żeby uciekła.

Alena rozglądała się ze strachem. Wstała z ziemi, a Owen zaszedł ją od tyłu i przytrzymał za ręce. Serce w niej zamarło. Dobry Boże, nie zamierzał jej pomóc? Dlaczego?

Reynold odpassał miecz i położył go za sobą na stole. Perkins i pozostali zbrojni szybko wyszli z komnaty.

- Teraz, kuzynko - syknął Reynold, podchodząc do Aleny. - Przygotuj się na złożenie małżeńskiej przysięgi.

Piekące łzy napłynęły jej do oczu. Serce jak oszalałe tłukło się w jej piersi. Miała nadzieję, że mnich jej wysłucha i odmówi udzielenia ślubu.

Owen ścisnął ją za ramiona. Wykorzystał chwilę, kiedy Reynold odwrócił się tyłem i szepnął jej wprost do ucha:

- Odwagi.

Niemal zemdląca z ulgi. Ukradkiem otarła łzy i czekała, co będzie dalej.

Reynold stanął tuż przed nią. W tym momencie zdawał się wielki jak wieża.

- Spóźniłeś się - rzuciła mu prosto w twarz.

- Na co?

Dumnie uniosła głowę.

- Już nie jestem dziewczicą. Złożyłam ten dar innemu. Temu, którego zwiesz swoim wrogiem.

Dużo ryzykowała, przemawiając w taki sposób, ale chciała choć trochę zyskać na czasie.

Reynold zmrużył oczy. Twarz mu nabiegła krwią aż po nasadę włosów.

- Ty dziwko! - wysyczał gniewnie.

Uderzył ją w twarz. Alena zatoczyła się do tyłu. Owen obronnym ruchem przycisnął ją do swojej piersi. Reynold znów uniósł rękę.

- Dość! - krzyknął Owen i odepchnął Alenę na bok. Wyrwał miecz z pochwy, aż zgrzytnęła stal, i wymierzył w gardło Reynolda. Kątem oka popatrzył na Alenę. - Prędko! Umykaj! Tamtędy! - Wskazał na wewnętrzne drzwi, pro - wadzące do innych komnat - Rada spotyka się na dole. Idź do nich! Powiedz im o wszystkim!

- Perkins! - ryknął Reynold.

Drzwi od korytarza rozwarły się z głośnym trzaskiem i do pokoju wpadli ludzie Owena. Reynold skorzystał z zamieszania, uskoczył w bok, chwycił pochwę leżącą na stole i dobył własnego miecza.

Alena dopadła drzwi wskazanych jej przez Owena. W progu spojrzała za siebie i zobaczyła, że Reynold głęboko ciął w ramię kapitana zbrojnych.

Owen z grymasem bólu na twarzy zatoczył się na kominek.

- Uciekaj, pani! - jęknął i osunął się na podłogę. Alena miała ochotę podbiec do niego i mu pomóc, ale

Reynold już kroczył ku niej, wywijając zakrwawionym mieczem. Ludzie Owena rzucili się na niego. Alena uciekła.

Biegła przez liczne komnaty, a za sobą słyszała głośne okrzyki i szczęk stali. Wpadła w drugi korytarz i skręciła na wąskie schody.

Uniosła spódnicę, żeby nie przeszkadzała jej w biegu. Rejwach panował już w całej wieży. Przy głównym wejściu tłoczyły się zastępy zbrojnych.

Alena minęła ich bez kłopotu. Nie zwracali na nią najmniejszej uwagi, zaprzątnięci jedynie tym, aby jak najszybciej dostać się na piętro, wezwani okrzykami pana. Wpadła do wielkiej sali. Jezu! ,

Sala była zupełnie pusta. Gdzie rada?

Nie miała czasu się nad tym dłużej zastanawiać. Prawdę mówiąc, podejrzewała, że Reynold i tak kontrolował postanowienia starszyny

klanu. Chwiejnym krokiem, potykając się co chwila, wybiegła na dziedziniec. Karosz wciąż czekał. Bił kopytem w ziemię i szarpał wodze. Młody stajenny z trudem próbował go utrzymać. Inne konie też zdradzały wyraźny niepokój.

- Stój! - To był głos Perkinsa.

Alena, niewiele myśląc, skoczyła na grzbiet ogiera i wyszarpnęła wodze z ręki stajennego. Obejrzała się dopiero wówczas, gdy już była w połowie drogi do bramy.

Perkins jak oszalały miotał się po dziedzińcu. Machał rękami, krzyczał, zbierał ludzi. Wreszcie sam dosiadł konia i popędził za nią, zostawiając za sobą całą resztę oddziału..

Karosz jak burza przemknął przez bramę. Alena pochyliła się i przynagliła go do jeszcze szybszego biegu.

- Pędź jak wiatr! - wyszeptała.

Skreśliła na południowy wschód, ogarnięta tylko jedną przerażającą myślą.

Czterystu zbrojnych ciągnęło pod zamek Findhorn, aby tam zasadzić się na Iaina Mackintosha i jego sprzymierzeńców.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Iain ściągnął wodze i zatrzymał konia na skraju olszyny. Z cichym jękiem zsunął się z siodła. Od dwóch dni gnali, niemal nie przystając. Zmęczenie już wszystkim dawało się mocno we znaki.

Towarzyszyło mu czterdziestu najwaleczniejszych rycerzy z obu klanów, Mackintoshów i Davidsonów. Napoili konie nad brzegiem stawu, na szerokiej i płaskiej równinie. Przed nimi rozpościerało się morze traw i pachnącego wrzosu. W powietrzu unosił się zapach prawdziwego lata.

Był dzień świętego Jana. Od zamku Glenmore dzieliło ich jeszcze parę godzin jazdy. Iain zaklął pod nosem. Jeśli Grant jej dotknie, to zginie najbardziej wyszukaną i powolną śmiercią.

Jechali okrężną drogą, żeby wyminąć strażę patrolującą południowo - zachodnie rubieże rozległych włości Grantów. Nie było innego sposobu, aby bezpiecznie dotrzeć na miejsce, chociaż stracili przez to wiele cennych godzin. Iain zdawał sobie sprawę, że przy tak znikomej liczbie rycerzy, tylko z zaskoczenia może zdobyć Glenmore. Spojrzał na słońce. Dochodziło już prawie południe.

- A niech to diabli porwą!

Hamish ukląkł na mulistym brzegu stawu i przyjrzał się uważnie śladom końskich kopyt. Niedawno przejeżdżał tędy spory oddział.

Iain rzucił okiem na rozległą równinę. Ślady biegły o wiele dalej, ze wschodu na zachód. Potwierdzało to wcześniejsze doniesienia zwiadowców.

- Ilu? - spytał Hamisha, nie odwracając głowy.

- Całe setki - powiedział olbrzym. Roztarł między palcami odrobinę rozmięklej ziemi.

- Kiedy?

Hamish skrzywił się i językiem ostrożnie dotknął koniuszków palców.

- Jakiś dzień temu. Może nawet niecały.

Wstał z głuchym pomrukiem i popatrzył na Iaina.

- W takim razie zdążyli już przybyć do Findhorn. Hamish złośliwie uśmiechnął się pod wąsem,

- Z całą pewnością nie wiedzieli, że są tam oczekiwani.

- Mam nadzieję. Alistair poprowadził swoich już dwa dni temu. Musiał dojechać pierwszy.

- Ale czy Gilchrist zdoła przekonać Macgillivrayów i MacBainów?

- Stawią się. Nie wiem jedynie, kiedy i z jaką siłą.

- Nie wiesz, czy w ogóle przyłączą się do sojuszu - po cichu powiedział Hamish, tak żeby inni go nie usłyszeli.

Iain popatrzył mu prosto w oczy. Druh miał rację, ale... nie było już odwrotu.

Chattan. Cztery klany. Od dnia śmierci Columa Mackintosha zbierały się po raz pierwszy.

- Chryste Panie - szepnął Iain i odwrócił się z zamiarem ruszenia w dalszą drogę. Podszedł do konia.

Głośny okrzyk rozległ się wzdłuż oddziału.

Iain skoczył na siodło i poprawił łuk na ramieniu. Podjechał do swoich ludzi, ale w dalszym ciągu nie wiedział, co wzbudziło wśród nich takie poruszenie.

- Do diabła! - Hamish wspiął się na konia i grubym palcem wskazał na horyzont. - Patrz!

Iain osłonił oczy i popatrzył w tamtym kierunku. Stał w strzemionach, żeby lepiej widzieć. Zobaczył samotnego jeźdźca na czarnym wierzchowcu. Wyteżył wzrok. Dostrzegł suknię, powiewającą w pędzie.

- Alena! - krzyknął i wbił pięty w boki konia.

Z drugiej strony rozległej łąki, spomiędzy drzew wynurzył się oddział zbrojnych. Bez wątpienia pogoń. Iain przemknął pomiędzy swoimi.

- Prędzej! - zawołał do nich.

Po chwili już niemal wszyscy siedzieli w siodłach. Lata treningu zrobiły swoje. Iain mógł być naprawdę dumny ze swoich rycerzy.

Szeroka, trawiasta łąka tworzyła w samym środku jakby niewielką nieckę. Iain pędził w stronę Aleny, nie spuszczać wzroku z pogoni. Widział już ich wyraźnie. Ze ściśniętym gardłem patrzył, jak zbliżali się do uciekinierki. Nisko schylił się w siodle i przynaglił wierzchowca do szybszego biegu.

Kopyta grzmiały o ziemię. Iain zmrużył oczy. Nie widział lasu ani chmur na niebie. Patrzył tylko na swoją ukochaną. Na dzielną dziewczynę, zdolną do największych poświęceń na rzecz rodziny, klanu... i dla niego.

Stal błysnęła w promieniach słońca. Od grupy zbrojnych oderwał się pojedynczy jeździec - mały i ciemnowłosy. Wymachiwał mieczem wysoko nad głową. Był coraz bliżej Aleny.

Iain zaklął pod nosem. Instynktownie napiął wszystkie mięśnie. Skulony w siodle, mimo woli wydał głośny okrzyk, podchwycony przez resztę Mackintoshów i Davidsonów.

Karosz potknął się, lecz szybko odzyskał równowagę. Ścigający skorzystał z chwili zwłoki i w mgnieniu oka dogonił Alenę. Byli teraz pośrodku łąki. Ciemnowłosy jeździec groźnie pochylił ostrze miecza.

Iaina dzieliło od nich jeszcze co najmniej sto jardów. Już wiedział, że nie zdąży.

Jego ludzie także dobyli mieczy. Stal połyskiwała w popołudniowym słońcu. Ale wszystko na próżno.

Gwałtownie ściągnął wodze. Rumak stanął dęba i zarył się kopytami w ziemię, a mimo to Iain, zaparłszy się piętami, zdołał utrzymać się w siodle. Znowu spojrzał na wojownika Grantów. Stanął w strzemionach i zdjął łuk z ramienia.

Reszta oddziału natychmiast rozjechała się na boki, dając mu wolne pole do strzału. Pięćdziesiąt jardów, czterdzieści... Destiny rwał jak oszalały z przylgniętą do grzbietu Aleną.

Cwałujący tuż za nią jeździec zamierzył się mieczem.

Iain napiął łuk. Życie Aleny wisiało na włosku. Zdawał sobie sprawę, ile zależy od tego jednego strzału. Puścił cięciwę.

Zbrojny Grantów nie zdążył zadać Alenie śmiertelnego ciosu. W ostatniej chwili szarpnął się dziko i spadł z konia. W jego piersi sterczała pierzasta strzała.

Iain wypuścił łuk z ręki i niemal bezwładnie opadł na siodło. Dygotał cały z przejęcia. Dobry Boże, niewiele brakowało, abym na zawsze ją utracił! - pomyślał. Wierzchem dłoni otarł łzy z oczu. Zaciął rumaka i wyjechał na spotkanie Aleny.

Omali nie wpadli na siebie. Alena wyciągnęła ramiona do ukochanego. Próbował ją objąć. Przytuleni, niezgrabnie zsunęli się z siodła i stanęli na ziemi. Alena drżała jak osika. Szlochając spazmatycznie, mocno ścisnęła Iainę za szyję.

On sam też już nie panował nad uczuciami. Płakał jak bóbr, tuląc Alenę do piersi i kryjąc twarz w jej złocistych włosach.

Uklękli razem w wysokiej trawie, niebacznymi na zaciętą bitwę, która się toczyła nie dalej niż sto stóp od nich. Iain obsypał

pocałunkami twarz Aleny. Delikatnie przesunął dłońmi po jej ciele, żeby sprawdzić, czy nie odniosła jakiejś rany.

Wreszcie odchylił głowę i popatrzył na ukochaną przez łzy, nad którymi nie potrafił zapanować. Jej twarz promieniała niekłamanym szczęściem. Zdał sobie sprawę, jak niesłuszne były jego podejrzenia. Jak mógł kiedykolwiek wątpić w jej szczerą miłość? Jęknął głucho i jeszcze mocniej przygarnął ją do siebie.

Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy karosz zarżał głośno i stanął dęba. Trwała zażarta walka. Dźwięczały miecze, a zapach potu i krwi unosił się nad łąką, przytłumiając woń kwiatów.

Iain postawił Alenę na nogi, chwycił wodze karosza i wcisnął je w jej rękę.

- Schowaj się w lesie - rozkazał. - Natychmiast.

- Ale...

Uniósł ją jak piórko i posadził w siodle.

- Jedź! - krzyknął i klepnął ogiera po zadzie. Koń pogalopował w stronę drzew. Iain popatrzył chwilę za nim, aby się upewnić, że wszystko w porządku, po czym skoczył na swego konia, dobył miecza i rzucił się w wir walki.

Bitwa szybko dobiegła końca

Alena obserwowała ją z bezpiecznego schronienia w młodniaku. Zbrojni z oddziału Iaina i Hamisha bez trudu rozprawili się z o połowę mniej licznym oddziałem wroga. Sami przy tym nie ponieśli strat.

Chciała, żeby Iain ich zabił. „Ich”, to znaczy członków jej własnego klanu. Jej żołnierzy, a może też i krewniaków. Zawstydziała się. Pragnęła śmierci tych ludzi, a przecież wielu z nich znała od dzieciństwa. Łzy pociekły jej po policzkach. Wzięła głęboki oddech, żeby chociaż trochę uspokoić skołatane nerwy.

Widziała, jak Iain zeskoczył z konia i stanął nad skurczonym trupem Perkinsa. Kopnął go, potem pochylił się i wyrwał strzałę z martwej piersi. Złamał ją na pół i rzucił na ziemię.

Chwilę później oddalił się od oddziału i wjechał między drzewa. Szukał Aleny. Podjechał do niej, wyciągnął ręce i przeniósł ją na własne siodło.

Otoczyła go ramionami. Pocałowali się. Chłonęła moc bijącą z jego ciała.

Po pewnym czasie odchyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie. Twarz miał pokrytą brudem i potem. Na jego czole widniały trzy

czerwone pręgi, pozostawione przez czyjąś zakrwawioną rękę. Wytarła je wierzchem dłoni i delikatnie pogładziła go po policzku.

- Wszyscy zginęli? - zapytała.

- Tak.

Wzdrygnęła się mimo woli.

- To byli ludzie z mojego klanu.

Ujął ją pod brodę. Alena spojrzała w jego czyste, głębokie i niebieskie oczy.

- Zabiliby cię, ukochana. Niemalże im się to udało.

Przytaknęła. Zdawała sobie sprawę, że stała się groźna dla Reynolda i jego niepohamowanej żądzy władzy i bogactwa. Cóż z tego, że nie ze swojej winy? Chciał ją zabić, skoro nie mógł jej mieć i wykorzystać do własnych celów.

Z płaczem przytuliła się do Iaina. Musiała wyrzucić z siebie całą nagromadzoną rozpacz. Jej smukłym ciałem raz po raz wstrząsały silne dreszcze.

Iain delikatnie pogładził ją po włosach. Zmęczony koń chwiał się lekko pod podwójnym ciężarem. Iain szeptał do ucha Alenie najśodsze słowa miłości. Całował łzy spływające jej po policzkach.

- Musiałam cię ostrzec - powiedziała roztrzęsionym głosem.

Uśmiechnął się na te słowa.

- Moja dzielna, kochana dziewczyna. Uścisnął ją z całego serca.

Po trochu odzyskiwała siły.

- Reynold wysłał czterystu ludzi do zamku Findhorn. To pułapka.

Zamierzają...

Położył palec na jej ustach, zmuszając ją do milczenia.

- Cicho. Wszystko w porządku, moja ukochana. - Pocałował ją w czoło. - Znam jego plany. Natrafiliśmy na ślady oddziału. Nie musisz się niczym martwić.

- Ale...

- Dwa dni temu Alistair na czele stu zbrojnych pociągnął do zamku Findhorn. W tym samym czasie Gilchrist pojechał z misją do Macgillivrayów i MacBainów.

Alena zamarła ze zgrozy. Serce podeszło jej do gardła.

- Do Macgillivrayów? - Zakręciło się jej w głowie. - A zatem... ją... poślubiłeś. - wyjąkała.

Iain zmarszczył czoło.

- Kogo?

- Elizabeth Macgillivray.

Roześmiał się na całe gardło, szczerze i wesoło.

- Nie. Odesłałem ją do domu, w towarzystwie Gilchrista. Z piersi Aleny mimo woli wyrwało się westchnienie ulgi.

W jej oczach zamigotały iskierki radości. Próbowwała jednak panować nad sobą.

- Pewnie była rozczarowana - powiedziała cicho. Iain znów się roześmiał.

- Nie zauważyłem. - Pochylił się, żeby ją pocałować. Alena lekko rozchyliła usta w oczekiwaniu, ale nagle się odsunęła.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć! Reynold...

Iain natychmiast spowaźniał na dźwięk imienia rywala. Chwycił ją za ramiona.

- Skrzywdził cię? - Przyjrzał się jej z napięciem, jakby szukając śladów przemocy.

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie, nie.

Mimo to nadał wpatrywał się w nią podejrzliwie. Wreszcie rysy jego twarzy złagodniały. Ponownie ją pocałował.

- Przyjechałeś po mnie - szepnęła.

- A myślałaś, że będzie inaczej?

- Ja...

Głośny trzask łamanych gałęzi i szelest liści oznajmił przybycie Hamisha. Olbrzym przedarł się konno przez krzewy. Uśmiechnął się szeroko na widok Aleny. Twarz miał pokrytą pyłem i zakrzepłą krwią. Skinął głową Iainowi, minął ich bez jednego słowa i pociągnął dalej w głąb lasu.

- Jedźmy, kochana - powiedział Iain i chwycił wodze. - Lepiej stąd odejść. Nie jesteśmy tu całkiem bezpieczni.

Położyła mu rękę na dłoni.

- Iainie... Nic nie zdradziłam Reynoldowi. Chciałam... chciałam, żebyś tak pomyślał, ale...

Puścił wodze, na powrót pochwycił ją w ramiona i uciszył kolejnym pocałunkiem.

- Cicho. Od samego początku wiedziałem, że nie jesteś do tego zdolna.

- Nigdy.

Przycisnął usta do jej ucha.

- Później o tym porozmawiamy - szepnął.

Wziął do ręki wodze. Alena poprawiła się w siodle i pojechali.

Z tyłu wychynął Will. Wziął ze sobą puszczonego samopas karosza. Uśmiechnął się do Aleny i pogonił w ślad za Hamishem. Ogier radośnie pokłusował za nim. Wyraźnie odzyskał siły po krótkim odpoczynku.

- Wspaniałe zwierzę - rzekł Iain.

- Destiny?

- Destiny - przytaknął cicho. Przygarnął ukochaną i pokłusował w głąb lasu.

Po zmierzchu zatrzymali się w niewielkiej chacie, głęboko ukrytej w gęstym lesie, ciągnącym się wzdłuż granicy ziem Grantów i Mackintoshów. Szalas był pusty, lecz Alena, rozejrzawszy się po schludnym wnętrzu i dobrze zaopatrzonej spiżarni, doszła do wniosku, że mieszkańcy muszą być całkiem niedaleko.

- Ktoś tu mieszka - zauważyła. Kucnęła przy palenisku i rozpałała ogień. Suche gałązki w jednej chwili strzeliły jasnym płomieniem.

- Tak - potwierdził Iain. - Jeden z członków mojego klanu, - Zamknął za sobą drzwi. - Pewnie pojechał pod zamek Findhorn, aby spotkać się z Alistairem i resztą oddziału. Dzisiejszej nocy nic nam tu nie grozi.

Alena wyjrzała przez maleńkie okno. Zbrojni Iaina rozłożyli się już obozem na polance otaczającej chatę. Uśmiechnęła się, widząc, że Will zdążył rozpałać ognisko i umieścić na węglach kilka upolowanych wcześniej królików. Odciągnęła zasłony ze skóry. Do wnętrza chaty wpadł przyjemny, czerwony poblask. Ciepło bijące od paleniska sprawiało, że surowa izba stała się dużo przytulniejsza.

Iain ciężko opadł na stojące w rogu łóżko i ściągnął ubłocone buty. Po chwili rozpiął srebrną broszkę z godłem klanu, spinającą na ramieniu pled. Na jego twarzy malowało się ogromne znużenie, ale w oczach tańczyły wesołe ogniki.

- Chodź do mnie - powiedział do Aleny i szeroko rozłożył ramiona.

Podbiegła do niego lekkim krokiem i rzuciła mu się w objęcia. Posadził ją sobie na kolanach. Lekko pogłaskał ją po piersiach. Ach, jak to wspaniale być znowu razem, westchnęła w duchu. Przesunęła ręką po jego ciemnych włosach.

- Dlaczego nie powiedziałaś prawdy? - szepnął. - Chryste, to prawdziwy cud, że cię nie zabili. - Objął ją mocniej. - Nigdy bym sobie tego nie darował.

Popatrzył na nią błyszczącymi oczami. Ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Kocham cię, Iainie Mackintoshu - powiedziała.

- I ja też cię kocham - odparł. Delikatnie położył ją na wznak na łóżku i pocałował.

Alena miała wrażenie, że jej ciało unosi się gdzieś i odpływa, niesione lekkim wiatrem.

Iain odchylił głowę i przyjrzał jej się taksującym wzrokiem.

- Masz krew na swojej pięknej buzi. - Poślinił palec i przesunął nim po jej policzku. Potem spojrział na swój zakrwawiony ubiór i brudne ręce. Wstał.

- W takim stanie nie powinienem cię dotykać.

- Sama wyglądam wcale nie lepiej - roześmiała się Alena. Miała suknię niemal w strzępach i grudki błota pod paznokciami.

Zobaczyła wiadro stojące przy drzwiach do spiżarni. Zsunęła się z łóżka i dźwignęła wiadro na stół obok paleniska. Powąchała ostrożnie i spróbowała palcem, co jest w środku.

- Woda! - oznajmiła z triumfalnym uśmiechem. Szybko zakrzętnęła się i w ciągu paru chwil znalazła wszystko, co jej było potrzebne - a zwłaszcza czyste lniane prześcieradła. Położyła je na stole, obok wiadra, i znacząco popatrzyła na Iaina.

- Chodź, to cię umyję.

Jego oczy w świetle ognia błyszczały jak dwa ciemne klejnoty. Na twarz wypełził leniwy uśmiech. Alena z zapartym tchem patrzyła, jak Iain niespiesznie wstaje z łóżka i ściąga koszulę.

Podszedł do niej. Zachwyconym spojrzeniem musnęła jego silne ramiona i wysoko sklepioną pierś, na której połyskiwały mokre kosmyki kręconych włosów. Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki. To głupie, pomyślała. Przecież widziałam go już nago. A mimo wszystko...

Zamoczyła kawałek lnianego płótna w zimnej wodzie. Odwróciła się do Iaina i... zamarła z uniesioną ręką, niepewna, od czego zacząć. Uśmiechnął się do niej, lekko rozbawiony jej nagłą nieśmiałością.

Delikatnie zmyła brud i zaschniętą krew z jego twarzy. Spoglądał na nią przez chwilę, a potem zamknął oczy i odchylił głowę, żeby dać

jej łatwiejszy dostęp do szyi i ramion. Alena znów zmoczyła płótno i zaczęła nacierać nieco ostrzej.

Po omacku wyciągnął rękę, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Alena nie przerwała swojego zajęcia. Iain wyprostował się i popatrzył na nią przez zmrużone powieki. Ręka dziewczyny spoczęła na jego brzuchu.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - wyszeptał chrapliwie.

Drżały jej ręce. Na chwilę zapomniała, gdzie są i co ich może czekać w najbliższej przyszłości. Przysunęła się jeszcze bliżej i musnęła ustami twardą pierś Iaina. Tak bardzo go pragnęła.

Jęknął cicho i zamknął ją w nagłym uścisku. Pozwoliła mu na to. Uniosła głowę i rozchyliła usta, zapraszając go do pocałunku. Poczowała jego dłoń w swoich włosach. Rozplątał gruby warkocz.

Nagle odsunął się i popatrzył na nią wzrokiem zamglonym z pożądania.

- Teraz kolej na ciebie - szepnął. Rozwiązał tasiemki sukni.

Zaniknęła oczy, kiedy zsunął jej stanik z ramion. Suknia z cichym szelestem opadła na podłogę. Iain wziął Alenę za rękę. Dała krok naprzód i stanęła przed nim w samej halce.

Po chwili była już całkiem naga. Dotyk rąk Iaina budził w niej cudowne uczucia.

Iain z wolna zanurzył w wodzie czysty skrawek płótna. Jezu, pomyślała Alena, naprawdę ma zamiar mnie umyć! Zaraz potem poczuła coś mokrego i bardzo zimnego na swojej szyi. Wzdrygnęła się, lecz nie było to nieprzyjemne odczucie. Krople wody spłynęły jej po plecach.

Wstrzymała oddech i szeroko rozwarła oczy. Wpatrywała się w twarz ukochanego.

- Iain! - szepnęła.

Jedną ręką odpiął szeroki skórzany pas i rzucił go na klepisko. Zdjął kilt. Alena obrzuciła Iaina przeciągłym spojrzeniem, sycąc się widokiem wszystkich szczegółów jego krzepkiego, zupełnie nagiego ciała: długich i dobrze umięśnionych nóg, wąskich bioder i płaskiego brzucha. Zaczerwieniła się jak piwonia na wspomnienie ich wspólnej nocy, spędzonej jeszcze w warowni Davidsonów.

Iain mył ją starannie. Właśnie dotarł do piersi. Alena przesunęła mokrym i szorstkim płótnem po jego jędrnych pośladkach. Wyraźnie mu się to spodobało, bo znów jęknął cicho i przymknął oczy.

Ona także opuściła powieki. Odchyliła głowę i głęboko zaczerpnęła tchu. Jestem twoja i tylko twoja, pomyślała. Nic tego nie może zmienić. Możesz mnie nawet porzucić wtedy, gdy poznasz prawdę, a ja i tak będę twoja. Teraz i na zawsze. Iain gwałtownym ruchem rzucił płótno na ziemię. Porwał Alenę w ramiona i zaniósł na wąskie łóżko.

- Pragnę cię - rzekł, wodząc dłońmi po jej kształtnych biodrach. - Chcę być w tobie.

Położyła mu rękę na piersi. Pod palcami poczuła bicie jego serca. Ona też była już gotowa.

Iain wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem. Jęknęła z rozkoszy i poruszyła biodrami. Było jej tak cudownie...

Parę godzin później, otulona pledem Iaina, dołożyła polano do ognia i poruszyła żarzące się węgle. Suche drewno zajęło się niemal natychmiast. Jasna poświata rozproszyła mrok panujący w izbie.

Iain usiadł nago na krawędzi łóżka.

- Ładnie ci w barwach Mackintoshów - powiedział z uznaniem.

Alena uśmiechnęła się.

Targały nią sprzeczne uczucia - miłość, radość, strach i obezwładniająca trema walczyły w niej o lepsze. Wstała i wyciągnęła ręce w stronę ognia.

Musiała wyznać mu prawdę.

Podszedł do niej. Stał nieco z tyłu i otoczył ją ramionami. Wsparła głowę na jego piersi.

- Wyjdź za mnie, Aleno.

Zesztywniała. Wyczuł to i odwrócił ją do siebie. Nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- Jest coś, co muszę ci jeszcze powiedzieć. Ujął ją pod brodę.

- Znów jakaś tajemnica?

Alena miała wrażenie, że serce pęknie jej z bólu, rozdarte na dwoje. Marzyła o tym, by stać się jego żoną. Zebrała się na odwagę.

- Nie jestem tą, za którą mnie uważasz - powiedziała dobitnym tonem.

- Ależ jesteś! - zaprotestował z uśmiechem i czule pogłaskał ją po głowie. - I nie zamieniłbym cię na żadną inną, choćby mi za to obiecywali tron Szkocji i złote góry. Kochałem cię, wciąż kocham i kochać nie przestanę.

Na te słowa oczy Aleny zaszkliły się łzami. Strach doprowadził ją na skraj rozpacz. To nie może się skończyć w ten sposób, pomyślała.

- Nie chodzi o to, o czym myślisz - powiedziała. - Iainie, Toddowie nie są moimi prawdziwymi rodzicami.

Wreszcie to z siebie wyrzuciła. Teraz nie było już odwrotu.

Uwolniła się z jego objęć i podniosła suknię z podłogi. Iain obserwował ją z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Drżącą ręką podała mu oba pergaminy.

Wziął je, lecz ku jej zdziwieniu nawet ich nie rozwinął. Przez krótką chwilę ważył je w dłoni i patrzył na nie w zamyśleniu, jakby oceniał ich wartość.

Alena zaczerpnęła tchu i westchnęła z głębi piersi.

- Moją matką nie była zwykła dama dworu, ale Beatrix d'Angouleme.

Nawet się nie zdziwił. Przez moment miała wrażenie, że jej nie dosłyszał. A może nic nie wiedział o francuskiej arystokracji? Skąd miałby wiedzieć. Ona też całkiem niedawno o tym usłyszała.

Uśmiechnął się.

- Wiem o tym, ukochana.

- Wiesz?!

- Owszem. Alistair powiedział mi o wszystkim na godzinę przed tym, zanim wyruszyłem do zamku Glenmore.

- Ale skąd Alistair... - Słowa uwięzły jej w gardle, bo w tej samej chwili przypomniała sobie rozmowę z Margaret Davidson. Zatem przecucie jej nie omyliło. Margaret rzeczywiście ją rozpoznała.

- Mnich mu powiedział, po drodze do Braedun Lodge.

- Brat Ambrose! - To on ją zapamiętał! - Skąd mógłby o tym wiedzieć?!

- Kiedy przybył do Toddów z wiadomością od ciebie, przypadkowa usłyszał ich rozmowę. Mówili właśnie o Beatrix.

- A jednak w Braedun mnie nie zdradził. Dlaczego? Przecież nie był mi niczego winien. Nic nas nie łączy.

- Tak, ale za to ma duży dług wdzięczności wobec Alistaira. A mój wuj w pewnych sprawach potrafi być stanowczy. Kazał drogiemu braciszкови trzymać język za zębami dopóty, dopóki nie zapadną właściwe decyzje.

- A co by zrobił, gdybym nie wyjechała? Co byś uczynił, gdybyś wcześniej wiedział?

Iain popatrzył na nią z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, moja kochana. To przecież już bez znaczenia. Nieprawda. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Zanim ruszyłeś za mną w pogoń - szepnęła tak cicho, że nawet sama ledwie słyszała swoje słowa - wiedziałeś, że Beatrix d'Angouleme była moją matką.

- Tak. I co z tego?

Chciał ją objąć, ale pospiesznie cofnęła się i ciaśniej owinęła pledem. Wesołość zgasła w oczach Iaina. Popatrzył na nią jakby z wyrzutem. Migotliwe światło płomieni podkreślało wyraziste rysy jego twarzy.

- Masz teraz potężnych przyjaciół - powiedział ostrożnie. - O ile ich się nie wyprzesz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Kogo? Odwrócił głowę i spojrział w ogień.

- Króla Jana, rzecz jasna. Władcę Anglii. To nie miało żadnego sensu.

- Nic nie rozumiem.

Parsknął drwiąco i pokręcił głową, zdradzając niecierpliwość. Dobrze znała to jego zachowanie. Jedną rękę położył jej na ramieniu, a w drugiej mocniej ścisnął pergaminy.

- Mówię o jego żonie, dziewczyno. O tej, którą poślubił niecałe trzy lata temu. O Izabeli.

Alena popatrzyła na niego z osłupieniem. Nic jej to nie mówiło. Nic nie wiedziała o koneksjach angielskiego dworu.

- O Izabeli d'Angouleme, o młodszej siostrze twojej matki. O twojej ciotce.

Serce podeszło jej do gardła.

- Ale matka, to znaczy Madeleine Todd nie wspomniała mi o tym ani słowem!

- Być może sama nie wiedziała. Izabela urodziła się już po śmierci Beatrix.

Świat zawirował jej przed oczami i nagłym ruchem osunęła się w ramiona Iaina. Przytrzymał ją i uspokoił.

- Ta... Izabela... - wyjąkała z trudem - ...jest niemal w moim wieku?

- Chyba tak, chociaż nie mogę być tego zupełnie pewny.

- Wiedziałaś o tym! - wypaliła, wyrывая mu się z uścisku. - Wiedziałaś, zanim wyruszyłeś za mną! Zanim odesłałeś do domu Elizabeth Macgillivray!

Próbował objąć ją znowu, ale mu uciekła.

- Tak, ale...

- Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo chcesz mnie poślubić! Wspaniały sojusz! Nie tylko z Francją, ale jeszcze z Anglią!

Odwróciła się gwałtownie. Łzy piekły ją pod powiekami. Nie chciała patrzeć na Iaina.

- Co by powiedział na to nasz dobry król Wilhelm, gdybyś zaniósł mu taką wiadomość?

- Aleno... - Położył jej ręce na ramionach.

- Nie! - krzyknęła. - Nie dotykaj mnie!

Pled zsunął jej się z ramion podczas tej szamotaniny. Iain wzmocnił uścisk. Alena, dysząc ciężko, nie przestawała się szarpać. Biła go po piersiach, płakała, krzyczała, żeby ją natychmiast puścić. Niewiele brakowało, a wpadłaby w histerię.

Iain potrząsnął nią z całej siły.

- Na wszystkie moce piekieł! - zawołał. - Kobieto! Co mnie obchodzą układy z Anglią i Francją?!

Drżał jak w febrze. Alena otarła łzy i spojrzała mu prosto w oczy, ciemne - niemalże granatowe - i błyszczące w świetle ognia. Uspokajała się powoli. Długą chwilę stali wpatrzeni w siebie, milcząc.

- Nic cię to nie obchodzi? - szepnęła. - Nie myślisz o takich sojuszach?

- A ty?

Puścił ją nagle i odwrócił się w stronę paleniska. Wsparł ręce pod boki. Znać było, że toczy wewnętrzną walkę.

- Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? - odezwał się wreszcie cichym i roztrzęsionym głosem. Alena nigdy nie widziała go w takim stanie. - Nie pojmujesz, że możesz wybrać męża spośród najpotężniejszych rodów Anglii lub Francji?

Trochę trwało, zanim w pełni dotarło do niej to, co powiedział. Przymknęła oczy ze wstydu. Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie. Jeden mąż jest mi przeznaczony i nie chcę innego. To ani Francuz, ani Anglik.

Spojrzał na nią i chwycił ją za rękę.

- Nasze małżeństwo da mu wszystko, o czym zawsze marzył - dodała. - Rozległe dobra, bogactwo i szlachetnie urodzoną niewiastę za żonę.

Chociaż tyle mogła mu ofiarować. Niewielkie pocieszenie w porównaniu z tym, co zaraz miał usłyszeć.

Iain lekko opuścił głowę i na jego twarzy zagościł bolesny półuśmiech. Przyklęknął i podniósł z ziemi rzucone wcześniej pergaminy.

- Nie chcę szlachetnie urodzonej damy.

- Nie chcesz?

- Nie - wyszeptał. - Pokochałem córkę masztalerza. Ją też zamierzam poślubić. Tylko ją i nikogo więcej.

Nadeszła pora, aby położyć ostateczny kres wszelkim niedopowiedzeniom i tajemnicom.

- To niestety jeszcze nie koniec - powiedziała. Wyjęła mu z dłoni pergaminy. Rozwinęła je. Szkocki położyła na wierzchu i podała mu je z powrotem.

- Przeczytaj.

Iain przejrzał dokument spisany ręką Johna Granta i szeroko otworzył oczy. Alena obserwowała go w milczeniu. Wydawało się, że trwało to całą wieczność. Serce podeszło jej do gardła.

Iain podniósł głowę i popatrzył na nią z kamienną twarzą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nigdy w życiu nie był bardziej zdumiony niż po przeczytaniu tego dokumentu.

- Córka Granta? - Był całkowicie zaskoczony.

- Nie wiedziałam o tym aż do dzisiaj - odparta Alena. Podniosła z podłogi pled i zarzuciła go sobie na ramiona.

Iainowi wystarczył jeden rzut oka na jej pobladłą twarz, aby wiedzieć, że mówiła prawdę. Zwinął dokumenty w jeden rulon i rzucił go na stół.

- Zatem Reynold i ty jesteście... jesteście...

Chryste Panie, słowa nie chciały mu przejść przez gardło!

- Kuzynami - dokończyła za niego Alena. Odwróciła głowę. Nie mógł mieć o to do niej żalu. Gdyby

był trochę mądrzejszy, nie ujawniałby tak wyraźnie swoich prawdziwych uczuć. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

- Tylko poprzez osobę Johna - powiedziała. - Nie łączą nas prawdziwe więzy krwi.

Tysiące pytań kłębiło mu się w głowie, a wśród nich ta jedna, najważniejsza - co teraz?

- Chodź! - Alena wyciągnęła doń rękę. Zrobiła to z lekkim wahaniem, jakby nie była pewna, czy ją przyjmie. Przyjął. A jak miał postąpić inaczej? - Usiądź na łóżku - powiedziała. - Opowiem ci wszystko, czego sama się dowiedziałam.

Iain słuchał w milczeniu, wierząc w jej każde słowo.

- Co dalej? - spytał wreszcie.

- Chciałabym wykorzystać swoją nową pozycję, by jakoś pomóc członkom klanu. Reynold wyrządził im wiele zła - odparła.

Jej zielone oczy połyskiwały niczym kocie ślepie w blasku bijącym od ognia. Iain na moment zląkł się tego, co w nich zobaczył.

- Rozumiesz mnie? - zapytała szeptem.

- Tak - odparł, ale nie rozumiał. Co mu chciała przez to powiedzieć? - Nie. Nie jestem pewien.

Myśli tańczyły mu w głowie, jakby nagle uległy chorobie świętego Wita. Chwyił Alenę za rękę i mocno ścisnął w obu dłoniach. Dopiero wówczas wyczuł, że dziewczyna drżała jak osika.

Boże, co za głupiec ze mnie! - skarcił się w myślach. Wcale nie chciała go opuścić. Potrzebowała go, i to zapewne bardziej niż

kiedykolwiek przedtem. Nie zamierzał jej zawieść. W jednej chwili wróciła mu przytomność umysłu.

- Tak, rozumiem - powiedział zdecydowanym tonem. - Zrobimy to razem.

- Naprawdę? - ucieszyła się.

- Naprawdę. Przyrzekam.

Porwała go w objęcia i szarpnęła ku sobie tak mocno, że oboje padli na łóżko.

Między jednym pocałunkiem a drugim Iain przypomniał sobie o jeszcze jednym, dawniej złożonym przyrzeczeniu. Nie zamierzał łamać raz danego słowa. Teraz jednak - przynajmniej na dzisiejszą noc - to wszystko mogło poczekać. Wziął Alenę w ramiona i oddał się miłości.

Do świtu było jeszcze parę godzin, kiedy Iain ubrał się i ostrożnie usiadł na krawędzi łóżka, by włożyć buty. Alena poruszyła się niespokojnie pod grubym okryciem z futer. Iain łagodnie pogładził ją po policzku.

Kochał ją. Gdy tak na nią patrzył, łzy napłynęły mu do oczu i coś go ścisnęło w gardle. Alena przeciągnęła się. Powoli wracała ze świata sennych marzeń.

Otworzyła oczy. Iain pochylił się nad nią i złożył lekki pocałunek na jej rozchylonych ustach.

- Muszę iść - szepnął.

Przesunął palcem po jej dolnej wardze. Alena natychmiast oprzytomniała. Zmarszczyła brwi i uniosła się na łokciach.

- Dokąd?

- Do zamku Findhorn. Do mojego klanu. Odrzuciła ciężkie futra i usiadła na brzegu łóżka.

- Nie możesz! Nie wolno ci tego zrobić!

W mrocznej izbie, oświetlonej jedynie wątłym blaskiem bijącym od rozżarzonych węgli, leżących w palenisku, wyglądała zjawiskowo. Iain nigdy dotąd nie widział tak cudnej istoty. Potargane włosy złocistą kaskadą spływały jej na ramiona. Iain nie umiał się powstrzymać, by nie przygarnąć jej do siebie.

- Sama nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie kusisz, bym został tu, przy tobie, głęboko zagrzebany w futra. - Pocałował ją lekko i wstał, żeby przypasać broń.

Zanim stanął w pełnym rynsztunku, Alena szybko zerwała się z łóżka, wciągnęła halkę, suknię i wzięła trzewiki.

- W takim razie pojedę z tobą - oświadczyła. Iain z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Wykluczone - powiedział. - To zbyt niebezpieczne. Zostaniesz tutaj, w ukryciu. Z samego rana Will i Drake zabiorą cię do Braedun Lodge. Tam poczekaasz do mojego powrotu.

- Ale co się stanie? Myślisz, że klany Chattan staną po twojej stronie? - W jej oczach malowała się szczerą troską.

Iain wziął Alenę w ramiona, aby choć trochę ją pocieszyć.

- Tego nie mogę być pewien - przyznał. - Mam nadzieję, że przyjdą na moje wezwanie, nie wiem jedynie gdzie i kiedy.

Alena zacisnęła dłonie na podołku.

- Przecież bez ich pomocy nie pokonasz Reynolda! Iain przycisnął jej głowę do swojej szerokiej piersi.

- Być może - westchnął. - Nie mogę jednak zawieść moich ludzi. Muszę się przy nich stawić.

Alena stłumiła szloch. Iain poczuł, że jej szczupłe palce wpijają mu się w ramię. Poglaskał ją i zapewnił o swojej miłości. Szeptał jej wprost do ucha uspokajające słowa.

Nagle odskoczyła od niego, złapała go za rękę i z radością spojrzała mu prosto w oczy.

- Sztylet! - krzyknęła. - Ten ze złoconą rękojeścią! Nigdy nie chciałeś mi powiedzieć, jak można go wykorzystać! To coś ważnego dla Chattan, prawda?

Bogiem a prawdą, zupełnie o nim zapomniał, myśląc przez bite dwa dni tylko o Alenie.

- Rzeczywiście - przytaknął. - Jednak teraz muszę sobie poradzić bez niego. Nie mam już czasu na negocjacje.

Ścisnął ją za rękę i odwrócił się, żeby odejść. Zatrzymała go w drzwiach chaty.

- Powiedz mi, co zamierzasz?

Stał do niej tyłem, a jej głos nie był głośniejszy od szeptu. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie miał odwagi na nią spojrzeć.

- Dobrze wiesz, co muszę zrobić - odezwał się cicho. - Odzyskać ojcowiznę, zamek i zemścić się na mordercy. Nie wykluczam, że sam zginę. - Mocno ścisnęła go za ramię, lecz on się nie obejrzał. - To całe moje życie. Przez długie i mroczne lata nie myślałem o niczym innym.

Aż do teraz.

Pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Owionęło go chłodne powietrze przedświt. Wiedział, że Alena wyszła w ślad za nim, ale się nie obejrzał. Oddział już czekał w pełnym rynsztunku. Jego koń też był osiodłany.

Alena przepchnęła się naprzód i zagroziła mu drogę.

- Za czyn jednego człowieka podejmiesz wojnę z całym klanem? Z moim klanem?

Księżyc już zaszedł, więc w ciemnościach Iain widział tylko jej sylwetkę. Zdołał jednak rozpoznać, że była bardzo wzburzona. Westchnął ciężko i zebrał się w sobie. Musiał być twardy.

- Nic na to nie poradzę.

- Nic na to nie poradzisz?! - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nie rób tego, Iainie. Skażesz na śmierć setki ludzi. Za co? Za honor jednego człowieka?

- Nie! Za honor wielu, honor klanu. Za tych wszystkich, którym przyszło pogrzebać swoich krewnych w dniu zdrady Reynolda! Za tych, którzy uniknęli śmierci. Chociaż nie stało się to za moją przyczyną - dokończył cicho.

- Byłeś chłopcem. Dwunastolatkiem. Jak mogłeś im wtedy pomóc?

Złapał ją za rękę i wyteżył wzrok, żeby w mroku dostrzec jej rysy.

- Może nie mogłem. Ale teraz mogę. I zrobię to, klnę się na Boga!

- Staniesz się niewiele lepszy od swojego wroga!

- Trudno - szepnął. Odepchnął ją na bok. Wskoczył na siodło. Alena przytrzymała wodze, nie pozwalając mu odjechać. - Muszę pomścić śmierć ojca i kuzynów. Nie spocznę, póki tego nie dokonam. - Wyciągnął rękę i po omacku dotknął twarzy Aleny. - Miła moja, wcale nie chcę wojować z niewinnymi. Sam wiem dobrze, ile pociąga to za sobą nieszczęścia i żalu. Musisz jednak zrozumieć, że nie stanę się prawdziwym przywódcą klanu dopóty, dopóki nie zanurzę miecza w krwi Reynolda Granta.

Poczuł jej dłoń na swoim kolanie. Nakrył ją swoją prawicą.

- Obiecuj mi coś - wyszeptała Alena. - Obiecuj, że nie zaczniesz pierwszy.

- Nie mogę, ukochana. To zaczęło się już dużo wcześniej, jedenaście lat temu, kiedy Reynold zabił mego ojca, a ja stałem bezradny, nie będąc w stanie powstrzymać mordercy.

Opuściła rękę. Pogłaskał ją po policzku i lekko dotknął jej ust koniuszkami palców. Nie poruszyła się. Była odległa i zimna.

Miał wrażenie, że serce mu pęknie. Taka była prawdziwa cena tej wojny.

- Bóg z tobą, najmilsza - powiedział w mrok i skierował konia w stronę zamku Findhora.

Alena zamknęła drzwi chaty i oparła się o futrynę. Pod plecami czuła twarde, szorstkie drewno. A zatem już po wszystkim, pomyślała. To co się między nimi wydarzyło przez ostatnie tygodnie - podejrzenia, wątpliwości, nadzieje i miłość - odeszło w przeszłość. Stało się pustym słowem.

Zamknęła oczy, żeby się nie rozplakać. Mocno wbiła paznokcie w chropowatą deskę. Co teraz miała zrobić? Uciec do Braedun Lodge i tam czekać na powrót Iaina? Jeśli w ogóle wróci. I co to będzie za triumf? Przyjedzie z mieczem zbrukanym krwią jej sąsiadów i krewnych, z błędnym wzrokiem, jeszcze dyszący żądzą zabijania. Już widywała wojowników nadciągających z pola walki. Nie chciała, by jej ukochany dołączył do żniwiarzy śmierci. A co potem? Miałaby z nim stanąć na ślubnym kobiercu? Z zabójcą i niszczycielem jej własnego klanu?

Może to Reynold po nią przyjedzie, z głową Iaina przytroczoną do siodła? Jego oddziały były jak bojowy topór o szerokim podwójnym ostrzu. Któż mógłby im stawić opór? Któż byłby w stanie podjąć wyrównaną walkę? Szły przez góry, niszcząc wszystko, co stało im tylko na drodze.

Czy naprawdę nie było innego wyjścia?

Alena odsłoniła okno i spojrzała w głąb ciemnego lasu. Znów zapadła cisza, przerywana jedynie parskaniem trzech koni i chrapaniem dwóch zbrojnych, których Iain pozostawił jej do eskorty. Will i Drake. Leżeli teraz, zawinięci w pledy - dwa ciemne i skulone kształty przy wygasłym ognisku.

Alena starannie zaciągnęła zasłonę.

Na stole wciąż leżał porzucony przez Iaina pergamin, zapisany ręką Johna Grania. Alena zwinęła go i ukryła w fałdach sukni. Po cichu podeszła do drzwi. Z ręką na klamce, raz jeszcze przemyślała

swoje postępowanie. Trudno, westchnęła w duchu. Nie miała innego wyjścia. Niby duch, po cichu wysunęła się na zewnątrz.

Pomału, na palcach, podeszła do trzech wierzchowców, uwiązanych na skraju polany, nie dalej niż dwadzieścia stóp od miejsca, w którym spali obaj wojownicy. Czarny ogier stał najbliżej, z dala od dwóch pozostałych, ze względu na swoją złośliwość.

Alena podkrađła się do konia, odwiązała go od wbitego w ziemię kołka i zerknęła przez ramię na śpiących. Przez chwilę stała nieruchomo, wsłuchana w najdrobniejszy szelest. Wbiła wzrok w ciemność. Nic się nie stało. Wojownicy chrapali w najlepsze, obojętni na wszystko, co się działo.

Iain urwie Willowi głowę, pomyślała Alena. Drake też z pewnością dostanie za swoje. Nic na to nie mogła poradzić. Jej miejsce było gdzie indziej.

Wsiadła na konia i powoli wjechała między drzewa. Na szczęście grunt był rozmiękły, więc Destiny stapał niemal bezszelestnie. Kiedy zyskała pewność, że są już daleko, zmusiła go do szybszego biegu.

Było ciemno jak w beczce smoły. Alena widziała tylko zarysy drzew i krzewów. Ogier jednak zdawał się mieć kocie oczy i biegł coraz szybciej, równym i pewnym krokiem. Alenę ogarnął chłód. Wzdrygnęła się mimo woli. Kilka samotnych gwiazd prześwitywało przez gęsty baldachim gałęzi i liści. Niebo swoim kolorem przypominało jej oczy Iaina widziane w księżycowym blasku. Pochyliła się, przywarła policzkiem do szyi ogiera i wyszeptała jego imię.

Dobrze wiedziała, dokąd jedzie. Wiedziała też, co musi zrobić.

Czarny ogier biegł na północny zachód, w kierunku zamku Glenmore. Alena była najlepszym jeźdźcem - przynajmniej w tej części Szkocji - i miała najszybszego konia. Tylko ona mogła dokonać tego, co zaplanowała. Destiny przeszedł do galopu. Gnali tak do białego rana.

Po kilku godzinach męczącej jazdy, zdyszana i spocona Alena zatrzymała konia na małej polance. Blade światło wczesnego ranka leżało na gałęziach drzew niczym warstwa cienkiego szronu. Tu i ówdzie rozlegał się śpiew ptaków, budzących się na spotkanie nowego dnia. Ogier stanął nad brzegiem strumyka i pochylił łeb, żeby zaspokoić pragnienie. Alena z uwagą spojrzała na przecinkę. W

poobliżu małej grupy skał strumień tworzył niewielką nieckę, a potem spływał wodospadem po spiętrzonych kamieniach.

Tak, to tutaj.

Podjechała bliżej kaskady. Szum spadającej wody głuszył śpiewy ptaków. Tuż przy skałach skręciła w lewo i wjechała pomiędzy krzewy. Nie była tu już całe lata. Dawna ścieżka zarosła na dobre i zniknęła pod grubą warstwą zwiędłych liści.

Drzewa wysoko strzelały w niebo. Alena zmrużyła oczy, rozglądając się po okolicy.

Są.

Dwa bliźniacze rozłożyste krzewy wystawały wyżej od innych. Ich splątane gałęzie tworzyły rodzaj bramy, wiodącej na polanę. Alena zsiadła z konia, uwiązała go do konara, a potem pochyliła głowę i przeszła na drugą stronę. Wyprostowała się i wstrzymała oddech.

Wszystko tak samo! Drzewa, gałęzie... jakby troszeczkę mniejsze. Nie wiedzieć czemu - chyba z wrażenia - włosy zjeżyły jej się na karku. Zadygotała i bezwiednie potarła ramiona.

Minęło jedenaście lat

Miała uczucie, jakby zaledwie wczoraj bawiła się tu z Iainem. Dała krok naprzód i popatrzyła na wybujalą brzozę. Roześmiała się nagle, a wraz z tym śmiechem opadło z niej całe napięcie.

Pod tą brzozą ćwiczyła kiedyś strzelanie z łuku. Mały Iain z butną miną wcielił się wówczas w rolę nauczyciela. Alena pogładziła ręką szorstki pień drzewa. Na białej korze ciągle widniały dziesiątki małych, nie całkiem zabliznionych wgłębień, pozostawionych przez ostre strzały.

Alena wzięła głęboki oddech. Z namysłem popatrzyła na brzeg strumienia, w to miejsce, w którym przed laty znalazła go śpiącego. Posmutniała. Uklękła i przycisnęła dłonie do zimnej i wilgotnej ziemi.

Monotonny szum wody przyniósł jej ukojenie. Długo siedziała nieruchomo, zatopiona we wspomnieniach. Przecież to właśnie tutaj zawiązała „węzeł miłości”, spleciony z dwóch kosmyków jasnych i kasztanowych włosów. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pomyślała, że Iain nosił go przy sobie przez te wszystkie lata.

Tutaj go wtedy pocieszała. Tutaj siedział zgnębiony, zrozpaczony chłopiec, który wbrew swojej woli stał się świadkiem morderstwa, zdrady i upadku swojego klanu. Zdrady, której ona sama do końca nie rozumiała.

To tutaj padły groźne słowa, do dzisiaj brzmiące jej w uszach: „Wróć. Po ciebie i po to. Grantowie mi zapłacą. Nie spocznę, póki nie pomszczę ojca. Póki ostatni z nich nie spocznie w grobie”.

Teraz mu mogła pomóc, choćby za cenę własnego szczęścia i przyszłości. Kochała go i wierzyła, że w chwili próby okaże się człowiekiem honoru.

Wyciągnęła sztylet z za pasa i zaczęła nim kopać w ziemi. Jedenaście lat. Kto wie, czy „skarb” wciąż leży tam, gdzie go ukryła? Minęło jedenaście śnieżnych zim i wiosennych roztopów.

Odrzuciła sztylet i dłońmi rozgarnęła ziemię. Niemal po łokcie zanurzała ręce w głębokiej jamie. Po minucie jej palce trafiły na coś twardego. Zajrzała do wykopanej dziury. Zobaczyła kawałek przegniłego drewna, poczerńiałego od długiego leżenia w mokrej ziemi, a pod nim - brązowy skrawek z wzorem Mackintoshów. Strzęp oddarty od pledu Iaina.

Zetlała tkanina rozleciała się w jej rękach. Alena ostrożnie wyjęła resztki zawiniątka. Znalazła inkrustowany sztylet, mroczną pamiątkę przeszłości, mogącą zmienić losy ich wszystkich. Na lepsze czy gorsze?

Drżącymi dłońmi uniosła sztylet na wysokość oczu. Miał długie, groźne ostrze, nadal błyszczące, choć w paru miejscach pokryte brązową rdzą. To była krew, przelana przed wieloma laty w podziemiach zamku Findhorn.

Czyja krew?

Czyj sztylet?

Iain znał odpowiedź. Był przekonany, że z pomocą tego właśnie sztyletu uda mu się pokonać Reynolda. Musiała mu go więc dostarczyć.

Obróciła broń w dłoniach. Podziwiała kunsztowną robotę złotnika i jubilera, który ozdobił rękojeść. W tej samej chwili pierwszy promień, słońca przedarł się przez listowie, zatańczył w klejnotach i zajaśniał roziskrzonym blaskiem.

Alena przypatrywała się temu jak urzeczona.

Uniosła sztylet jeszcze wyżej, podziwiając szafiry, rubiny i szmaragdy.

Tak była tym pochłonięta, że nie usłyszała ostrzegawczego parsknięcia ogiera ani miękkiego tupotu końskich kopyt po wilgotnej ziemi. Szum strumyka głośny wszelkie dźwięki.

Dopiero głośnie rzenie wyrwało ją z zamyślenia. Nie wstając z kolan, odwróciła się błyskawicznie w stronę ukrytego przejścia. Obronnym ruchem bezwiednie wyciągnęła sztylet przed siebie.

Serce w niej zamarło.

Tuż przed nią stał jakiś wojownik w barwach Grantów, z wielkim mieczem w dłoni.

Z trudem podniosła się na nogi. Za nią trzasnęła jakaś gałąź. Alena spojrzała przez ramię. Z tuzin zbrojnych wychynęło na drugim brzegu strumienia, odcinając jej drogę ucieczki. Nie знаła nikogo z nich. Wiedziała jednak, że należą do jej klanu i że wykonają rozkaz Reynolda. A on na pewno kazał ją schwytać.

Znalazła się w pułapce.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zginęłam, pomyślała. Już nie żyję. Iain także.

Będzie, co będzie, westchnęła z rezygnacją. Opuściła rękę. Ku jej zaskoczeniu żołnierz też schował miecz i odstąpił na bok pół kroku. Ktoś inny przecisnął się przez krzewy.

Alena niemal zemdląła na jego widok.

- Owen!

- Pani! Dobry Boże, nic ci się nie stało?!

Owen doskoczył do niej i w ostatniej chwili złapał ją za ramiona, zanim upadła na ziemię.

- Byłam pewna, że zginąłeś. Tam, w zamku.

- Nie. Otrzymałem paskudną ranę, ale daleko mi do śmierci.

Ruchem głowy wskazał na swoje lewe ramię, ciasno zabandażowane czystym kawałkiem lnianego płótna.

Alena wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy. Chciała upewnić się, że to naprawdę on, że nie ma do czynienia z duchem. Powiodła wzrokiem po reszcie zbrojnych. Spokojnie chowali miecze.

- Ale...

Żołnierz, który przed chwilą stanął przed nią jako pierwszy, chrząknął znacząco. Alena zerknęła na niego i szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

- Jezu! - szepnęła.

Owen podtrzymał ją i nie puszczał, póki się nie upewnił, że odzyskała równowagę. Przed nią stał bowiem...

- George Grant!

Wpatrywała się w niego oniemiała. Ostatni raz widzieli się zaledwie parę miesięcy temu, lecz w bojowym rynsztunku wydał się jej jakiś inny. Doroślejszy i pełen powagi.

Z wyjątkiem wzrostu, zupełnie nie przypominał Reynolda. Był szerszy w ramionach, lepiej zbudowany i młodszy - prawdopodobnie w wieku Iaina. Miał płową czuprynę i niebieskie oczy, całkiem inne niż Reynold.

Teraz postąpił krok naprzód i wyciągnął do niej rękę w grubej skórzanej rękawicy.

- Kuzynko - powiedział z uśmiechem. Podała mu dłoń.

- Więc już wiesz o mnie?

- Tak, pani.

- Nie ukrywałem, że jesteś córką Johna Granta, pani - wtrącił Owen. - Pokaż mu pergaminy.

Alena dopiero teraz zauważyła, że w prawej ręce wciąż ściska błyszczący sztylet. Usiłowała cofnąć lewą, ale George jej na to nie pozwolił.

- Nie ma potrzeby - powiedział szybko. - Od razu widać podobieństwo. Masz, pani, oczy i włosy Johna. - Przesunął po niej spojrzeniem. - I siłę, która dobitnie świadczy, że musisz być jego dzieckiem.

Alena wzięła głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić. Wreszcie odzyskała głos.

- Przybyłeś mi na pomoc, kuzynie? - zapytała.

- Być może - rzucił George. - Moje wojsko czeka na leśnym szlaku.

Westchnęła z ulgą i odrobinę mocniej ścisnęła go za rękę.

- Nie służysz naczelnikowi klanu?

- Reynoldowi? Po śmierci twego ojca przysięgałem mu wierność, zresztą na wyraźne życzenie rady. Ale on pierwszy złamał śluby opieki nad członkami klanu. - George spowaźniał. - Wiele słyszałem o jego zachowaniu i żałuję, że nie przybyłem wcześniej. Moje ziemie leżą niemal dzień jazdy na wschód. Dopiero Owen otworzył mi oczy. Rozmawiałem już o tym z radą. Wszystkie dawne przysięgi zostały anulowane. Nie będziemy popierać gwałtów i rozbojów,

Alena z niedowierzaniem wpatrywała się w przystojną twarz George'a. Mogła mu wierzyć? W gruncie rzeczy, nie miała żadnego wyboru. Zacisnęła zęby i uniosła rękę ze sztyletem.

George zmrużył oczy. Rysy zastygły mu w kamienną maskę.

- Wiesz, co to jest, kuzynie? - zapytała dziewczyna. Zamrugał gwałtownie.

- Wiem. - Przesunął palcem po bogato zdobionej rękojeści. - Skąd to masz?

Zawahała się. Rzuciła okiem na jamę w ziemi nad brzegiem potoku. Boże, spraw, żeby mnie nie zdradzili, pomyślała.

- Dostałam... od Iaina Mackintosha. Jedenaście lat temu. George chwycił ją za ramię i ścisnął tak mocno, że aż się skrzywiła z bólu.

- Ale...

- To musi mieć coś wspólnego z tamtymi morderstwami! - zawołała, wijąc się w jego uścisku. - Nie wiem, co, bo Iain nie chciał

mi powiedzieć. Kazał mi to przechować do swego powrotu. I tak też zrobiłam.

Ruchem głowy wskazała wykopaną jamę. George ją puścił. Westchnęła z ulgą i roztarta obolałe ramię. Czowała, jak powoli mija odrętwienie.

Owen klęknął przy rozkopanej ziemi, dotknął drzazg pozostałych z drewna i błyszczącym wzrokiem popatrzył na zetlałe szczątki pledu Iaina. Pozbierał je co do jednego i złożył w dłoniach George'a. Alena obserwowała to w milczeniu.

- Tartan Mackintoshów - zawyrokował George. Zbutwiała tkanina rozpadła mu się pod palcami. - Musiała długo leżeć w ziemi.

- Jedenaście lat - przytaknęła Alena.

Patrząc na nią, położył dłoń na rękojęści sztyletu. Oddała mu go, chociaż serce waliło jej jak młotem. George zważył sztylet w rękę, a potem uniósł go nad głowę, pokazując swoim żołnierzom. Odpowiedzieli mu głuchym pomrukiem i kilkoma cichymi gwizdnięciami.

- Co miałaś zamiar z tym zrobić?

- Muszę go oddać Iainowi. W tej chwili zbliża się do zamku Findhorn, na spotkanie z klanami Chattan. - Zniżyła głos. - Tam czeka w zasadzce czterystu zbrojnych Reynolda.

George zmarszczył brwi i ponownie popatrzył na sztylet.

Alena nie widziała najmniejszego powodu, żeby ukrywać przed nim prawdę. Czas naglił. Potrzebowała wsparcia ze strony potężnego kuzyna.

- Będzie wojna - powiedziała. - Iain żąda zwrotu swoich ziem i zamku Findhorn, od lat przetrzymywanych przez Reynolda.

George popatrzył jej prosto w oczy i powoli pokiwał głową.

- Wiem o tej rodowej waśni. - Ale Iain ma za mało ludzi, żeby wygrać w tym starciu!

- zawołała. - Nawet z poparciem wszystkich klanów Chattan.

- Właśnie, co z nimi? Davidson, MacBain, Macgillivray. Staną po jego stronie? - spytał Owen.

- Będą tam, ale co zrobią? Tego nikt nie wie. - Wskazała na sztylet spoczywający w dłoni George'a. - Myślałam, że to w czymś pomoże. Nie wiem jednak, jak taki drobiazg może zmienić uczucia dziesiątków żołnierzy.

George przypatrzył jej się uważnie.

- Moja kuzynko, darzysz Mackintosha silnym uczuciem.

- To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- To prawda.

- Stanęłabyś po jego stronie przeciwko naszym?

- Nie! Nawet nie mam takiego zamiaru. - Położyła mu rękę na dłoni. - Nie chcę jednak, by zginął. Nie pragnę śmierci jego ludzi. Życzę mu, aby odzyskał utraconą własność. - Przerwała na chwilę i odważnie wytrzymała badawcze spojrzenie krewniaka. - A jeśli to oznacza klęskę Reynolda. Cóż, niech tak będzie, choćby za karę za to, co on zrobił naszym ludziom.

George odwrócił się nagle i przeszedł na drugą stronę polanki. Zbrojni rozstąpili się, by dać mu więcej miejsca. Z namysłem popatrzył na sztylet. Alena obserwowała go z napięciem. Serce jak oszalałe tłukło się w jej piersi, a na czoło wystąpiły grube krople potu. Z trudem panowała nad zdenerwowaniem. Boże, co ja pocznę, jeżeli powie „nie”? - pomyślała z rozpaczą.

George zatrzymał się i spojrzał na nią.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pomożesz mi? - spytała bez ogródek. - Zawieziesz mnie do Findhorn?

Milczał przez chwilę. Trwało to tak długo, że Alena uznała, że już wszystko stracone. Wreszcie rozchmurzył się.

- Wydaje mi się, że nie wiem jeszcze wszystkiego - rzekł.

Ku zdziwieniu Aleny, oddał jej sztylet. Wzięła go i w miejsce własnego zatknęła za pasem.

- Opowiesz mi o tym, kuzynko, w drodze do Findhorn.

W pierwszej chwili nie w pełni zrozumiała, co do niej powiedział. Potem z głębi piersi wyrwało się jej głośne westchnienie ulgi.

- Nie obiecuję, że pomogę temu Mackintoshowi - zastrzegł się George. - Ale pojedę z tobą do Findhorn i tam zobaczę, co należy zrobić.

- Zdradzisz mi przy okazji tajemnicę tego sztyletu? - Alena położyła dłoń na wysadzonej klejnotami rękojeści.

- Owszem. Niejednego powinnaś się jeszcze dowiedzieć. - George dał nura w krzaki i skinął na nią. - Lecz o tym później. - Podeszli do koni. - Teraz musimy jechać.

Chwilę potem siedzieli już w siodłach. George z uznaniem przyglądał się wyprostowanej sylwetce Aleny.

- Dobrze jeździsz, kuzynko? - zapytał z uśmiechem.

- Sam się przekonasz, kuzynie - odpowiedziała. Roześmiała się. Jego niebieskie oczy błysnęły w świetle poranka.

- Chciałbym cię bliżej poznać.

- A ja ciebie.

Ruszyli z kopyta. Alena wiedziała, że kiedy dotrą do leśnego traktu, skręcą na zachód, do Findhorn. Pamiętała z dzieciństwa, że Iain zawsze tak robił.

Słońce stało już wysoko nad drzewami. Dzień był ciepły. W powietrzu unosił się mocny, niemal odurzający zapach dzikich ziół i kwiatów. Alena ponagliła czarnego ogiera.

W oddali zobaczyła duży oddział uzbrojonych jeźdźców.

Odwróciła się w stronę George'a.

- To twoi ludzie? - zapytała.

- Tak! - zawołał. - Pełne dwie setki.

Wjechali na szczyt wzgórza. Tętent kopyt zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Oddział dołączył do nich w pełnym pędzie i odtąd jechali razem. Alena nigdy przedtem nie widziała tak wielu zbrojnych w pełnym bitewnym rynsztunku. Wyglądali naprawdę groźnie. W ich obecności czuła się nieswojo, choć przecież należeli do jej klanu.

Przejechali jeszcze kawałek, aż George uniósł rękę i dał sygnał do postoju. W oddziale zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na dowódcę.

- Słuchajcie uważnie! - zawołał George Grant. - Ta dama jest moją kuzynką. - Podjechał bliżej do Aleny i położył rękę na jej ramieniu. - To Alena Grant, córka Johna z zamku Glenmore! Macie ją chronić i słuchać jej na równi ze mną!

Alena powiodła wzrokiem po twarzach wojowników.

George, równie nagle jak się zatrzymał, dał sygnał do dalszej jazdy. Oddział popędził naprzód. Czarny ogier bez trudu wysforował się naprzód.

Chwilę później, gdzieś z boku, rozległ się głośny okrzyk. Szczęknęła stal.

- Alena!

Od razu rozpoznała ten głos i błyskawicznie skręciła między drzewa. George skoczył za nią, wzywając ją do powrotu. Nie zwracała na to uwagi. Zbrojni, zajęci potyczką na flance, nie próbowali jej zatrzymać.

Przemknęła pomiędzy nimi i gwałtownie ściągnęła wodze. Szeroko rozwartymi oczami popatrzyła na dwóch wojowników, otoczonych przez ludzi George'a. Mrowie mieczy błyskało w słońcu, grożąc im nagłą śmiercią.

- Will! Drake! - krzyknęła. Pchnęła karosza do przodu. George był szybszy. Stanął pomiędzy nią a dwoma intruzami.

- Nie! - Rzucił jej złe spojrzenie i dobył miecza. Zimna stal ze świstem przecięła powietrze. Alena zlekła się, że George zechce posiekać jej przyjaciół.

- Kim jesteście? - zapytał.

Will dumnie wyprostował się w siodle, lecz strach czaił się w jego oczach.

- Jestem Will z klanu Mackintoshów. A to Drake, mój kuzyn i towarzysz broni. - Wskazał na zwiadowcę. - Otrzymaliśmy polecenie, by chronić tę damę - popatrzył na Alenę - i domagamy się jej zwrotu.

George skrzywił się pogardliwie.

- Chronić? - spytał. - Dobrze sobie!

Szarpnął wodze i znalazł się tuż przy Alenie. Wolną ręką wyrwał sztylet z za pasa.

- Mógłbym jej poderznąć gardło, zanim któryś z was zdołałby się ruszyć.

Will gniewnie błysnął oczami. Zacisnął zęby i mocniej pochwycił rękojeść miecza.

- Will, nie! - krzyknęła Alena.

Z tuzin wojowników siedziało mu już na karku. George podjechał do Willa. Potrząsnął głową.

- Uspokój się, człowieku. Ta dama jest moją kuzynką. Teraz znalazła się pod moją opieką.

Will patrzył to na George'a, to na Alenę. Drake szeroko otworzył usta ze zdumienia.

- To prawda - przytaknęła Alena. - To mój kuzyn, George Grant.

Will przyjrzał mu się uważnie.

- Słyszałem już to imię.

- Powinieneś - butnie rzucił George. - A teraz znikaj, bo cię poszatkuje.

Młodzieniec, nie starszy od niego, nie uląkł się tej pogróżki. Odważnie spojrział mu w oczy.

- Tylko z Aleną - odparł.

- Jedziemy do zamku Findhorn - wtrąciła szybko, żeby zażegnać niebezpieczeństwo. - Kuzyn chce mi pomóc.

- Szukamy Iaina Mackintosha - dodał George. - Mamy coś, co może mu się przydać.

Alena instynktownie dotknęła zdobionej rękojeści sztyletu. Will spojrzał na nią ze zdumieniem. Zerknął na Drake'a. Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Znacie to miejsce? - spytał George. - Chodzi mi o Findhorn.

- Tam się urodziłem - odparł Will.

- W takim razie, możesz nas poprowadzić.

Will przyglądał im się spode łba. Przez chwilę trwało napięte milczenie. Pierwsza nie wytrzymała Alena.

- Spróbuj choć trochę nam zaufać - powiedziała. George schował miecz i spod oka popatrzył na Willa.

- Chyba nie masz wyboru, prawda? - rzekł ze źle skrywaną drwiną.

Twarz Willa nieco złagodniała. Poprawił się w siodle i wepchnął miecz do pochwy. Drake postąpił za jego przykładem, choć nadal czujnie mierzył wzrokiem otaczających go Grantów.

Will z rezygnacją uśmiechnął się do Aleny i przeniósł spojrzenie na George'a.

- Jedźcie za mną - powiedział. - Znam drogę na skróty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zamek Findhorn górował szarą bryłą nad nagą i postrzępioną równiną. Iain osłonił oczy od słońca i powiódł wzrokiem po ruinach swojej dawnej siedziby. Warownię zbudował jego dziad, jeszcze za panowania Malcolma, niemal pięćdziesiąt lat temu. Kiedyś było to miejsce pełne życia, często tętniące śmiechem. Iain prawie już nie pamiętał tamtych czasów. Może to tylko sen, który mi się przyśnił w dzieciństwie? - pomyślał. Dawne marzenia? Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na pustą kamienną skorupę.

Gdy teraz myślał o swoich młodych latach, nie pamiętał twarzy rodziców i obu młodszych braci. Oczy ma wyobraźni widział umorusaną buzię dziewczynki ze słońcem w zielonych oczach i liśćmi w złocistych włosach. Leśna boginka z cichego uroczyiska nad szmerzącym strumieniem. Tam było jego miejsce.

Dała mu swoją miłość i zaufanie. Cenne dary, które odepchnął w imię powinności wobec własnego klanu. Musiał to zrobić - dla swoich ludzi i dla honoru rodu,

Iain odchylił głowę i głęboko zaczerpnął powietrza. Świeży zapach lata mieszał się z ostrą wonią spoconych koni i niemytego ludzkiego ciała. Spojrzał przed siebie, na równinę, na której stało pięćuset zbrojnych w barwach Grantów.

Ponad połowa z nich dosiadała bojowych rumaków. Byli gotowi do bitwy. Gdzieś wśród nich czekał Reynold Grant.

Już czas.

Iain zatoczył koniem i podjechał do Alistaira i Gilchrista. Jak na komendę, odwrócili głowy i obrzucili go ponurym, zatroskanym spojrzeniem.

- Nie powinienes tu być, wuju - powiedział. - To nie twoja walka. Alistair uśmiechnął się.

- Moja, chłopcze. Twój ojciec był mi szwagrem. Nie palę się do bitki, ale tam, gdzie trzeba, nie ustępuję pola. Nie cofnę się, dopóki nie odzyskasz tego, co ci się słusznie należy.

Iain położył mu rękę na ramieniu.

- W takim razie, do dzieła.

Zbrojni Macgillivrayów wyrównali szeregi z Davidsona - mi i Mackintoshami. Wyjechali na trawiastą przestrzeń okalającą zamek Findhorn. Było ich prawie trzy setki. Za mało. Iain obejrzał się i zobaczył starego MacBaina z setką ludzi, czekających na szczycie

pobliskiego wzgórza. Nie opowiedzieli się jeszcze po żadnej stronie. Nikt nie wiedział, czy w pewnej chwili nie zawrócą do domu.

Hamish zajął pozycję po lewej ręce Iaina. Gilchrist został przy Alistairze, w zastępach Davidsonów. Oddziały Grantów wciąż stały nieruchomo, mierząc wzrokiem nadciągające siły trzech klanów. Iain uniósł rękę. Zatrzymali się w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp od wroga.

Alena miała całkowitą rację. To będzie krwawa łaźnia. Dzięki Bogu, że jest daleko i nie musi tego oglądać, pomyślał Iain. Do tej pory nie brał pod uwagę tego, co się z nią stanie po jego śmierci.

Wysunął się nieco naprzód i galopem przejechał wzdłuż szeregów, do miejsca, w którym stali Alistair i Gilchrist. Hamish jak cień podążał za nim. Iain skinął na niego, by się zbliżył.

- Mam do was prośbę - powiedział, zwracając się do całej trójki.
- Gdybym padł w bitwie, zadbajcie o Alenę.

W milczeniu skinęli głowami. Jedyne Gilchrist przemówił w imieniu wszystkich:

- W razie potrzeby obronimy ją nawet za cenę życia, bracie.

Iain popatrzył mu prosto w oczy. Nigdy nie darzył brata większą miłością niż w tej chwili.

W szeregach wroga powstało jakieś zamieszanie. Iain szybkim ruchem ściągnął łuk z ramienia. Grantowie rozstąpili się, robiąc miejsce dla nowego jeźdźca.

Przybysz samotnie wyjechał naprzód. Dosiadał ciężkiego rumaka. Iain poczuł, że coś go gniecie w dołku, kiedy rozpoznał to posępne oblicze.

Reynold Grant.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Iaina. On zaś mocno ścisnął łuk w rękę. Jeden strzał i za kilka sekund już będzie po kłopotcie.

Reynold spoglądał nań płonącem wzrokiem.

Nie. To byłoby zbyt łatwe, pomyślał Iain. Musi zginąć od ciosu ojcowskiego miecza. Rzucił łuk i kołczan na ziemię.

Reynold roześmiał się kpiąco.

- Mackintosh! - zawołał. - Co cię tu sprowadza? Iain spojrzał mu prosto w oczy.

- Dobrze wiesz, po co przychodzę. - Wyciągnął rękę w stronę zamku. - Chcę odebrać co moje i dokończyć pewną dawno rozpoczętą sprawę.

Wzrok Granta padł na szczupłe oddziały Iaina. Reynold parsknął śmiechem, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Z nimi? - Lekceważącym gestem wskazał na klany Chattan.

Iain powściągnął gniew.

- Z nimi - przytaknął. Reynold śmiał się jak oszalały, upiornym, piskliwym chichotem.

- Zabawny jesteś, Mackiniosh. Teraz już wiem, dlaczego moja piękna kuzynka tak bardzo do ciebie łgnie.

Iain zacisnął zęby i powstrzymał się od ciętej odpowiedzi.

- Nie daj się sprowokować - szepnął Hamish za jego plecami. - Panuj nad każdym swoim posunięciem.

Iain kątem oka dostrzegł, że Alistair potakująco skinął głową.

Reynold zebrał się w sobie, stanął w strzemionach i szybkim ruchem wyciągnął miecz z pochwy. Iain naprężył mięśnie.

- Poddaj się, młodziku! - krzyknął Reynold. - To może nie zgwałcimy kobiet z twego klanu i nie wytłuczemy dzieci!

Zgiełk wybuchł w klanach Chattan. Konie tańczyły i waliły kopytami w ziemię. Iain zobaczył ze zdziwieniem, że po tych okrutnych słowach nawet zbrojni Reynolda z niechęcią popatrzyli na swojego pana.

- Człowiek, który wypowiada wojnę kobietom i dzieciom, nie zasługuje na miano naczelnika klanu! - Głos Iaina przebił się przez ogólną wrzawę.

Reynold roześmiał się, nie widząc, że jego ludzie dali krok do tyłu.

MacBain przypatrywał mu się uważnie. Jeszcze nie podjął decyzji. Z napięciem czekał na dalsze posunięcie Granta.

- Widzę, że już wiedziałeś wcześniej o naszej obecności! - zawołał Reynold do Iaina. - Popsułeś mi niespodziankę!

- Popsułem - krótko rzucił Iain.

- Och. To zapewne moja piękna kuzynka dopuściła się tej niecnej zdrady. No cóż, Perkins dostanie za swoje, że znowu pozwolił jej uciec.

Teraz Iain się uśmiechnął.

- Spóźniłeś się. Już dostał, chociaż szczerze mówiąc, wywinął się zbyt łatwo.

Reynold nastroszył brwi.

- A kuzyneczka? Gdzie jest teraz?

- W odległym i bezpiecznym miejscu. Na pewno jej nie znajdziesz.

- Znajdę, znajdę. A jak już znajdę... Powiedz sam, który mężczyzna nie uległby czarowi jej złotych włosów i zielonych oczu?

Miecz Iaina błysnął w powietrzu.

- Dotknij jej, ty morderco, a z mojej ręki padną wszyscy Grantowie stąd aż do Inverness!

Wojownicy Chattan dobyli broni. Rumak Iaina skoczył naprzód. Grantowie niepewnym wzrokiem spoglądali na swojego pana.

MacBain wyciągnął miecz i popatrzył na Iaina. Skinał na swoich, żeby dołączyli do klanów Chattan. Mimo to, wciąż ich było mniej niż Grantów.

Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Zaczęło się, pomyślał Iain.

Łomot kopyt przetoczył się nad wrzosowiskiem. Iain ściągnął wodze i zatrzymał konia nie dalej niż dwadzieścia stóp od Reynolda. Na tyłach Grantów powstało zamieszanie. Wojownicy ustępowali pola przed nadciągającym wojskiem. Klany Chattan zamaryły w bezruchu, czekając, co będzie dalej. Nawet Reynold obejrzał się przez ramię? Iain zmarszczył brwi. Coś go ścisnęło w gardle.

- A niech to piekło pochłonie! - zaklął pod nosem. Dwustu wojowników w pełnym rynsztunku i w barwach Grantów wjechało na pole bitwy. Sunęli przez oddziały Reynolda niczym groźny owczarek przez stado owiec. Gdy znaleźli się bliżej, Iain przymknął oczy z przerażenia.

- Alena!

- Dobry Boże! - krzyknął Alistair.

- Są z nimi Will i Drake - zauważył Hamish, stając tuż obok Iaina.

Wojownicy Chattan półkolem otoczyli swoich wodzów. MacBain i Macgillivray dołączyli do Alistaira i Iaina. Stali tak ramię w ramię, spoglądając po sobie z powagą, ale Iain zdawał się ich nie zauważać.

Patrzył wyłącznie na Alenę. Jechała na karoszu, dumna niczym królowa. Trzymała się prosto, jakby niejednokrotnie wiodła zastępy

do bitwy. Po obu stronach miała dwóch Grantów o zimnych, zaciętych twarzach. Tuż za nią podążało sześciu zbrojnych gwardzistów, wśród nich Will i Drake.

Barczysty młodzian po prawej stronie obrzucił ją krótkim spojrzeniem, zanim stanęli przed Reynoldem.

Iain wyteżył wzrok, niespokojny, czy nie doznała żadnej krzywdy. Nie bał się śmierci, ale wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby Alena wpadła w łapy Reynolda.

Ona zaś popatrzyła na wojska Mackintoshów. Kogoś szukała. Wreszcie spostrzegła Iaina i uśmiechnęła się promiennie.

- Iain! - zawołała. Chciała do niego podjechać, lecz płowowłosey młodzian przechwycił jej wodze.

Iain uniósł miecz. Alistair błyskawicznie wysunął rękę w poprzek jego piersi.

- Nie! - powiedział stanowczo. - Zobaczymy, co to wszystko znaczy.

Will poczuł, na sobie wzrok Iaina. Wzruszył ramionami i popatrzył w ziemię.

Na Boga, nie daruję mu, że oddał Alenę w ręce Grantów! - pomyślał Iain.

Reynold próbował podjechać bliżej do dziewczyny, ale wojownicy, stojący po jej lewej ręce, nie pozwolili mu na to. Twarz Granta pociemniała z gniewu; długa blizna, przecinająca mu policzek, przypominała teraz krwawą pręgę.

- Owen! - zgrzytnął Reynold. - Potem się z tobą policzę. Z tobą i twoimi ludźmi.

Odwrócił się do płowowłosego młodzieńca.

- Cóż to, kuzynie, przybyłeś popatrzeć, jak naczelnik klanu radzi sobie z garstką buntowników? - Ruchem głowy wskazał klany Chattan.

- To George Grant - szepnął Alistair. Młodzieniec nie odpowiedział.

Reynold rzucił mordercze spojrzenie Alenie. Nie uszło to uwagi Iaina.

- Widzę, że sprowadziłeś moją narzeczoną - odezwał się Reynold do George'a. - Bardzo się z tego cieszę.

Ku zaskoczeniu wszystkich, George Grant pchnął konia naprzód.

- Który z was to Iain Mackintosh?

- Ja! - donośnym głosem odpowiedział Iain, żeby go wszyscy słyszeli.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. George wyprostował się w siodle.

- Przywiodłem ci moją kuzynkę, zgodnie z jej życzeniem - powiedział. Wskazał na Alenę.

Iain, choć się bardzo starał, nie potrafił ukryć zdziwienia. Z osłupieniem popatrzył na George'a. Reynold zmarszczył brwi.

- Co to znaczy? - warknął.

- To bardzo proste, kuzynie - odpowiedział George. - Ta dama chce coś zwrócić naczelnikowi Mackintoshów.

Iain wstrzymał oddech. Alena odrzuciła pled. Słońce zamigotało tęczą w dziesiątkach klejnotów wiszących jej u pasa. Jednym ruchem wyrwała sztylet z pochwy i uniosła go wysoko nad głowę.

Szmer przebiegł w szeregach wojowników.

Reynold szeroko otworzył usta i podskoczył jak dźgnięty nożem, czym przestraszył swojego rumaka. Zwierzę dało parę kroków w bok, na otwartą przestrzeń pomiędzy szeregami wrogich wojowników. Zanim Reynold zdołał je opanować, znalazł się w okrążeniu, po jednej stronie mając George'a i zbrojnych Owena, po drugiej zaś - klany Chattan.

Iain jak urzeczony wpatrywał się w sztylet. Podziwiał odwagę Aleny. Wierzchem dłoni otarł łzy wzruszenia. Podjechał bliżej i wbił spojrzenie w poszarzałą twarz swojego najgorszego wroga.

George wyjechał mu na spotkanie.

- Pani powiada, że przed jedenastu laty dałeś jej ten sztylet na przechowanie,

- To prawda - potwierdził Iain.

- Skąd go wzięłeś?

- To sztylet, który mój ojciec wyciągnął z pleców Henry'ego Granta.

Wśród wojowników znów dało się wyczuć lekkie poruszenie. Iain na chwilę przymknął oczy i wrócił wspomnieniami do tamtego dnia i tamtej potwornej sceny. Widział ją tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Przepchnął się przez walczących i dopadł martwego ciała ojca. Płakał jak bóbr, dygotał i mdliło go z przerażenia. Zacisnął w dłoniach rąbek skrwawionego pledu i przylgnął policzkiem do zimnego czoła

Columa Mackintosha. Nie znalazł w ojcu ani odrobiny życia. Colum leżał na wznak, zimny i nieruchomy, ze szklanym wzrokiem martwo patrzącym w powałą.

Umarł... zabity... zamordowany...

Cicha złość, ukryta, ale przez to o wiele groźniejsza, zmusiła Iaina do działania.

Nie miał broni, więc gorączkowo rozejrzał się wokół siebie, w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mu wziąć udział w walce. Kątem oka dostrzegł jakiś złoto - srebrny błysk, więc zwrócił głowę w tamtą stronę. W świetle pochodni połyskiwały szmaragdy i rubiny. Był to sztylet, przed chwilą wyciągnięty przez Columa Mackintosha z ciała Henry'ego Granta. Iain musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby wyrwać go z kurczowo zaciśniętej dłoni ojca. Przez chwilę wpatrywał się w bogato zdobioną rękojeść. Nigdy przedtem nie widział czegoś tak pięknego, co zarazem niosło gwałtowną śmierć.

Włos zjeżył mu się na karku. Odwrócił głowę i napotkał spojrzenie młodego Reynolda Grania. Widział dwoje zimnych i świdrujących oczu, bladą twarz i jasne, niemal białe włosy. To nie był człowiek, ale raczej któryś z nordyckich bogów, żerujących na ludzkim nieszczęściu.

- Chłopcze - przemówiła zjawa z nieziemskim spokojem. - Oddaj mi ten sztylet.

Z miecza Reynolda wciąż kapłała krew zabitego Columa. Iain zerwał się na równe nogi i cofnął w stronę beczek.

- Nie. Nie oddam.

- Oddasz.

Reynold skoczył ku niemu, ale chłopak był szybszy. Schował się za beczkami i pobiegł do schodów. W dłoni ścisnął zdobiony sztylet. Poczul przyływ niewiarygodnej siły.

Stał się prawdziwym Mackintoshem. Na nim spoczywał teraz obowiązek zemsty za wszystko, co się tu zdarzyło.

W piwnicy kłębiło się od walczących. Iain wbiegł po kamiennych schodach do zamku, przemknął przez kuchnię, wypadł na zewnątrz i zniknął w ciemnościach nocy.

Głos George'a wyrwał go z zamyślenia. Szeroko otworzył oczy. Młody wojownik wyrwał sztylet z dłoni Aleny i podniósł go nad głowę.

- Znacie tę broń? - zawołał donośnie. Odpowiedziały mu głośne okrzyki stojących za nim Grantów.

- W całej Szkocji istniały tylko dwa takie sztylety! - ciągnął George. - Zrobiono je na rozkaz Johna Granta! Jeden trafił do rąk jego syna, Henry'ego, drugi zaś - do siostrzeńca, Reynolda!

MacBain podjechał bliżej, przechylił na bok głowę i uważnie obejrzał sztylet

- To prawda! - krzyknął. - Teraz pamiętam! Obaj młodzieńcy nosili je u pasa tamtego dnia, w czasie wizyty na zamku Findhorn!

Reynold zacisnął zęby.

- Owszem - wycedził. - Stary Mackintosh zabił biednego Henry'ego jego własną bronią.

MacBain ponownie skinął głową.

- Sam widziałem Columa schylonego nad ciałem, z zakrwawionym sztyletem w ręku!

- Być może! - zawołał George. - Nie było mnie tam, więc nie mogę temu zaprzeczyć ani tego potwierdzić! Byłem jednak na pogrzebie kuzyna Henry'ego i choć liczyłem wówczas niewiele wiosen, dobrze pamiętam, że pochowano go razem ze sztyletem!

MacBain głęboko zachłysnął się powietrzem. Zapadła cisza. Iain rzucił szybkie spojrzenie w stronę Alistaira i Macgillivraya. Sztywno siedzieli w siodłach, z poważnymi minami wpatrzeni w plecy Reynolda.

- Zatem, kuzynie - powiedział George - Czyj to sztylet widzimy dzisiaj? Wszak nie znajduję drugiego za twoim pasem!

Reynold wściekle łypnął oczami i machnął mieczem w powietrzu. Krąg wojowników wokół niego zacieśnił się. Szarpnął koniem raz w lewo, raz w prawo, ale nie mógł się wyrwać.

- Co to za kłamstwa? - spytał. - Wierzycie mu? Splunął na George'a i powiódł wzrokiem po twarzach swoich żołnierzy. Nie patrzyli mu w oczy. Iain zauważył grymas strachu na jego bladym obliczu.

Macgillivray pchnął konia naprzód.

- Czasami prawda bywa przejrzysta niczym górski strumień! - zawołał. - Zamordowałeś Henry'ego.

- Własnego kuzyna - zimno dodał Iain. - Dzięki temu mogłeś liczyć na wszystkie przywileje i dobra, które w przeciwnym razie przypadłyby prawowitemu spadkobiercy Johna Granta.

Szeregi wojów cofnęły się o parę kroków, pozostawiając Reynolda samego w otoczeniu Iaina, George'a i przywódców Chattan.

- Wbiłeś Henry'emu nóż w plecy i całą winę zrzuciłeś na mojego ojca - kontynuował Iain. - Potem zabiłeś go w udawanej zemście, a wraz z nim wymordowałeś setki moich ziomków!

Przez chwilę słychać było jedynie poszum wiatru wiejącego nad wrzosowiskiem i ciche parskanie koni, niecierpliwących się przed bitwą.

- Swoim postępkom przyczyniłeś się do wielu innych nieszczęść. - Iain wpatrywał się w twarz Reynolda. - Córka MacBaina była narzeczoną Henry'ego. Zrujnowałeś jej życie, lecz co gorsza, zniszczyłeś olbrzymi sojusz. Klany Chattan rozpadły się po śmierci mojego ojca. Zniszczyłeś dzieło jego życia. Twoja zdrada sprawiła, że dawni przyjaciele przez całe lata podchodzili do siebie z nieufnością.

- To nie wszystko - dorzucił George. - John Grant nie żyje. Nie mam najmniejszych wątpliwości, kto przyczynił się do jego śmierci.

Znacząco popatrzył na Reynolda. Iain powiódł spojrzeniem po twarzach pozostałych wodzów. Sztywno siedzieli w siodłach, kiwając głowami. Stał w strzemionach i z tłumu wyłowił wzrokiem twarz Aleny. Miała oczy pełne łez. To był rozdzierający widok. Musiał ją zabrać stad jak najszybciej.

Will podjechał do niej. Iain lekko skinął głową, dając mu wyraźny rozkaz. Will chwycił wodze czarnego ogiera. Drake niemal natychmiast znalazł się z drugiej strony. Wyjechali z tłumu wojowników. Na znak George'a towarzyszył im jeden z Grantów.

Alena usiłowała uwolnić się spod ich opieki, ale wbrew jej woli odwieźli ją na szczyt niedalekiego wzgórza, wysokiego na tyle, aby mogła widzieć całe pole walki. Iain słyszał jej protesty, lecz poświęcił jej tylko jedno przeciągłe spojrzenie i na powrót zajął się wrogiem.

Żołnierze Chattan zwarli szyki, a George cofnął swojego rumaka i stanął w pierwszej linii zbrojnych.

Reynold zatoczył kolo. Rozpaczliwie szukał poparcia wśród garstki ludzi, jacy mu jeszcze zostali. Mocno wbił pięty w boki konia. Wierzchowiec kwiknął boleśnie i stanął dęba, nieomal zrzucając jeźdźca na ziemię. Skórzana opaska spadła Reynoldowi z głowy i długie jasne włosy rozsypały mu się na ramiona, zakrywając część twarzy. Wyglądał teraz jak opętany.

- To nic nie zmienia! - krzyknął nieswoim głosem. Uniósł miecz.

- Zmienia, mój chłopcze - spokojnie powiedział MacBain.

Iain dał znak swoim wojownikom. Zgrzytnęła stal i setki mieczy zabłyśły w promieniach słońca. Reynold wykrzykiwał przeróżne rozkazy. Ci, którzy stali najbliżej niego, niechętnie posunęli się naprzód.

George ustawił swój oddział na flance wojsk Reynolda. Z niezmaconym spokojem popatrzył na Iaina. Jego niebieskie oczy były nieruchome jak toń jeziora.

- Nie chciałbym mu pomagać! - krzyknął do Iaina. - Ale jestem Grantem i nie pozwolę, abyś bezkarnie zabijał ludzi z mojego klanu!

Masz, czego chciałeś, pomyślał Iain. Za sobą miał połączone siły czterech klanów, przed sobą - mrowie Grantów, czekających w pogotowiu.

Otarł pot z czoła i mocniej ścisnął w dłoni rękojeść ojcowskiego miecza. To było jego przeznaczenie. Przez całe swoje dorosłe życie dążył do tej chwili. Jego los miał się dopełnić tutaj, na równinie pod zamkiem Findhorn. W cieniu dawnej rodowej siedziby. Stawką w tej bitwie był honor klanu i utracone dobra Mackintoshów. Nie wspominając już o zemście.

Uniósł rękę. Głośny okrzyk poniósł się nad wrzosowiskiem, Iain popatrzył na Reynolda. Już poczuł w ustach smak krwi. Wystarczyło, żeby dotknął ziemi sztychem miecza, a czterystu zbrojnych Chattan rzuciłoby się na Grantów.

Iain w dalszym ciągu stał nieruchomo. Krzyk przycichł i zmienił się w groźny pomruk. Iain powiódł wzrokiem od Reynolda do George'a. Obaj czekali z dobytą bronią.

Nagle zrozumiał absurd całej sytuacji.

Wokół siebie miał setki ludzi: Grantów, Mackintoshów, Davidsonów, Macgillivrayów i MacBainów. Miał ich rzucić przeciwko sobie? W ten sposób chciał wypełnić dawne marzenie ojca? Miałby ciągnąć krwawą rodową waśń przez następne pokolenia?

Pokręcił głową.

A zemsta?

Powoli spojrział na niewielkie wzgórze na skraju bitewnego pola - tam, gdzie na tle szarej bryły kamiennych murów zamku Findhorn widać było cztery niewielkie postaci. -

Alena stała obok czarnego ogiera. Dłonie wsparła na biodrach. Złociste włosy powiewały jej na wietrze.

Podchwycił jej spojrzenie i z wolna opuścił miecz.

Hamish pochylił się i szepnął mu wprost do ucha:

- Co teraz?

Iain oderwał oczy od Aleny i popatrzył na swoich wrogów. Wiedział już, co powinien zrobić. Był gotów.

- Reynoldzie Grant! - krzyknął. - Ten zatarg dotyczy tylko nas. Nie ma potrzeby, by dzielni ludzie ginęli z naszej winy! - Wskazał na zbrojnych, stojących w pogotowiu po obu stronach równiny.

George uśmiechnął się lekko, jakby z przyzwoleniem. On także opuścił rękę. Jego żołnierze przestali wznosić wojenne okrzyki.

Alistair podjechał do Iaina i popatrzył na niego z uznaniem.

- Słuszna decyzja, chłopcze.

Reynold ze zmarszczonymi brwiami spoglądał to na Iaina, to na George'a. Kuzyn odwrócił głowę w drugą stronę. Reynold zdecydowanie machnął mieczem. Kilku stojących za nim wojowników, cofnęło konie i wbiło wzrok w ziemię. Twarz Reynolda posiniała z bezsilnego gniewu. Na szyi wystąpiły mu grube żyły.

Iain przerzucił nogę przez zad konia i lekko zsunął się na ziemię. Zdjął koszulę i równym krokiem wyszedł na środek pola. Twardo popatrzył na Reynolda i nagłym ruchem wbił miecz w ziemię. Wsparł się pod boki i dał krok do tyłu, czekając na odpowiedź wroga.

Tysiąc par oczu spoczęło na Reynoldzie Grancie.

Zeskoczył z konia i rozebrał się do pasa. Z jego oczu wyczierała żądza mordy. Ścisnął miecz w dłoni i postąpił naprzód.

- Niech tak będzie - rzekł.

Iain uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Iain!

Alena pomknęła w dół zbocza, zanim Will i Owen zdążyli ją zatrzymać. W mgnieniu oka dotarła na pole niedosłej bitwy, przepchnęła się przez żołnierzy i wypadła na otwartą przestrzeń.

- Nie! - krzyknął Iain. - Nie podchodź bliżej!

Niecierpliwie machnął ręką w jej stronę, lecz ona nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego ostrzeżenia.

Była już bardzo blisko. Nie zdążyła im jednak przeszkodzić. George Grant zeskoczył nagle ze swojego rumaka, złapał ją wpół i przytrzymał. Szarpała się bezradnie w jego żelaznym uścisku.

Iain podziękował mu skinieniem głowy. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, potem na powrót zajął się Reynoldem. To szaleństwo! - pomyślała Alena. Błagała George'a, żeby ich powstrzymał, ale on był głuchy na jej prośby. Niemal wszyscy posiadali z koni. Mrowie wojowników ciasnym kręgiem otoczyło miejsce pojedynku. Grantowie mieszała się z klanami Chattan.

Kątem oka dostrzegła grzywę rudych włosów. Hamish! Przepchnął się łokciami przez tłum wojowników i stanął tuż przed nią. Wielki jak góra, z zaciętą twarzą, przypominał bardziej wikinga niż Szkota. Hardo spojrział na George'a Granta, ten zaś natychmiast spiął się do skoku niczym dzikie zwierzę. To było ostrzeżenie. Po chwili jednak napięcie minęło i obaj odwrócili głowy w stronę miejsca pojedynku.

George puścił Alenę. Skorzystała z okazji, by precyzyjnie się do przodu. Patrzyła, jak jej kuzyn krzyżuje miecz z kochankiem - panem jej serca. Zdawała sobie sprawę, że to będzie bezpardonowa walka na śmierć i życie.

Dwaj wojownicy krążyli wokół siebie, oceniając sytuację, czujni na każdy najmniejszy ruch ze strony przeciwnika. Pierwszy cios padł bez ostrzeżenia. Świsnęła stal, zgrzytnęły ostrza. Przestraszona Alena drgnęła. Reynold złożył się do następnego cięcia, Iain sparował.

- Dobry z niego szermierz? - zapytał Hamish, nie odrywając oczu od walczących.

- Najlepszy, jakiego widziałem w życiu - odparł George.

- A niech to piekło pochłonie!

- A twój pan? Potrafi władać mieczem? Hamish burknął coś pod nosem.

- Potrafi - powiedział głośniej - lecz dużo lepszy jest w strzelaniu z łuku.

Alena mimo woli spojrzała na łuk i kołczan leżące na ziemi, obok miejsca, w którym stał koń Iaina. Strach zimną dłonią chwycił ją za gardło.

Reynold wykonał długi wypad. Ciął raz za razem, zmuszając Iaina do cofnięcia się aż do kręgu zbrojnych. Wojownicy rozstąpili się, aby zrobić im więcej miejsca. Znów rozległy się głośne okrzyki.

Pot obficie zrosił czoło i pierś Iaina. Młodzieniec z trudem odpierał ciosy i pchnięcia Reynolda. Jego przeciwnik wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Zatoczyli szerokie koło. Krzyki umilkły i wśród widzów zapadła upiorna cisza. Alena z daleka słyszała ciężki oddech Iaina. Serce waliło jej jak oszałałe.

Nagle rozległ się urągliwy głos Reynolda:

- Twój ojciec kwiczał niczym zarzynane prosię, kiedy poczuł na swoim gardle ostrze mojego miecza.

Iain chwycił miecz w obie dłonie i ryknął jak rozzłoszczony niedźwiedź. Uderzył całą siłą swoich potężnych mięśni. Reynold sparował cios, lecz ostrze jego miecza pękło na pół z głuchym trzaskiem. Widzowie wstrzymali oddech. Reynold z przerażeniem w oczach padł na ziemię, przetoczył się po zrytej kopytami trawie i wsparł na łokciach.

Wojownicy Chattan krzyknęli zgodnym chórem na cześć Iaina. Reynold leżał bez ruchu. Iain wstrzymał rękę. Ostrze jego miecza zawisło tuż nad gardłem Reynolda. Pokonany przeciwnik był szary na twarzy. Tylko blizna - ślad sztyletu Aleny - czerwieniała mu krwawą pręgą w poprzek bladego policzka.

Iain stał nad nim, dysząc ciężko. Pot płynął mu po twarzy i piersiach. Lekko nacisnął czubkiem ostrza skórę na gardle Reynolda. Trysnęła krew i popłynęła wąską strużką.

Reynold dziko strzelał oczami na wszystkie strony, jakby czekając pomocy od swoich pobratymców. Wreszcie popatrzył na Alenę i coś jakby cień nadziei przemknęło po jego skurczonej twarzy. Dziewczyna poczuła nagły ucisk w krtani. Odruchowo zasłoniła usta. Reynold przyzywał ją bez słowa.

Łzy napłynęły jej do oczu. Przygryzła wargi, mocno zacisnęła pięści i wytrzymała jego spojrzenie. Reynold zmarszczył brwi, łypnął na nią raz jeszcze i nagle gniew zgasł w jego oczach, zastąpiony

śmiertelnym przerażeniem. Alena dumnie uniosła głowę. Już się nie bała.

Więcej, poczuła coś na kształt współczucia. Zamiast mężczyzny, zaciętego wroga, widziała chłopca, porzuconego przez rodzoną matkę, która uciekła w obce kraje, goniąc za władzą i bogactwem. Żal jej było kuzyna, którego przecież tak naprawdę nigdy dobrze nie poznała.

Popatrzyła na bladą i zaciętą twarz Iaina. Stał bez ruchu, ze zmarszczonymi brwiami, mocno zaciskając usta. Nawet o cal nie cofnął śmiercionośnego miecza. Naraz podniósł głowę i popatrzył na George'a. Młody Grant skinął mu lekko, jakby akceptował wszystko, co się stanie.

Zrobiło się bardzo cicho. Wojownicy Chattan spoglądali na Grantów. Dłonie odruchowo szukały rękojeści mieczy.

Alena rozejrzała się z niepokojem. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że nikt z jej klanu nie zamierzał podnieść ręki na Iaina. Nikt nie chciał bronić pokonanego naczelnika.

Bezwiednie wystąpiła z tłumu. Zrobiła krok w stronę Iaina i zamarła. Rzucił jej szybkie spojrzenie. Wystarczyła przelotna chwila, aby wszystko zrozumiał. Mocniej zacisnął dłonie. Reynold spiął mięśnie, wiedząc, że nadeszła ostatnia minuta jego życia. Spojrzeli sobie prosto w oczy. Po chwili, która wszystkim wydawała się wiecznością, Iain ryknął dziko i pchnął mieczem. Ostrze zagłębiło się w ziemi, zaledwie o cal od głowy powalonego wroga.

- Jestem Iain Mackintosh z klanu Mackintoshów! - zawołał. - Findhorn należy do mnie! Wynoś się stąd i nie wracaj - zwrócił się do Reynolda. - Nigdy - dodał złowieszczym tonem.

Wyrwał miecz z ziemi, odwrócił się i - drżąc na całym ciele - odszedł do swoich. Nawet się nie obejrzał. Alena chciała do niego podbiec, lecz George jej na to nie pozwolił.

Kątem oka dostrzegła jakiś błysk. Chwilę później Reynold z oszalałym wrzaskiem zerwał się z trawy i ze sztyletem w dłoni rzucił się na Iaina. Celował prosto w plecy.

Alena krzyknęła ostrzegawczo. Iain odwrócił się z uniesionym mieczem. Hamish ruszył do przodu, wywijając podwójnym toporem, ale stanął, kiedy tuż przed nim błysnęła kolorowa smuga.

Miecz Iaina zagłębił się w piersi Reynolda. Iain cofnął rękę i jednym szarpnięciem wyrwał stalowe ostrze. Reynold wykonał jakiś dziwny taniec i zwałił się twarzą naprzód na pobojuwisko. Z jego

pleców sterczała wysadzana drogimi kamieniami rękojeść sztyletu. Alena dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą ów sztylet spoczywał w ręku George'a.

Przez dłuższy czas nikt się nie poruszył.

Nagle cały świat zawirował przed oczami dziewczyny. Osunęła się na kolana. Łzy same popłynęły z jej oczu i wybuchła rozdzierającym szlochem. Płakała ze szczęścia. Iain podbiegł do niej, pochwycił w ramiona, szeptał do ucha słowa miłości i uspokojenia, całował, całował, całował...

Naczelnicy czterech klanów - Mackintoshów, Davidsonów, Macgillivrayów i MacBainów - zgromadzili się na szczycie niewielkiego wzgórza, w cieniu zamku Findhorn, skąd rozciągał się widok na pole niedawnej potyczki. Alena zajęła miejsce u boku Iaina, zadowolona, że jej ukochany zgodził się na udział George'a w tej uroczystości.

- Za klany Chattan! - zawołał Iain i uniósł bukłak.

Trzystu bitnych wojowników powtórzyło ten okrzyk, wysoko unosząc miecze i topory.

Przywódcy klanów kolejno pociągnęli solidny łyk z bukłaka. Alena z dumą popatrzyła na swojego ukochanego, człowieka, który wbrew wszelkim przeciwnościom doprowadził do pojednania skłóconych rodów i - co najważniejsze - pokonał złośliwego demona, zzerającego jego duszę, i znalazł zasłużony spokój.

George pokiwał głową.

- Wszystko jest tak, jak było - powiedział. - Jak być powinno.

Wyciągnął rękę do Aleny.

- Chodź, kuzynko. Pora uporządkować sprawy naszego własnego klanu.

Popatrzyła na Iaina, ale nie odezwała się ani słowem. On także spojrział na nią w zupełnym milczeniu. Trwali tak przez kilka ciągnących się w nieskończoność chwil, nawzajem usiłując odczytać swoje myśli.

Alena zrozumiała, że Iain dawał jej wybór - mogła pozostać z nim lub wrócić do swojego klanu. Przysunęła się bliżej i nagle poczuła jego rękę na swoim ramieniu. Uśmiechnął się do niej. Alena odpowiedziała mu uśmiechem.

Razem spojrzeli na George'a.

- Jest jeszcze jeden sojusz, o którym warto porozmawiać - powiedział Iain.

George uniósł brwi z udawanym zdziwieniem. Spod oka przyjrzał się Alenie.

- Chyba rozumiem - rzekł z wolna. - A twoja osoba, kuzynko, jest ważna dla tych rozmów?

- Tak - odparła z prostotą.

Iain ścisnął ją za ramię. Popatrzyła na niego, promieniejąc szczęściem.

George podszedł bliżej i wziął ją za rękę. Iain zeszywniał lekko. Uśmiech zniknął mu z twarzy, a w niebieskich oczach pojawił się cień podejrzenia. Nie wyzbył się jeszcze nieufności wobec niedawnego wroga.

- Wraz ze śmiercią Reynolda stałem się naczelnikiem klanu - zaczął George. - Nie wątpię, że starszyzna przyjmie moje wyjaśnienia i z radością poprze nasze nowe przymierze. To będzie znakomity związek. Politycznie, ma się rozumieć.

Puścił rękę Aleny. Otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, przepchnął się do nich Owen.

- A co z Toddami? - spytał. - Ze stajnią? Chcesz porzucić, pani, wszystko, co tu osiągnęłaś?

Z nadzieją popatrzyła na Iaina, lecz nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy.

Ktoś stanął za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła Gavina, syna Duncana, który wystąpił z tłumu Davidsonów.

- Wybacz mi śmiałość, mości panie - zwrócił się do Iaina - bo wiem, że tu kroi się niemało roboty. - Machnął ręką w stronę zrujnowanego zamku. - Ale... ale zawsze chciałem zobaczyć na własne oczy słynną stajnię Grantów. - Przeniósł wzrok na George'a. - Ojciec chciał mnie kiedyś oddać Toddom do przyuczenia. Znam się na koniach i niejedno potrafię przy nich zrobić. Pomógłbym Toddom. Oczywiście za waszym wspólnym przyzwoleniem, mości panowie.

Alena ukradkiem ścisnęła Iaina za rękę. Uśmiechnęła się do Gavina i potakująco pokiwała głową. Potem znacząco spojrzała na George'a, jakby czekając na jego zgodę.

George Grant obejrzał chłopaka od stóp do głów i przez chwilę udawał, że się namyśla,

- Zgoda - powiedział wreszcie. - Zatem załatwione. Umowa stoi.

Podszedł do swojego konia i zwinnym mchem wskoczył na siodło. Zbrojni Grantów poszli za jego przykładem. W kilka chwil byli gotowi do odjazdu. George zatoczył koniem, lecz nagłe ściągnął wodze i popatrzył przez ramię na Iaina. Zmarszczył brwi.

- Mackintosh! - zawołał twardo.

Iain dał krok naprzód. Alena stanęła przy nim. George przypatrywał im się spod zmrużonych powiek.

- Jeśli choć jeden włos spadnie z głowy mojej kuzynki - wycedził - to wrócę tutaj po twoją głowę.

Iain odpowiedział mu podobnym spojrzeniem.

- Nie musisz się obawiać, Grancie. Kocham ją nad życie i póki mi tchu starczy w piersiach, nie dam jej zrobić krzywdy.

Lekki uśmiech zagościł w kącikach ust George'a.

- Tak myślałem - mruknął. - W takim razie, pomnij, że co roku, w dzień świętego Michała, urządzamy małą uroczystość. Rad będę, jeśli do nas dołączysz razem z moją dzielną kuzynką.

Iain też się uśmiechnął.

- Przyjedziemy na pewno, jeżeli taka będzie wola mojej żony.

George skinął głową, zaciął konia i odjechał na wschód. Żołnierze rozstępowali się przed nim. Tętent niczym huk gromu przetoczył się nad równiną. Oddział przemknął po wrzosowisku.

Alena westchnęła z nieklamanej ulgą i spojrzała na Iaina.

Tyle jeszcze miała mu do powiedzenia. Tyle spraw należało wyjaśnić. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, porwał ją w ramiona i zaniósł do miejsca, w którym czekały osiodłane konie. Zdecydowanym krokiem podszedł do czarnego ogiera, zwanego Destiny, i posadził Alenę na jego grzbiecie. Sam wskoczył w ślad za nią. Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem, a ogier zatańczył gniewnie i zaprotestował donośnym parsknięciem. Uspokoiła go kilkoma łagodnymi słowami.

- Nie lubi cię - powiedziała do Iaina.

Uśmiechnął się, ukazując równe, białe zęby. Jedną ręką otoczył ją w talii, a w drugą ujął wodze.

- Będzie się musiał do mnie przyzwyczaić.

EPILOG

Pół roku później

Sto grubych świec oświetlało wielką salę zamku Findhorn. Wokół rozlegał się gwar rozmów prowadzonych przez licznie zgromadzonych gości.

Panna młoda, niczym przecudne zjawisko, spłynęła po kamiennych schodach i rzuciła się w objęcia męża. Pocałował ją prosto w usta. Tłum gości skwitował to donośnym okrzykiem. W górę poszły kufle pełne piwa. Grajkowie zagrali skoczną melodię i młoda para ruszyła w tany.

Po drugiej stronie sali, przy olbrzymim kominku, Alena i Iain z uśmiechem spoglądali na nowożeńców. Will i Hetty wirowali w tańcu, coraz szybciej i szybciej, aż tchu im zbrakło i stanęli w pół kroku, zaczerwienieni i zdyszani.

- To wesele w niczym nie ustępuje naszemu - zauważyła Alena. Odchyliła głowę i z zalotnym uśmiechem popatrzyła na męża.

- Ależ skąd! - stanowczo sprzeciwił się Iain. - Nasze było o wiele bardziej okazałe.

Mówił z udawaną powagą, ale wiedziała, że żartuje. Wsparała głowę na jego piersi.

- Coś mi się zdaje, mój kochany mężu, że w najbliższym czasie czekać nas będzie jeszcze jedna radosna ślubna ceremonia. Popatrz tylko. - Ukradkiem wskazała na płytką wnękę pod schodami, w której Gilchrist zapamiętałe całował piękną Elizabeth Macgillivray. Iain roześmiał się na całe gardło.

- Nic podobnego! To tylko kolejna przelotna miłośćka. Mój brat nie jest zbyt stały w uczuciach.

- Może się zmienił? - spytała Alena.

Smakowite zapachy wypełniły salę. Służba wniosła pieczone prosię i inne mięsiwa, sałatę i bochenki świeżo pieczonego chleba. Alena potoczyła wokół wzrokiem. Cieszyło ją, że zamek dźwignął się z ruiny, chociaż pozostało jeszcze sporo pracy. Na szczęście weselne dekoracje zasłoniły ubytki w ścianach.

W stajniach także panował ruch. Alena przypomniała sobie, że musi porozmawiać z Iainem o wizycie w zamku Glenmore. Bardzo chciała odwiedzić rodziców - bo tak zawsze w myślach nazywała Toddów. Innych zresztą nie знаła. A oni przecież zawsze ją kochali i wychowali jak rodzoną córkę.

Gavin pisał, że ostatnio znów sprowadzili kilka arabów, aż z Hiszpanii. Może przydałoby się chociaż ze dwa ściągnąć do Findhorn.

Dalsze rozmyślenia przerwało jej gwałtowne wtargnięcie Hamisha. Olbrzym podszedł do stołu mocno chwiejnym krokiem, z kuflem w każdej dłoni. Zatoczył się i z rozmachem opadł na drewnianą ławę, przy okazji zrzucając kilka półmisek z mięsiwem. Młody Conall pośpieszył mu zaraz na ratunek, ale skończyło się na tym, że obydwaj - Conall i Hamish - zalali się pienistym piwem.

Iain wybuchnął donośnym śmiechem. Alena mu zawtórowała.

Nigdy przedtem nie była tak szczęśliwa.

Iain otoczył ją ramieniem i delikatnie dotknął jej zaokrąglonego brzucha. Otarł się policzkiem o jej złociste włosy. Alena przymknęła oczy i cierpliwie czekała na jego pocałunek. Ciepły oddech Iaina był dla niej tchnieniem życia.

- Kocham cię, moja dzielna żono - szepnął, nie odrywając ust od jej policzka.

- I ja cię kocham, mój mężu - odpowiedziała z zamkniętymi oczami.

Przygarnął ją do siebie. W takich chwilach ze spokojem myślała o czekających dniach i latach. Ich miłość, wciąż gorąca, pełna wzajemnego oddania i przyjaźni, była kluczem do szczęśliwej przyszłości.